WACŁAW BERENT

OZIMINA

POWIEŚĆ

NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA. MCMXI.
WARSZAWA: G. CENTNERSZWER i Ska. LWÓW: H. ALTENBERG

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Lodowy połysk czarnej tafli fortepianu i mocne lśnienie posadzki rzucały mu na salę jakby pył powietrzny i ogromne zmatowanie barw w głębi. W tem dla oka oddaleniu tonowała się jaskrawa rozmaitość kobiecych strojów w kilka plam zamglonych pod czarnym wirem mężczyzn. Tylko na krześle najbliższem odsadą barw mocnych — widniała jakaś bluzka o wodnej zieleni, twarz otwarta, jasna i włos ciemny, rozjaśniany w ciepłe połyski, zda się kontrastem do tej hebanowej czerni fortepianu, z ponad której padały oczy jego.

Stał jak wyczekujący rybak tej czarnej łodzi, przerzucając białe karty nut rozłożonych na hebanie.

A dziewczyna przyglądała mu się przez zmrużone rzęsy pozornie nigdzie nie patrzących oczu. Obserwowała go z przedziwnie długim spokojem, zamknąwszy złożonemi na kolanach dłońmi dwa doskonałe półkola toczonych ramion, obciśniętych wysoko w białą skórę rękawiczek. Czoło spokojne, prawie kamienne, z odgarniętym zuchowato ciemnym włosem, oczy zmrużone, a żywe jak u węża, rzucały aż na skroń wibrującą zmarszczkę uwagi.

Rozmigotanie ciekawości, pytań i półuśmiechów przepływało, zda się, z pod oczu przez pełne jak jabłka policzki ku ustom i wracało falą pod zmrużoną powiekę; zaciśnięte wargi rzucały od kątów w stronę uszu drgające rysy swawoli, czy czegoś gorszego. Zastawiał się za ten wyraz głupkowaty podbródek o migdałowym owalu i miękkości dziecięcej. Siedziała nieruchoma jak posąg, półkręgami ramion obejmując wydatną pierś; pazury krótkich łapek, rzekłbyś miękko złożone, tkwiły w rękawiczkach — pod to przymrużone, wężowe zapatrzenie skośnych oczu.

Gdy po niejakim czasie wyszedł do dalszych pokojów, w małem przejściu za salonem spotkał się oko w oko z tym uśmiechem na wibrujących policzkach. Dłoń spokojnie złożona w dłoni zamykała toczone półkręgi ramion nieruchomych.

»Cóż to znów znaczy?« myślał. — Obcej kobiety uśmiech dobrze mi znany zastępuje mi drogę jak w wizyi.

— Pan mnie nie poznaje? — pytały oczy zmrużone.

— Nie. Ponieważ rzecz dziać się powinna w ponurym wąwozie.

Roześmiała się niemo: białym błyskiem zębów oraz niewolnem podrzuceniem piersi wydatnej, a cała postać rozbłysła życiem w tym uśmiechu. W bliskości tej kobiety uderzył w niego wiew świeżyzny jak od owoców, a zarazem skwaru, w którym one dojrzewają; jakaś tryumfująca wegetatywność bujnego życia, leniwa do słowa, ciężka do głosu i gestu — jak w letnie południe.

Urażona, czy też zbyt opieszała, aby się przypominać w rozmowie, zwróciła się ku drzwiom sąsiedniego po-

koju; na znak że wyszła tu jedynie dla poprawienia uczesania, wyjęła szpilkę rogową i wbijała ją po drodze niedbale w włosy jak widły w snop.

»Amalteo!« — zaczął już było, gdy ten gest ostatni tajemniczem kojarzeniem drobiazgów naprowadził go na dawne wspomnienie. »Czyżby ta mała ze wsi? Czyżby ona?«

— Panna Nina? — zgadywał tedy, zapatrzony w sowitą jędrność i pełnię kształtów, które, rychło patrzeć, staną się przelewne.

— Ja!

Krwiste wargi rozchyliły się w uśmiechu długą szczeliną jak pękający owoc granatu, a słowo z nich wyłuskało się ciężkie, soczyste, jak purpurowe tego granatu ziarno; zakwitły policzki.

Roześmiał się. »To dumne samopoczucie tego »ja«! Ta smakowita błogość tego słowa, jak u murzyna. Wierzę, tu można być zwięzłą w słowie; wszystko inne jest zresztą zbyt wymowne«.

— Już?! — krzyknął. Już »ja?« Ależ to poszło w tempie tropikalnem! Kiedyż przeniesiono do miejskich cieplarń?

— Pan utył.

Ta lapidarność powitalnej konstatacyi obcięła mu odrazu słowa i myśli wszelkie. Czuł się tak samo oglądany i ważony nieomal, jak sam to czynił; bodaj że z jednym wynikiem. Jego ostatnie pytanie i jej konstatacya zbiegały się na jednym motywie. Myśl ruchliwa utkwiła mu nagle na wzajemnych uśmiechach.

»Doświadczam lakonicznego szczęścia młodego padyszacha, — pomyślał, splatając dłonie na dołku. — Odzyskawszy kontenans, pozostawałoby już chyba tylko siąść na tym miękkim jak puch dywanie, wesprzeć głowę o taboret z poduszek, jeść sorbet i całować się słodkiemi wargi«.

»Cóż za ubikacya przedziwnie leniwego nabożeństwa!« — mówił do siebie, rozglądając się po tem spiętrzeniu dywanowych poduszek, taboretów, otoman, foteli, portyer, kotar, kobierców i wezgłowi. Cóż za wykwint kaukaski! Jakaż profuzya tapicerskiego geniuszu i perskiego natchnienia!«

Poczęła wyłuskiwać z rękawiczek pięści małe i twarde jak orzechy, ogromnie żywe tem ogorzeniem i połyskami jak na miedzi. Ręce, w sobie krzepkie, zdały się jeszcze jędrniejsze z pod rękawiczek.

— Pani musi być silna?

W odpowiedzi wystawiła mu na zgiętych łokciach swe szpony. Zanurzył palce w ich ciepło żywe i pozwolił sobie oczywiście przegiąć dłonie. Lecz w tejże chwili pożałował tego. »Na tę głupią stawkę gotówem na samym wstępie przegrać wszystko«.

— Jaki pan słaby! — rzekła, odymając wargi.

Podeszła wreszcie do lustra, by poprawić włosy.

— Któż to jest ta panna Ola? — pytała wzgardliwie. — Och, jak ja jej niecierpię.

— Za co?!

— Ona pewnie jest taka sztuczna, a wy ją wszyscy może tak adorujecie: — artystka!

Odpowiedź rozprysła mu się w śmiechu. »Pewnie« i »może« — powtórzył.

— A ja wiem o tym panu Tańskim. A co!

— Już?

O, kobiety wszystko o sobie wiedzą! Ja mu się tam dobrze przypatrzyłam.

— Wcześnie! — mruknął. — Ile też panna Nina ma lat?

Pokazała mu czubek języka w lustrze.

— No, o pani domu, — drażnił dalej, — pani Lena? Ta jest naprawdę piękna.

Panna Nina stała się uważającą; źrenice pod zmrużonemi powiekami spłynęły na boki. »Och, te palce pod pięściami!« zauważył mimochodem.

— Panie, co to było z nią i z tym poetą? — zadygotała cała z nagłej ciekawości.

— Z Woydą? Nie wiadomo. Dwa lata temu na takiem jak dziś zebraniu przyszedł tu oto, do tego pokoju, chodził długo po tym miękkim jak śnieg dywanie i dziwił się pewno, czemu śnieg jest tak purpurowo czerwony, jakby krwią nasiąkły. Nalał sobie wody — ot z tego dzbana, który trzyma ta wielka kukła murzyna, — nalał wody, połknął coś, wyjętego z kieszeni od kamizelki, popił i siadł tu... w tym oto kącie... Tak usiadł.

— Niech pan przestanie! — krzyknęła nagle i przysłoniła oburącz oczy. — Fe, i ten dywan! — kaprysiła pod grą wyobraźni, podgarniając czemprędzej suknię. A gdy uległ temu wezwaniu i zaniechał opowiadania:

— No, i co było dalej?

— Tu usiadł. A tam na sali grano właśnie kwartet jakiś jemu na rozmarzenie, więc mu się głowa tak oto w tył pochyliła w zasłuchaniu, otwierały się oczy. Tak. A z salonu wymknęła się tymczasem piękna pani i przysiadła się do niego marząca.

Tym razem wstrząsnęła się całem ciałem i poczęła przysłaniać sobie naprzemian oczy i uszy. Im dłużej myślała, tem większego impetu nabierała wyobraźnia. »Nie! nie! — krzyczała coraz gwałtowniej. — Niech pan nie mówi!« A do zadyszanej piersi przyciskając obie dłonie, pytała wnet tłumionym szeptem przerażenia:

— I co było dalej?

Ale on kończył już niechętnie.

— Piękna pani poczuła rychło, przy kim siadła. I pierwszem jej uczuciem był pewno wstręt, drugiem strach, trzeciem groza, że z człowiekiem, z nami, tak łatwo stać się to może. I wtedy zapewnie zemdlała. Po ocuceniu się, oczywiście, rozpaczała. Gdy zaś w samotności o rozpaczaniu zapomnieć musiała, wtedy zjawił się może nawet i żal. Dziś gdy samej siebie zapyta, czy go aby jeszcze pamięta, odpowiada sobie bez wątpienia: »o, tak.« — Ale pani, panno Nino, wcale już mnie nie słucha?

Ocknęła się z zadumy podrzutem ciemnej grzywy zuchowato odgarniętej z czoła. I wtedy dopiero ujrzał te skośne oczy po raz pierwszy otwarte: ich źrenice małe jak grochy: złoto-czarne złe, niespokojne oczy.

— Dla niej?! — krzyknęła. — Dla niej?!... Oo!

I jęła chodzić nagle po pokoju; zrazu ociężale, przelewnie, jak gołąb; potem stawał się jej krok miękkim na dywanie, szukającym rytmu, nerwowym i czujnym, jak u kota.

— Co?! — Zatrzymała się nagle, jakby przerażona wibracyą swych wyobrażeń, czy też jego zapatrzeniem się badawczem.

— Ni — ic, — odpowiadał przeciągle. Ja nic nie mówiłem.

— I czemu pan tak na mnie patrzy? Nie, — ja nie chcę! — kaprysiła, otrząsając z siebie jego spojrzenie. — Czy ja co powiedziałam? A może co złego? — Pan tylko ze mnie wyciąga...

— Liszkę. Policzki ma panna Nina jak jabłka.

W nagłym opadzie w nieufność co do siebie powróciła smętnie pod lustro, do kominka. Jakaś chusteczka, tegoż wodnego koloru co i bluzka, znalazła się w dłoni, potem między dłonią a zębami, w upartem widocznie postanowieniu nie obcierania oczu. Czego on od niej chce?

Dopiero kiedy ujął ją za rękę, wlało w nią to ufność do siebie, a wraz z nią i zaczepność.

— Niech mi pan lepiej zapnie rękawiczki, — mówiła obrażona, wyciągając ramię w tył, by nie widzieć go na oczy.

Ale jemu splątały się rychło palce; zapiął krzywo, krzywe rozpiął i rozchylił szczelinę rękawiczek aż po za łokieć. A gdy spiżowej zwartości i chłodu ciała dotknęły jego wargi, ramię wydłużyło się niewolnie: mięśnie same prężyły się pod pocałunkiem.

— Jacy wy wszyscy jesteście nieznośni!

— Już »wszyscy?!« — mruknął smętnie. Lecz w tejże chwili drobna garść schwyciła go za czarny czub włosów nad czołem.

— Zawsze się ze mną drażni, — jak wtedy na wsi! — Zawsze mnie tylko na słówkach przyłapuje. Niejedno mi wyskoczy, bo ja sobie nic w głowie nie układam. Mnie wszystko samo przychodzi.

— Tam do dyabła, wierzę!

W gwałtownem pod uściskiem w tył pochyleniu pierś i szyja dziewczyny zdały się jak z granitu ciosane. A uśmiech jej ust rozedrganych rozpłynął się w pocałunku długim i powolnym jak łza. Zaś to warg roztkliwienie przelotne przeniosła wibrująca fala na jabłkowe policzki pod rzęsy długie w czujną ciekawość wciąż przymrużonych oczu. A gdy głowa szarpała się raz w raz: »Dosyć!... Ludzie!« — pulsujące przy ustach rysy pytały ze złośliwym spokojem: »co dalej?«...

»Rzeczywiście, ludzie!« — krzyknęło w nim niepokojem. — Ładniebyśmy wyglądali potem«. — Wyrwało się z ust głośno.

I odskoczył.

Rozbieganymi palcami zapięła w mig rękawiczki na ramionach. Lekkie przygładzenie włosów przed lustrem, wraz spokojne i kokieteryjne, chwyt boczny za suknię, i, ku temu chwytowi lekko podana, oddalała się do salonu swym gołębim krokiem wśród suchego turkania sukien. Wargi szeptały coś. Już w pół ukryta za por-

tyerą zwróciła ku niemu usta i tę rysę przy nich, w profilu tak jawnie złośliwą.

— »Potem?« »potem?« O tem nie myśli się przedtem.

Parsknął suchym śmiechem jak ryś i poskoczył. Zaplątany w ciężką portyerę, targnął ją w pasyi i uderzył się z całym rozmachem w czoło.

Drzwi za portyerą były już zamknięte.

Przez szczelinę ledwo uchylonych drzwi przemknęła się niebawem osóbka malutka i cicha jak ćma, i cieniem zapadła w głęboki fotel najmroczniejszego kąta pokoju. Coś jakby skrzydła tej ćmy zatrzepotało się koło głowy płowej, — splotły się dłonie na twarzy i przysłoniły oczy. — Kształtem drobnym wsiąkła w fotel, ledwo płaską plamą w krzyż znaczyła się na szerokim kadłubie oparcia i w wysokich jego ramionach jak w skrzydłach nietoperza, — jasna główka i przezrocze dłonie jakby poświatą muśnięte. I tak oto wniosła ze sobą oćmę, księżyc, ciszę i to trzepotanie się stworzenia nocnego.

»Oto jest przeciwny biegun — myślał, przerywając swą zadumę, — oto i artystka! Do gorączkującej główki przykłada sobie kataplazm z swych rąk zimnych zawsze jak lód; swe małe, udręczone ciałko, o którem sama nie dowiedziałaby się nigdy, chce nieść w mrok, w zapomnienie — i składa je w nietoperzowe objęcia nocy: w rojenia okrutne«.

Przysłuchiwał się oddechowi dziewczyny, — w zrywanem jego tempie trzepotało się serce znużone. Lecz w miarę słuchania i jego piersi stłaczać coś poczęło i przyśpieszać pulsy w rytmy nierówne. Nieznośne uczucie fizycznego jakby niestatku wszystkich organów rozlewać mu się poczęło cierpkością po żyłach. »Dziwna rzecz, — mówił do siebie, że ja przy niej zawsze czegoś podobnego doświadczać muszę. Jak się te rzeczy potwornie udzielają!?

Otrząsnął z siebie to licho i powstał z miejsca, aby wyjść z pokoju.

Poświatowa przepaska splecionych dłoni usunęła się z czoła: spojrzenie oczu dziwnie okrągłych o zaprzepaszczonym gdzieś błysku, niby płomyk tlejący gdzieś w głębiach czaszki, pod siwą źrenicą. Wpiły się w niego te sowie oczy i zatrzymały odchodzącego we drzwiach.

— I pan jest taki sam! — rzekła głosem kobiecej goryczy: apatycznym, a przecie z upartym akcentem pewności, z przyśpiewem na ostatniem słowie. — Taki sam, — powtórzyła, — jak ja.

— Co?! — żachnął się mimowoli i nie opanował nawet wydęcia warg.

Pod dłońmi rozległ się wymuszony śmiech. Opuściła wreszcie ręce z przed twarzy i wsparła je szeroko na poręczach fotelu. — »Że też ona zawsze pozować się musi«, — przemknęło mu ubocznie w myślach na widok tej hieratyczno-egipskiej posągowości układu na siedzeniu ciemnem, jak tron bazaltowy. »I te ręce! — dodał w duchu, — wysztywnione i prężne na oparciach, dłonie

boleśnie smukłe, o długich, prześwietlonych palcach: ręce królowej z dwunastej dynastyi Faraonów, lub memfijskiego Ptaha«.

— Jak pana oburzyło to przyrównanie do mnie! — próbowała się uśmiechnąć. — Ja sama nie wiem, skąd mi się i to wzięło... Wie pan, — mówiła z tym impetem kobiet nerwowych, które, gdy raz przerwą swe uparte milczenia, wpadają wraz w nową inercyę, — wie pan, ja zawsze o sobie myślę; ciągle, nieustannie. Obrzydliwe to jest! — wiem. Ale przy tem wszystkiem myślę inaczej: nie osobą, nie postacią. — Gdy ujrzę chałupę omszałą w smugach deszczu, oślizgłą, brunatną, opłotek przy niej rozpadły, krzyż bez ramion ulewą ociekły, jakiś szmat drogi błotnej, wiodący po pustkowiu pewno nigdzie, — wówczas myślę aż do bólu w piersiach, że to ja. Nie w przenośni żadnej, ale tak, poprostu, w pierwszej chwili. Nie myślę nawet wcale, czuję tak. I cóż ja na to poradzę... Gdy maluję kwiaty... Powiadają, że moje kwiaty są jakby dreszczem zatulone, pąki zawsze zwiędłe...

»Uch! — westchnął w duchu. — Brunatne, rude, rdzawe, żółtawe, oślizgłe, ociekłe, dymne, nadgniłe, błotne, zwiędłe: — cała słota miejska! Przed chwilą widziałem dziewczynę, której milczenie mieni się wszystkiemi barwami słońca.

I przysiadłszy się do niej, mówił z jakąś głuchą i bezceremonialną już pasyą:

— Wyobraźnia jest dla kobiet niebezpieczniejszym ogniem od zmysłów, zwłaszcza ta wielkomiejska: sztucznie hodowana i już w dziecku boleśnie znużona.

Szare jej źrenice rozbiegły się w niepokoju jak krople rtęci.

— Po co pan to mówi? — wyszeptała zaledwie.

I nagle łzy sypkie i podłużne jak perły poczęły się ścigać z ogromnym pośpiechem po policzkach.

Zagryzł gniewnie usta, które się przegadały i pochylił się czemprędzej nad nią.

— Panno Olo, ja dalibóg...

Opuszczała głowę coraz to niżej. Miał wrażenie, że gdyby musnął dłonią te jej płowe włosy, z suchego ich puchu sypnie mu się w palce grad drobnych iskier. Ujął ją za rękę, — i oto chłodnym prądem poczęło mu się rozlewać po żyłach poprzednio już zaznane uczucie jakiegoś przygnębienia, fizycznej jakby niechęci do samego siebie, goryczy wewnętrznej, która podejmowała się niby suchą i palącą zgagą, właziła mu w szczęki i zamykała je twardym zaciskiem. — »Nerwy!« — myślał. — Ta jest wyładowana tą energią czyśćca! A te jej siły wewnętrzne, wymknięte z ślepych konieczności organicznego ładu i z panowania woli, siepią się oto bez sprzęgu i wybijają na zewnątrz jakąś potępieńczą władzą bolesnych odgadywań, przeczuć, wróżbnoczucia. Czarownica!

Oto opadła ta gorączkująca głowa dziecka w chłód splecionych dłoni, chyli się coraz niżej, zwisa coraz to bezsilniej, zginając w pokurcz rozpaczy jej postać drobną. Jemu na ten widok krew uderzyła do głowy, a wraz z nią i ta myśl nagła:

»Ratuj głowę chłodnem upieszczeniem dłoni. Spaląć ludzie twym własnym ogniem!«

I nie patrząc już na nią, wyszedł szybko z pokoju.

— Przepraszam, — usłyszał słowo rozlewne, szerokoustne, które owiało go jak zasapany oddech. Z tamtej strony drzwi natknął się na pana Tańskiego.

— Proszę! — krzyknął nieomal z pasyą, rozchylając przed nim skrzydło drzwi, które był zamknął przed chwilą.

I przemykając się przez tłumy w salonie, wydostał się do gabinetu, gdzie palono. Wraz z dymem tytoniowym wracało opanowanie myśli.

»Uspokój się, — mówił do siebie, — tam się łatwiej zgodzą, niźli przypuszczasz... Niema takiego nieprawdopodobieństwa, któreby w podświadomem po mrokach bytowaniu takiej ćmy dojrzeć nie mogło. Cóż łatwiejszego niż takiej bierności narzucić sposób odczuwania. Niewolą sama się zamota. Zażycie takiego stworzenia jest przecie tylko przebolesnem składaniem ofiary z ciała chłodnego za głowę gorącą.

Ktoś wychodzący nie zamknął za sobą drzwi do przedpokoju. Tam w głębi stała ona w rotundzie na ramionach. Złota głowa o migdałowym owalu i ustach dziecka spoczywała na białem futrze podniesionego kołnierza jak na misie ofiarnej, cała w dymach od cygar jak w kadzidłach obrządkowych; tymi kłębami buchnęło ku niej powietrze androceum przez uchylone drzwi palarni. — Ilu mężczyzn tu było, oczy wszystkie roziskrzyły się ciekawością. — »Tak to czyściec w duszy kobiety, — pomyślał, — magnesem was pociąga, — i obiecuje gnuśności waszej rozkosze dziwne: spalenia tej ofiary jej własnym ogniem.

»Przecież to jest chyba samnambula! — krzyknęło w nim coś, gdy poczuł na sobie jej wzrok. Wielkie kręgi tych oczu świeciły w tej chwili blaskiem żółtym jak u sowy.

I to przez okna źrenic jakby widne, złowróżbne żagwienie się tego mózgu przylgnęło do niego spojrzeniem czarownicy. Tym blaskiem oczu dziwnym w niego zapatrzona, zda się mówić, wróżyć mu uparcie:

»I pan jest taki sam!«

»Co?!« — szarpnął się cały. I doskoczył ku niej mimowoli z za progu palarni.

Podobno panna Ola zasłabła, podobno pan Tański jest tak uprzejmy, że odprowadza ją — podobno do domu. Pono drzwi zatrzasnęły się w tej chwili za nimi.

Stał oto przed temi drzwiami i powtarzał urągliwie:

»Zaszczytne jest dla mnie przyrównanie do takiej osóbki żeńskiej! Co ta somnambula mogła mieć na myśli: »i pan jest taki, jak ja?!«. Trawiony zimną gorączką wielkomiejską? Wleczony biernie w tej gorączki rozpustę? Spalony przez innych ogniem własnym?«. . .

Do przedpokoju wpadł w rozwianym fraku młodzieniec, przez niego tu dziś wprowadzony: muzyk, o którym już tyle mówiono, że pani chciała go widzieć u siebie i popisać się nim przed swoimi gośćmi. Wpadł oto, zawiał połami, przebiegłszy do palarni, wichrzył tam długie włosy i zaglądał ludziom niespokojnie w oczy. Po chwili znów się we drzwiach ukazał.

— Nie widział pan przypadkiem panny Oli?

Że zasłabła i powróciła do domu, odpowiedział w dymie.

— Z kim?... To jest, kto odprowadził? — z przymilającym się uśmiechem poprawiał czemprędzej impet pierwszego pytania. — Nie wie pan? — uprzedzał w arcynaiwny sposób cierpkie ociąganie się z odpowiedzią. Był tak dalece nieopierzony w doświadczenie, że oszczędził mu wogóle odezwania się, decydując w pośpiechu za niego:

— Pan nie zauważył!

I oglądał się, aby zagadnąć kogoś ze służby.

Chłopak miał w oczach desperacką bezradność, jak zbłąkany pies.

O framugę drzwi wsparty, mdły tem ustawieniem niedbałem, w stroju frakowym wysmukły i wiotki, jakby rozchwiany w nonszalancyi swojej, zwracał ku ludziom swą twarz białą z uśmiechem warg nigdy niedomkniętych, podgarniał dłonią kruczą czupryny.

W tem zbiorowisku mijał szybko oczami kobiety surowe, suche na twarzy i rękach, ubrane sztywno i bez gustu, — niewiasty o charakterze żadnym w postaci, stroju i obliczu: młode reprezentantki posagów, matki skrofulicznych dzieci, osoby bez płci i wieku; przyschłe w hugonockiej cnocie bogobojne małżonki solidnych mężów.

Lecz oto inne: gładkie ciała wszelkich sfer, małżonki, nabywane po wszystkich targach: białogłowy cieliste o miękkiem wejrzeniu i pulchnych policzkach, rzekłbyś, jak to na wschodzie: ciastem karmione i zopierzałe na tej strawie. Twarze lekko obrzękłe, mleczne i przezrocze, — przedziwne tło dla oczu ciemnych, w których tli się życie monotonne w lubieżności cichej. Ręce nie z tych, co się do rozkazywania lub marzycielskich bezczynności rodziły, raczej kuse, forsownie pielęgnowane, przebiałe; dłonie, które chyba nigdy niczego się nie dotykały i służyły na to tylko, by obładowane w pierścionki spoczywać przed oczyma ludzi na materyach sukien. Wszystkie te kobiety, rzucało mu się i to w oczy, siedzą nieco za szeroko na krzesłach, — nie domykały się kolana nóg krótkich; sprawia to może pulchność osób, lub co prawdopodobniej, ta, w bierności zawsze półsenna, egzystencya hodowanych stworzeń, to ich nieustanne poczuwanie się do kobiecości — fizycznej.

Siedzą tedy luksusowe małżonki i dyszą perfumami, promieniują w powietrze fluidum cielesności białych, — wytwarzają atmosferę cieplarni.

Przytrafia się wśród tych ciał wystawnych niewiasta dorodna, jak ta, na której zatrzymało się jego spojrzenie. Lico gładkie wykrzywia lekki wyraz semicki, lub może nuda zastygła oto w tym kwaśnym grymasie ust rozchylonych w dziób ptaka na posusze. Ułożyła się melancholia tej głowy na przegięciu szyi smukłej, wsparła w czarnym opuchu włosów przebujnych i spogląda

przed siebie mdło — purpurowych warg kręgiem, zębów perłowych błyskiem i płowiejącym jakby aksamitem oczu.

Tych to oczu opieszałość i chłodne wyszczerzenie zębów zatrzymały się na nim, gdy stanął we framudze drzwi; a zwrócone ku niemu zdały się mówić: »podziwiaj«! Pod tych to oczu hypnozą podgarniał mimowoli czuprynę, poprawiał wąsa, i uśmiechał się niedomkniętemi wargi, oraz nonszalancyą postawy całej, opływając równocześnie spojrzeniem wszystkie kształty tej najdorodniejszej. — I tak oto wystawiali się oboje na jarmarku narcyzowych próżności, czyniąc beznamiętnemi oczy kłamne po salonach tokowiska.

Z drugiego końca spoglądała nań tymczasem swą długą twarzą pani domu.

Siedzi jakby niedbale, postacią swą pełną giętko zagłębiona w fotel głęboki. Jej suknie, w chodzie tak powłóczyste, mąciły się teraz w kapryśne fałdy, opadały ciężko na jeden bok, wyciskając obciśle sowity kształt biodra. Z włosów bursztynowych pokrętnego snopa wywijał się splot łukowy i opasywał grubą liną szopę nad czołem: włosy, które, wchłonęły, rzekłbyś, w siebie cały nadmiar wegetacyjnych soków wspaniałego ciała i zaskrzepły lśniącą żywicą. »I pomyśleć, — mówił do siebie, że dla tej kobiety, rozhukał ktoś swoją wyobraźnię aż do granic samobójczych«.

Lecz oto spogląda ku niemu wciąż z chłodnym i długim uporem, aż póki się nie domyślił i nie przystąpił.

— Chciałam pana o czemś uprzedzić, — mówiła głosem, jakim porusza się bardzo drażliwą sprawę. Na jej długiej twarzy i szerokich wargach błąkał się uśmiech zakłopotania.

— Już wiem! Nieboszczka moja ma tu dziś śpiewać u pani, więc w wielkiej swej dobroci wolała mnie pani uprzedzić, aby mię nie przeraziło widmo postarzałe.

Uśmiechnęła się miękko szerokiemi wargi. — Takie przeszłości nie umierają nigdy. Najlepszy dowód, że przybył tutaj, — a teraz dopiero przychodzi jej do głowy, że nie mógł wiedzieć o tryumfalnym przyjeździe — nieboszczki. Co zaś do postarzenia się, czeka go miłe rozczarowanie.

Po chwili, nie mogąc pohamować lekkiego dreszczyku:

— Ogromnie ciekawa jestem waszego spotkania!

— Czy pani zna bliżej pannę Olę? — przecinał dosyć ostro tę sprawę.

— Ach, jak ona ślicznie dziś wygląda!

— Westalicznie, — mruknął pod wąsem, nie spodziewając się wcale, że wywoła tem to zadrganie dziwnego uśmieszku wokół ust pani.

»Więc i tu wiadomo! — mówił do siebie. Zresztą prawda: kobiety zawsze wszystko o sobie nawzajem wiedzą, — powiadano mi dziś. I szeroko tolerują, o ile rzecz nie dochodzi do jawnego skandalu. A co ważniejsza chłoną wszystko w indolencyę dusz. Jakie warstwy cynizmu układać się w nich muszą!

W tym błędnym uśmieszku wokół dużych warg była

gotowa pobłażliwość na wszystko, co jej powiedzieć zechce, a nawet pewne wezwanie. Zjawiało się to zawsze, ilekroć miała sposobność do krótkiej z nim rozmowy. »Hm«! — pomyślał — więc tak?«

I częstował dalej tą tabaczką:

— Wyglądała rzeczywiście cudownie. Pan Tański musiał sobie nadzwyczajnie pochlebiać wyrzutami sumienia.

Krótki wyraz oburzenia wyparł przemożną siłą ów kaprys, wibrujący nie pochwytnym uśmieszkiem wokół warg.

— Pochlebiać sobie wyrzutami sumienia! — pani załamała białe ręce: Przecież to jest straszny cynizm!

I w tejże chwili nieco ciszej z tymże uśmieszkiem koło ust:

— Więc pan Tański pochlebia sobie tylko wyrzutami? Może Pan śmiało powiedzieć, — mówiła wobec jego milczenia. — Uszu moich pan wprawdzie nie oszczędza...

Zbliżył się do nich jakiś brodacz wysoki i nawiązywał rozmowę z panią. Pozostawił mu ją tedy i, ustąpiwszy, rozglądał się dalej po gwarnym wokół ulu.

Od tego roju oderwana błąka się zdala miodna pszczoła — w miód marzeń rozkładowych na życie zasobna: młody muzyk o bezradnym niepokoju w oczach snuł się po kątach.

W drugim końcu sali bzyka gestami wśród kobiet postać kosmata i niespokojna, o ruchach niby roztargnionych, a dopraszających się uwagi oczu kobiecych:

bzyka jak bąk wśród kwiatów. Wreszcie spada na kwiat upatrzony. Oto lilia o wątpliwem panieństwie w oczach, osóbka myjąca raz po raz kocią łapką swą czarną główkę, tak wdzięcznie, tak poduszkowo w ramionach pochyloną, że gest ten o miłych horoskopach przywabił do niej żuka. Przysiadł i zapuścił ryj w kielich, czy miodu w nim jeszcze wiele: wszczął rozmowę o sztuce i literaturze, by przemycać w niej rzeczy ślizkie. Zawisł kosmaty nad kielichem, wystawia różki, maca płaty, eterycznych olejków szuka. Rzuca powiedzenia, które byłyby sprośne, gdyby nie powaga przedmiotu: gdyby nie sztuka i literatura. Trysnął tedy łatwy miód i dla niego. Żuk kosmaty zawiesza się nad kielichem, sięga w najwstydliwsze dno kwiatu i ssie wonne etery słów lubieżnych.

Młodzieniec flirtuje z panną.

Tuż obok małą i pulchną mężatkę o rozbieganym języku i niespokojnej nóżce zdobywał obcesowo dziennikarz, eksploatując jej specyficznie wielkomiejską, erotyczną ciekawość do popularnych ludzi dnia. Pytała równocześnie o kilku; był najhojniejszy w informacyach, nie tracąc spokojnej nadziei, że wszystko skończy się na nim.

Oto pani o długiej twarzy i bursztynowych włosach wsunęła się w fotel jak w sedyę kamienną. Ramię od łokcia wsparło się na nizkiej poręczy, zwisła opieszale ręka pani duża. Układem swych pełnych kształtów władna, zmysłami cicha, spoczywa niedbałym gestem wyniosłości cielesnej jak rzymska matrona. — Wsparty ramieniem o nizką kolumnę, chylił się nad nią wielki

brodacz i świeci szkłami okularów. Rozpowiada jędrnie, jak ktoś ożywiony towarzystwem kobiety, mówi z tą przekonywającą mocą powściągliwego gestu, jak to czynią starsi, uduchowieni mężczyźni. Pani ledwie brwi ściągnie, lub rozchyli usta; półsłówka rzuca, spokojem nęci. Pochlebia jej ta rozmowa, nie przeraża natarczywy raz po raz wybłysk okularów, ani cierpkie od czasu do czasu uwagi rzucane pod adresem innych ludzi. Przyjezdnemu z Krakowa niejedno nie podoba się tutaj, a że wypowiada się to przy niej tak ostro, sprawia to właśnie siła kontrastu. Wybacza mu tedy przelotne akcenty surowości, czy też karcenia, rozumiejąc, że jest to przełamanie się głosu pod wrażeniem chwili, jak u młodzieniaszków dyszkancik koguci w chwilach, gdy im coś piersi rozpiera; — starsze koguty pieją wtedy basowym podrywem godności. — Więc tylko, gdy chmurniał zanadto, zwracała ku niemu uprzejmiej głowę jasną na półłęku szyi powolnym.

Wówczas milkł. Długimi muskularnymi palcami głaskał i grabił wielką brodę, a zezem oczu ponad szkłami wpatrywał się w nią nieufnie. Poczem rozglądał się po obecnych, tu i ówdzie dłużej wzrok zatrzymał, — wtedy gwałtowniej targał brodę.

I nagle, pochylając się do niej:

— Pani, — zaczął impetycznie, jakby ze środka swych myśli, — wiek jeszcze nie minął, kiedy w takich oto salonach niewiasty zwracały się do mężczyzn z pytaniem: »Ileś waćpan harmat zdobył?« Jakże inne wiodą tu dziś gawędy!

Odpowiedziały mu jej brwi, wygięte nagle jak łuki. »Co to ma znaczyć?« pytały. Wreszcie pochyliła się ku niemu bokiem przez poręcz i, przeplatając powoli palce białych rąk:

— A więc, ileż waćpan tych harmat zdobył — profesorze?

Szarpnął okulary otwartą dłonią. Nie po myśli była mu w tej chwili szermierka z kobiecym języczkiem.

— Pani! — wybuchnął po raz drugi, — onego czasu, przychodzili tu ludzie po kontakt czuciowy ze społecznością. Każdy nić własnej przędzy wplatał w tę tkaninę duchowego stylu czasów. Tu się rozpłomieniały serca i umysły przy rozumie i wdzięku kobiet. Nawet lekkomyślność tych pań wzbogacała życie. Bywały bo wtedy namiętności i uczucia, które nawet kaprys kobiecych względów potrafiły ponieść w niespodziane zupełnie ujścia czynu i ducha.

Brwi pani ściągnęły się chmurnie, a spojrzenie z pod oka pytało nieufnie: »Co tobie właściwie po głowie się snuje? Czy nie tamten: nieboszczyk?«

— Ha, — mówiła po chwili, rozplatając ręce, — żyjemy w czasach bardzo niearmatnich. A mężczyźni? Niech się pan przyjrzy ich dzisiejszym namiętnościom...

Urwała nagle. I, przeprosiwszy go niemo błędnym uśmiechem, powstała szybko z miejsca.

Bo oto z szelestem ogromnym, jakby wleczonej za sobą gałęzi, sunęła ode drzwi kobieta w srebrzysto białym stroju, o włosach jak miedź, cała od lśnień sukni i od brylantów na szyi jak od rosy połyskliwa. Gestem

ramienia skrętnym podejmowała tren sukni z tyłu, nieco niżej stanu i, niby łabędź nastroszony, płynęła środkiem salonu, piersią i osadą bioder wypięta, kształtem litery *S*, łączącej dwie wysady nazbyt sowite i sobą jakby pyszne. Sukniami szumna, jakimś szalem, czy też puchowem »boa« w barokowe arabeski obramiona, zwracała ku ludziom bardzo białą twarz i zimny na niej uśmiech, który jawił się i zamierał jak w automacie. Od nagiej piersi szedł wiew perfum mocnych.

Nieco zapóźniony wkraczał za śpiewaczką jej towarzysz światowych tryumfów: chłop nieco przytęgi, lecz doskonałym frakiem jak koń dobrze stroczony. Rozdawał swe szczęście w ukłonach, rozsiewał je w uśmiechach. Gdzie przeraźliwie lśniący gors jego koszuli ludziom w oczy zaświecił, tam ukłon, uśmiech i krótki rzut ubrylantowanej prawicy zdawał się mówić: »to ja!« zaś zwrócona ku śpiewaczce dłoń lewa: »to my!«

Z lic kobiet, co ładniejszych, tryskała ciekawość na pierwszy widok śpiewaczki i jej sukni, lecz wnet potem odbiła się na nich jakby niechęć i osadzenie się nieufne. Starsze damy z ciekawością okrucieństwa szukały po sali Bolesława Zaremby, młodsze oglądały się za nim ze smętkiem w oczach, ogromnie w tej chwili kobiecych.

Lecz jego nie było już w salonie, przepadł gdzieś za drzwiami.

Młodzież męska doświadczała tymczasem obiecującego dreszczyku poznania sławnej diwy. Gradem tedy posypały się wersye, plotki i świństwa, szeptane na ucho.

Profesor miał wrażenie, że z wejściem tych egzo-

tycznych ptaków buchnęła na salę woń jakby z areny: zapach ostrych perfum pomieszany z powiewem od końskiego nawozu. I myślał, że temu panu w nienagannym fraku byłoby zupełnie do twarzy z eleganckim biczem w ręku.

Lecz oto widzieć musiał, jak pani domu, zwykle o tak wyniośle ociągającym się kroku, teraz oto pośpiesza nerwowo i, chwytając podaną szeroko dłoń sławnej diwy, zmniejsza się jakby w fałdach sukien, przykuca nieomal dygiem. Widzi nadto, że zwykle tak chłodno odbierająca hołdy otoczenia, miesza się najwyraźniej i chce jakby cofnąć swą rękę, gdy sławny śpiewak w sztywnym ukłonie podnosi niezgrabnie do wygolonych szczęk swoich.

Profesor targał brodę. Bo wśród tych tu kauczukowych kobiet, na których odciskało się każde zaciekawienie elastyczną przymilnością wdzięku, ta jedna wydała mu się z kręgosłupem i mającą w sobie jeszcze jakąś nikłą resztkę rasy, jakiegoś ładu w instynktach: w tym pogodnym bodaj spokoju wejrzenia i giestu, któremi schlebiała dotychczas wszystkim zmysłom jego.

»Zgnuśniała, zmieszczała Helena z Komierowskich baronowa Nieman!« — mruczał gniewnie w brodę.

Nie zauważył, jak tuż nad nim stanął długą postacią o łysej głowie *charmeur* niewiast tutejszych: pan Horodyski. Na ostrych wąsikach i w oczach świdrujących wisiał już jakiś koncept o kobietach, czy też sekret którejś z nich. Jakoż wskazując na trzy postacie zdala, jął coś opowiadać o mamie i dwuch córeczkach, o krótkich sukienkach i lekarzu. »Tfu«! — przerwał mu w myślach

profesor, nie siląc się nawet na zrozumienie, o co idzie. Omierzły był dlań ten typ wielkomiejskich doświadczonych, a jeszcze wstrętniejsze to przeświadczenie, że one właśnie, kobiety po miastach, bywają wprost fascynowane przez takie typy.

»Grzyb« — myślał, spojrzawszy po chwili na tę łysą głowę na długiej szyi. — Dosyć pajęczyny gnuśności rozsnuwa się tu po kątach, aby z tej plechy nie miał wreszcie wyrosnąć właściwy plemnik cynizmu. A jest ich tu pono więcej: ilu zniszczonych i wytlonych w młodości bezambitnej, ile słabizny sentymentalnej, tyle purchawek zastoju, tyle grzybów z plemnią gatunkową jak one — we łbach! — Bo ta szaruga brzydliwości w słowach i myślach, zohydzająca nieomal oblicza ludzkie, wżera się przecie w niejedne oczy jak gęsta mgła, gotowa oślepić najniezawodniejsze w człowieku instynkty: zaszczute upiorami domniemanej życia brzydliwości, egoizmy nie czynne a tęskliwe, podlegają najłatwiej takiej właśnie sugestyi. W ten sposób pleni się to licho zastoju: od przegniłych ku najwrażliwszym.

»Niech się pan przyjrzy namiętnościom dzisiejszym tych mężczyzn«, — przypominały mu się jej słowa ostatnie.

»Tak! — dodawał w myślach, — gdy fala energii powszechnych opada, kobietom przedewszystkiem leniwieją dusze i zatruwają się wyobraźnie próżne. Już nie ci, co »harmaty« zdobywali, królują w marzeniach, lecz egzystencye na atmosferę pokojów najczulej wrażliwe — artyści; dokonywają im oni władz uczuciowych rozkładu, lub też sami w tchnieniu dusz leniwych i wyobraźni

zatrutych giną. To z Woydą nie było tylko egzaltacyą uczuć zawiedzionych, lecz może głębszym sensem tego tu życia, jego koniecznością nieomal: — tu sztuka sama zatruwa się dziś swą niegdyś podnietą romantyczną. — Duch w kobietach z towarzystwa, szersze tchnienie ich wyobraźni i głębszy nurt marzycielstwa pozostanie pono na zawsze pogrzebaną legendą romantyzmu: kiedy to muzy sielskie, pełne szlachetnie stylowej pozy, pozwalały się ubóstwiać czarnym wieszczom, interesując się jednak bardziej harmat kolorowymi zdobywcami. Zepchnięte z koturnów romantycznych, rozsznurowane z katolicko-salonowego gorsetu empirowej mody, »równouprawnione« przedewszystkiem w pogoni za dosytem, te biedne niewiasty jałowieją poprostu z samego poczucia swojej dziś pospolitości. Taki ot grzyb wielkomiejski lub śpiewak przejezdny: oni to rozbudzają jeszcze ich ciekawość do życia, rozgrzewają wyobraźnie«. —

Wśród wielkich czołobitności przystawiono tymczasem śpiewaka do fortepianu. Nad klawiaturą chylił się młody muzyk, znoszący z determinacyą taką tu rolę, oraz protekcyjną rękę na swojem ramieniu. Tylko gdy na nuty okiem rzucił, szarpnął się niechętnie i z tym większym impetem uderzył w pierwsze akordy. Śpiewak poprawiał mankiety, chrząkał. Ramiona zwiesił jak atleta, obłąkiem ku sobie, lekką nóżką kozła przed się wystąpił i — rozpromieniał.

Zaśmiały się ku niemu dziesiątki kobiecych oczu roziskrzonych ciekawością. Śpiewak chrząknął raz jeszcze, akordy władnym spojrzeniem przeciął, pierwszych nut

czekał. Odął wreszcie grdykę indora, miechy podjął, łeb czarny na krótkiej szyi w tył chylił, wyrzucił ramię i uderzył jak w róg alpejski:

Niech ryczą! — niech ryczą! — niech ryczą!! —
wzburzone fale...

Jeszcze rozedrgane dźwięki pulsowały w sali, gdy śpiewak już zęby radośnie szczerzył, podziw zbierał. I ku oczekiwaniu wdzięcznie pochylony, oddawał echo z piersi zasobnej, rozsiewał je ludziom na zachwyty:

»*Wzburzone fa — le...*«

Tak żywioły uśmiechem zwyciężywszy, szczerzył zęby dalej.

I ryczał za żywioły.

Gdy uciszono się wreszcie na żądanie bisów, gdy nawet pogwarki kobiet milknąć już poczęły, wiotka dama z wyrazem nudy na ustach rozszerzonych w dziób ptaka, chyląc powoli w stronę śpiewaka swój stan giętki i długą szyję, szepnęła prośbą smętną:

— *Chanson du Torero.* — Z Carmeny.

On widząc przepych perłowej kolii na tej szyi, kłaniał się z wielkim szacunkiem. I krótkim ruchem dłoni nakazał odpowiedni akompaniament.

A gdy padły pierwsze nuty, chylił się wraz ku słuchaczom, twarz jak księżyc uśmiechnięty obracał za tłumem i szerokim kołem ubrylantowanej prawicy wodząc po gościach, uderzył w dzwonną pierś:

Il circo e pien di festa!
Il circo e pien di su, di giu!
Gli spettator perdon la testa...

— wpieszczało się aksamitnie w rozkosznem dla północnych kobiet połechtaniu niezrozumiałych słów włoskich.

Wywabiony śpiewem z dalszych pokojów stanął Bolesław Zaremba we framudze drzwi i wbił spojrzenie w podłogę. Powoli, jakby zmagając się ze sobą, uniósł głowę i zawiesił spojrzenie na niej. Zdziwiło go przedewszystkiem mroźne tchnienie obcości, jakie owiało go w tej chwili. I równocześnie zastanowił rudy jej włos. »Jeszcze bardziej się przebarwił, myślał z zastanawiającą dla samego siebie apatyą. I przybyło tych włosów dziwnie na te spiętrzenia pokrętne, oploty i węże skłębione. Chociaż przy ogromnej bieli twarzy i marmurowym chłodzie piersi obnażonych niemal po brodawki niespokojna pokrętność tych włosów, oraz ich barwa gorąca robią dobrą plamę — myślał patrząc zimno jak na dziw obcy, — przy tych szatach zwłaszcza o srebrzystej bieli i łuskowych refleksach, oraz białych rękawiczkach aż po pachy.«

Gestem królującej w salonie diwy bokiem o oparcie rzucona, słała sobie podnóże z spiętrzonych fałd trenu, bardziej jeszcze połyskliwych od sukni. Pochylona ku śpiewakowi, skręcała się w sobie jak łodyga słonecznika, prężąc w tem przegięciu pychę i chłód nagiej piersi i wytłaczając niemal w przeciwną stronę obciśnięte sukniami biodra. Puchowe »boa« opadające z ramion ujmowało ją w białe ramy wirowych, niespokojnych skrę-

tów, wężowem wychyleniem gięło się sztucznie i ramię wsparte na łokciu. I tym kształtem rysowała się cała: w kapryśnych essach, zygzakach, arabeskach, — w barokowej fanfarze wielkostołecznego szychu.

I biła od tej kobiety fanfarą owa melodya wartkiego po stolicach życia, gdy roziskrzą się światła wieczorne i roztworzą najjaskrawsze kramy podniet nerwowych dla tłumów, gdy sztucznych świateł podnieta gorączkowa zagra jakby do ataku wszystkim pulsom woli w tym podwieczornym niepokoju wibrującego wprost czasu, gdy bruki same niosą elastycznymi kroki w świetliste chromy tłumnej żądzy użycia.

Oto widzi wspomnieniem te wylegające na podwieczerz ciżby. »*Circenses!*« — grzmi w tym gwarze i rozhuku wieczornym. Walą tłumy z burzą tej żądzy tajemnej, co chleb życia na chleb wyobraźni mieniać im każe, te same nieomal, co ongi za widowiska sprzedawały imperatorom wolności dusze, a dziewkę cyrkową wynosiły na tron justynianowy. — »Teodora!« — ryczał taki sam tłum może, jak ten, który pcha się oto w natłokach po marmurowych schodach świetlistego pałacu, a szum swój głuchy przycisza nagle w szepty, rozstępuje się na boki; gdyż oto po marmuru stopniach, ścieżką purpurowego dywanu wstępuje lekką stopą, szelestna i wonna, w puchach zarzutki jak w piórach ptaka białego, czubem włosów miedzianych i lodowatą dla tłumów twarzą widna...

Ona!

Zaś dołem, w cieniu teatru — te z wieczornego przy-

pływu tłumów na ulicach, z niezliczonych gorączkowych twarzy na schodach pałacu wyłaniające się w półmroku sali postacie spokojne jak robaki w burzy: te gentelmeny z mdłego Cosmopolis, te fraki i smokingi bezlicowe, którym zwierciadło twarzy chyba nie powtórzy; wejrzenia poprawno nijakie, nienagannie żadne; ten stołeczny patrycyat użycia, te bezkręgowce miękkie, których najburzliwsza fala miękko niesie, te czarne robaki, żerujące z flegmą w barwnych burzach namiętności tłumnych.

»*Ah,— bravo Toro! urla la gente*... — wpieszczał się tymczasem w salonie głos śpiewaka bogaczom przymilny.

Tak było i wówczas! Taki sam głos, o temże brzmieniu i barwie rozlegał się był wtedy na scenie, gdy zatopiony w morzu głów ludzkich w samym środku frakowych gentelmenów kurczył się i jeżył na fotelu w swej kurtce aksamitnej — pierot chyba? — myślały monokle. Oto wtula głowę w ramiona, jak sowa w pióra, ręce wbił po łokcie w kieszenie szerokich rajtuzów, a białą twarzą i oczami wilka spogląda na nią, jak w kostyumie cyganki, czy też Colombiny jarmarcznej przemyka się oto ptakiem nieuchwytnym przed pożądaniami tysięcy — śmiechem i szydem śpiewająca.

I zdawało się monoklom, że nad krzesła wyrzuci się ramionami pierot i krzyknie temu rywalowi o wejrzeniu tysięcy:

»A jednak moja! moja! moja!«

W stonowanym blasku marmurowej hali, gdzie bronzowe świeczniki rozlewały czerwonawe światła, jej postać zatulona w białych puchach zarzutki, włosów mie-

dzianych błysk, twarzy sztuczne zlodowacenie przed blizkiemi oczami i uśmiech prawie bolesny, gdy jej podawał rękę do powozu. Drzwi ledwo słyszne zapadnięcie w zamku, cwałem a lekko ponoszona po brukach kareta.

»A jednak moja! moja! moja!«

Oddechy obojga gorące w usta sobie przerzucane, warga o wargę. Przed nimi koni lekki cwał, za nimi szum odpływu głuchy: wezbrane morze tłumnej namiętności wraca w swe łożyska, bujny tłum rozpływa się po ulicach, rozszczepia w gnuśne jednostki.

»Patrzy!« — krzyknęło w nim jakby na alarm, gdy diva, poruszywszy się nieco na krześle, teraz dopiero spojrzała po raz pierwszy w jego stronę.

Szarpnął się w tył i wywinął za portyerę do sąsiedniego pokoju, omal nie nastąpiwszy na czarną kukłę murzyna, wyciągającą ku niemu swą tacę mosiężną, a na niej dzban kryształowy i czarę: te same, które onego wieczora podawał było Woydzie.

Pamięta! Burza egzotycznej po świecie namiętności wyrzuciła go w życie rodzime jak rybę na piachy — w onym właśnie czasie gdy tu Woyda skończył ze sobą.

Pamięta! Karawan brzydki aż do załkania kołatał i zgrzytał chwiejnemi kołami pod zakasaną spódnicą żałobnego wozu, pluskał po kałużach, kolebał trupem w pudle i podążał głupkowatym truchcikiem indolencyi w grzęzkie piachy podmiejskie. Chowano marzyciela. — Ta smętna karykatura rodzimego pognębienia wrażała mu w mózg jakby brunatno-żółtą barwę rdzy, co prze-

żera zda się tę nędzę okolną i rzuca się nieomal na ludzkie oblicza, stępia nagle marudą bezduszną, która jest na tych twarzach beznadziejnym smutkiem apatyi. Przez te nędze, halizny i piachy, pod spojrzeniem ludzi ponurych wiedzie droga do czyśćca... chyba, — myślał — w jakiś buddyjski koszmar dzisiejszego świata. — I wlokąc się tak za trumną z owstrętnionemi usty, spostrzegał ze zdumieniem, że takich jak on jest tu więcej: ludzi, porozumiewających się niemo wyrazem niesmaku i pogardy dla wszystkiego, co ich otacza, dusz czyśćcowych, które zaprzepaściły w sobie impulsy do życia. Jak ten oto, którego chowają! I zdawało mu się, że temu samobójcy z miłości zaśpiewają jego żałobnicy to *Requiem* krucze: »Ohyda fałszu i obłudy, pakość jadowita porasta dziś te niwy, na których ongi młodsi znajdowali zachwycenie i poryw, starsi — wolę i dokonanie. Zatrute jest źródło ochoty wszelkiej! Nie warto niczego chcieć! Niewarto ku niczemu marzeniem nawet wybiegać! Zaś ta nędza, ten smęt, to ponure niedołęstwo naokół: wszystko to pozostać widocznie tak musi«.

»Nie jedenże to sercu rezultat, — myślał teraz, — i nie jeden życiu okolnemu zysk: to moje spalenie się w żądzy egzotycznej i to ich wytlenie w uczuciach rodzimego zastoju?«

I nagle stanęła mu przed oczami ta mała — Ola: to ciche marzycielstwo dziewczyny, zakażone gnuśnością okolną; jej drobne, zimne ciałko, spalone przez gnuśnych żarem własnej zmylonej duszy; jej słowa wreszcie, niby tego

żagwienia się wnętrznego dymy fatalne: »brunatne, rude, rdzawe, ociekłe, błotne, zwiędłe, zmurszałe«...

Otrząsł się całym ciałem.

A gdy oczy podniósł wzdrygnąć się musiał po raz drugi.

Spozierały na niego ślepia białe tej wielkiej kukły murzyna, wyciągającej w swych łapach goryla tacę mosiężną, a wniej dzban kryształowy i lodową niby czarę: te same, które onego wieczora podawał było Woydzie.

Bydlęcą powagą nieodpartej jakby siły spoglądał na niego stróż zastoju, jak sam czas niemy, uczuć i namiętności rozkładowych świadek ponury, eunuch czarny z ślepiami jak przerażenie.

Ocknął go z tego otępienia głos śpiewaka donośny:

Perche la festa e del valore,
Perche la festa e del va — lor!!

»O czemże to on śpiewa? — zamyślił się nagle. — O »valore«: — dzielności! że jej to świętem radosnem jest miłość — tam na świecie: gdzie krew z żył gorąca i w ramiona skore niby żelazo roztopione wpływa, gdzie każda namiętność czyni się sama życia potęgą zwycięską.

Andiam! — Andiam in guardia! — Andiam!
Andiam! — Ah...

Śpiew wzbijał się wciąż! — jak gdy ostatni na wiosnę słowik w klask ostatni uderzy, gardłem czas jaki przebiera, nutę wyciągnie i zapamięta się śpiewakiem: za echem własnym śląc głos już nie swój — w te gwiazdy

po nocy migające; by tam aż, w gwiazd obliczu, przełamać głos podniebny w krzyk żądzy najniecierpliwszy!...

Cieliste kobiety z dobrobytowego opasu, panie o miękkich spojrzeniach i pulchnych policzkach, luksusowe małżonki siedzące zawsze z apatycznym ruchem kolan niedomkniętych i te wiotkie, z cierpkim grymasem nudy na licu zopierzałem, — wszystkie te kobiety spięła iskra życia w jeden łańcuch oczekiwania, przez który przebiegał niespodziany prąd namiętności egzotycznej. I uderzył w nie ten prąd raz w raz! raz w raz! łechcąc, drażniąc, podrywając nerwy w ciałach tłustych aż do zachwytliwego bólu.

A gdy się śpiew skończył, oczywista na nucie efektu wysokiej, rozdartej, samego śpiewaka podejmującej na palce, wówczas stał się z kobietami szał.

W długim grzmocie oklasków szelest sukien kobiecych podrywny, w zaszum mgły zerwanego stada kuropatw, skłębienie się szelestne barwnego wieńca kobiet wokół śpiewaka, gwarne rozkołysanie złotych i ciemnych główek, ramion w białych rękawiczkach wyrzucanie się w górę i kwiatów pęki przez nie miotane.

— Och, jakiż to artysta! — wzdychały zasapane na krzesłach matrony.

Od strony gabinetu poczęły wchodzić do sąsiedniego pokoju grupy starszych panów w gęstej dymnicy od cygar i w basowym pomruku rozmów.

Zjawił się i gospodarz: gorzko uprzejmy, grzecznie wyniosły, ubrany z wyszukaną sztywnością. Czarny i tłusty włos okalający łysinę na ciemieniu miał coś z nadmiernego połysku i martwoty peruki, zresztą i niepokalany gors koszuli był trupiego blasku: wszystko jakby martwiało na tym człowieku, niby na uroczystość dworskiej żałoby. Najsztywniejsze wszakże były szeroko rozwidlone szpakowate baki, nadające obgolonym wargom w tej jamie włosów coś z rybiego wyrazu. Pan powrócił dopiero co z Petersburga, miał dużo do powiedzenia i jeszcze więcej do przemilczenia: świeżym kontaktem ze stołecznemi sferami wzbudzał większy niż kiedykolwiek szacunek wśród swoich gości.

Teraz oto prowadził pod ramię wielkiego, jak piec, chłopa o podgolonej jasnej czuprynie i ostro rozstawionych wąsach. Profesorowi powiedziano, że jest to podobno korespondent do gazet berlińskich i że na

opinii europejskiej zależy nam wszak bardzo. Suchy i sztywny wygląd gościa wywołał na pół ironiczne zaciekawienie gości do koszarowego fashion. Jego bardzo lakoniczne odpowiedzi wzbudzały jednak poważanie dla prasy europejskiej, zaś ostre i krótkie gesty znalazły już naśladowców.

Koło gospodarza i berlińskiego gościa krystalizowała się tedy powaga. Ten stateczny korowód panów, zahaczywszy o profesora z Krakowa stał się jeszcze bardziej poważny i surowy. W milczeniu gości, oraz w ich chrząchaniach czuć było chwilę oczekiwania: wiadomo było z doświadczenia, że zebrania w tym domu mają zawsze swoje *clou* sprawy publicznej.

Z salonu biła tymczasem pełną falą muzyka. Gospodarz z lekkiem zniecierpliwieniem zamykał cicho wielkie skrzydła i zasuwał portyery, ktoś usłużny uczynił to i przy drugich drzwiach. Półmrok ogarnął panów: rozpłomieniły się w nim zarzewia cygar, rzucając ostre, czerwone błyski i głębokie cienie na twarze starcze. Lecz wnet zapłonęła lampa u góry, ścieląc po twarzach zimniejsze półświatło i łagodniejsze cienie: to lokaj zgasił świecę na kominku i rozniecił elektryczność, by oddalić się wnet krokiem bezszelestnym i tajemniczym. Panowie chrząchali coraz twardziej, na nieomylne świadectwo, że niejeden z nich się czuł niezręcznie; ten i ów doświadczał nawet interesującego dreszczu spiskowca.

Wśród wysztywnionych białych gorsów i dymiących cygar panowała skrzepła, sucha atmosfera wysilonej po-

wagi po tak swobodnych rozmowach przy preferansie. Ta nakazowość chwili schlebiała najwidoczniej wszystkim instyktom gospodarza, bo uznawszy wreszcie moment za stosowny, powstał i, unikając najstaranniej wszystkiego, coby mogło trącić stylem i okrasą, wygłosił w starannie oglądane paznokcie swej ręki, że obecne kłopoty rządowe w czasie, kto wie, czy nie przedwojennym, czynią go bardziej pokojowym na wewnątrz. I tak, naprzykład, w rozmowie z pewnym »miarodajnym czynnikiem« wyniósł gospodarz wrażenie, że pewna finansowa inicyatywa społeczna w zakresie użytku publicznego, przy umiejętnem przepchaniu jej przez niższe dekasterye, nie natrafiłaby na zbyt silny opór u góry. Miano wprawdzie na myśli herbaciarnię, lub przytułki, lecz przy umiejętnej formalistyce i zręcznem argumentowaniu interesem rękodzieł, eksportu, zdolności można nakierować pozwolenie na Muzeum sztuk pięknych, o którem była już tylokrotnie mowa w gronie panów. Wypadałoby również skorzystać z jakiej okoliczności galówkowej, okazyi, czy egidy, dla których mają tam smak.

Po tem obwieszczeniu wszczął się gwar bezładnej rozmowy. Uwagę wszystkich pociągali dwaj panowie: stary o czerwonej twarzy i siwych wąsiskach, oraz pan smukły o długiej pogarbionej szyi, maskujący zakłopotanie niezmierną dla wszystkich uprzejmością. Wiadomo było, że stary jegomość, bogacz ukraiński, »pragnie coś zrobić« i że hrabia zamierza zerwać z bardzo przewlekłą i nieco płochą młodością w sposób równie obywatelski, jak hojny. Kilku publicystów miało za to pomysły

i ambicyę. Stanęła tedy rada tajna przy zachowaniu zwykłych ostrożności, to jest pod osłoną hucznego przyjęcia u gospodarza.

Oto wystąpił pierwszy publicysta z wielkim rękopisem w dłoni.

— Panowie, — zaczął z szerokim gestem, — pierwszą troską cywilizowanych narodów, powiada mądrość...

Gospodarz ujął go bardzo delikatnie za łokieć i z cierpką uprzejmością tłumaczył, że nie wystarczy czasu na wysłuchanie kilku, interesujących skądinąd, prelekcyi. Rozległ się pomruk aprobaty.

— W takim razie wycofuję się z moim referatem! — obwieścił wyzywająco rzecz przez innych już postanowioną.

— Wielmożni panowie, — odezwał się z kolei głos ochrypły i, wyłamując z trzaskiem palce zakłopotanych dłoni, wystąpił uwędzony w dymie tytoniowym niezmiernie długi i zaschły pod żółtą skórą jegomość. — Prawdziwie wielmożni panowie! bo fortuna w rzeczach publicznych dobrze użyta całemu narodowi adjuvat, a jego dobrodziejom chwały i godności przysparza. Gdy głód w Polsce panował, otwierały się królewskie i pańskie śpichrze. Otwórzcie duchowe śpichrze dobrodzieje nasi! Ten głód ciężką klęską nam grozi, wysiewają się już tylko chwasty i co jałowsze ziarna. Użyczcie książek! Dosypcie grosza! — błagał i trzaskał palcami suchotniczy pan. — Załóżcie śpichrz pod zasiewy nowe: stwórzcie bibliotekę!...

»A niech wam tak Bóg fortunę podwoi, oraz w tem

i przyszłem życiu nagrodzi, — amen!« zakończył ktoś półgębkiem i pociągnął suchotniczego pana za rękaw tak silnie, że posadził go z impetem obok siebie. »Jak pan może w ten sposób!«

— Ależ drogi i najmilszy! — Suchotniczy pan pochwycił sąsiada za obie dłonie, kierując w jego stronę impet swego wzburzenia. — Pan który bywałeś w Paryżu!... Pan, który także nauką się zajmujesz!...

Gdy nagle zakasłał ciężko i musiał wyjść z pokoju.

— Proś ty ich, młody panie! — wykasłał w chustkę na pożegnanie. — Proś!

Jakoż młody pan głaskał czas jakiś swą kozią bródkę, układając w myślach przemowę, wreszcie osadził nerwowo binokle i poprosił o głos:

— Tradycyjne to wprawdzie kolumny polskiej oświaty: pańska i mieszczańska łaska, a młodzież nasza od wieków nie wychodzi z żebraczej roli żaka z misą na progach cudzych kuchen...

Kilku starszych i mniej ruchliwych panów zadowoliło się wypuszczeniem gęstych kłębów cygarowego dymu i wzgardliwym okrzykiem: »Ba! ba! ba! Wszakże z ust bardziej krewkich padały pod nosem i obelżywe słowa. »Także owoc pańskiej łaski w czasach demokratycznych! — syknął w kącie starszy głos. Pan Karski z Wójtówki posyłał ‚to' do szkół. Ekonomem u pana Karskiego był ojciec oratora«.

Gdy niespodzianie wyskoczył na środek student, i opinając szczupłe piersi w mundurek:

— W imieniu! — obwieszczał, — uczącej się mło-

dzieży! — Okrzykiwał, — protestuję! — roznamiętniał się nerwowo.

— A idź pan do stu par dyabłów! — Zniecierpliwił się ostatecznie starczy głos.

Gospodarz ruchem desperackim obu dłoni głaskał tłusty włos na skroniach. Warcholi i smarkacze zburzyli na samym początku całą powagę zgromadzenia. »To są sympatye żony!« myślał z goryczą.

Nadomiar od strony salonu przemycał się raz w raz ktoś obcy. Oto wpadł młodzieniec z ostrym wąsikiem, krótkowzrocznemi oczyma, oraz nosem człowieka najwidoczniej zawsze krzętnego; wpadł, rozejrzał się, powąchał i w pas się kłaniał.

— Jestem przyrodnikiem! — mówił z ukłonem, — asystentem stacyi biologicznej na Białem Morzu. Korzystając z bytności w kraju i tak szczęśliwego trafu narady szanownych panów, przybiegłem umyślnie, by rzucić myśl, projekt, który tylokrotnie zaprzątał na obczyźnie moją ambicyę Polaka. Od czasu gdy stopa polska dotknęła lodów podbiegunowych (mam na myśli pana Arctowskiego) projekt naszej ekspedycyi w arktyczne regiony stał się marzeniem przyrodnika i patryoty. Okręt ochrzciliśmy czcigodnem imieniem »Jana z Kolna« w pamięć tego, który przed Kolumbem dopłynął pono do brzegów Ameryki. Nie wątpię, że znaleźliby się u nas ludzie hojni i nauce w duszy oddani, których fascyonować musi myśl, aby sztandar duchowy naszej stolicy zatknąć na biegunie kuli ziemskiej.

Czerwony wąsal z Ukrainy wypuścił z ust cygaro

i otrzepywał impetycznie płonące jeszcze popioły na swoich i cudzych kolanach.

— Bój się pan Boga!

— Panowie! — panowie? — piszczał cienko i wymachiwał rękami jakiś frasobliwie niespokojny osobnik. — Toż dyskusya się rozprasza! Proszę o głos w sprawie formalnej.

I zwracając się do korespondenta niemieckiego:

— Nie mamy wyrobienia parlamentarnego.

— *Allerdings. Ja. Leider.*

Te twarde z berlińska odbębnione słowa stropiły zupełnie nieświadomie wielomówny temperament zebrania. Nastała cisza.

— To — to! — podrzuciła się z basowym pomrukiem otyła osoba o rozlanych szeroko na kanapie brutalnie tłustych udach. — Muzea!... A tam jeszcze: i sztuki piękne!... W porę ktoś skoczył w arktyczne aż regiony. To są, panie, arktyczne regiony na dziś: te wasze muzea i sztuki piękne. I równo mi z tymi sztandarami na biegunach. Śmiech i wstyd! Ot, zrób który expedycyę na powiat: popatrz, powąchaj! Sprawa krajowa ma być powszechną... Chyba! Nie?... Ot, któryś z sąsiadów już dobrze mówił: »a to drogi! a to szosy! — a to spławy! — a to melioracye! — a to kredyt rolny!

Wyliczając to wszystko trzymał sztywno do góry palec wskazujący, a raczej kusy pierst z ciężkim sygnetem herbowym. — Ot, wam dobro publiczne! Jest nad czem głowy suszyć i debaty wszczynać. — A tamto? — zamyślił się i, opuszczając powoli wyroczny palec, koń-

czył tonem minorowym: — Dobre, serdeczne słyszano tu mowy gorącej młodzieży. Szanuję młodzież i ja. Ale gdzie męże do rady?

Podrzuciwszy ciężkie ciało na dłoniach, dał nura w głąb kanapy, wystawiając na salę podeszwy krótkich nóg. W tej pozycyi machnął wzgardliwie ręką:

— Człowiekowi nieraz za swój naród »wstydno«!

I tłusty pan przytłoczył sobą całą sprawę. Jak pierzyna wielka stłumił sobą gwary. Tylko na podtrzymanie jego autorytetu rozlegały się w ciszy już twarde i pewne siebie, wyzywające wprost chrząkania panów ze wsi. Milczano.

Gospodarz zwiesił z niesmakiem rybią wargę.

Gdy wąsal czerwony, siedzący obok tłustego pana, począł opozycyjnie trzeć grzbietem o kanapę. Jego autorytet nabaka, mający ostatecznie rozstrzygnąć wszystko, czynił ciszę napiętą. Stary przedewszystkiem splunął gromko w kraciastą chustkę, chrząkał, wreszcie jął mówić:

— Krowy są — zaczął odrazu od najniedelikatniejszej aluzyi do siebie, spoglądając zarazem i na hrabiego. — I dójek nie brak. Boję się tylko, że nas w dziurawe beczki wydoić pragną: każda tu sprawa głodna, każde cielę przepaściste. Głodnyś — sadowią cię przed misą i mówią: »weź bracie, ale jedną tylko krupkę jedynieńką«. Co ja mówię! — kup sobie krupkę, powiadają, ale jedną, nie śmiej więcej! Myślę gąb głodnych dziesięć posadź z takim nakazem u misy, każda inną krupkę wybierze: ta moja, pomyśli, najtłuściejsza. Zgody między nami, najmilejsi moi, nie będzie. I nie będzie nigdy

zgody między nami o te krupki. Nad siły to i możności ludzkie. Gdyby na rady jawne przyszło, o krupki, najmilejsi, sprzeczalibyśmy się wiek cały. Najswarliwszym narodem na świecie uczynią.

Zaczem wyjął z kieszeni kraciastą chustę, strzepnął szeroko, ujął pośrodku garścią i ukrył w nią nos wielki. I trąbiąc przeraźliwie długo, przemagał w tem ukryciu twarzy swe wzburzenie wobec tak uporczywego wpatrzenia się ludzi. Wreszcie wychylił twarz czerwoną z za chusty i podgarnął chmurnie wąsa. A że ludzie wciąż jeszcze oczu z niego nie spuszczali, jakby oczekując dalszego ciągu, więc się stary ofuknął:

— No, gadaj, który z panów wiesz lepiej!

Druga krowa, którą wydoić miano, stała tymczasem cierpliwie na uboczu: hrabia o długiej szyi darzył uprzejmem baczeniem każdego, kto tylko przemówił. Gospodarz cierpki i niezadowolony z obrotu dysputy, prosił tymczasem panów o powrót do gabinetu: tam miał nadzieję ująć rzecz w swoje dłonie; tu naprzykrzała się wciąż muzyka i raz po raz wchodził z salonu ktoś niepożądany.

Wszakże narada panów rozbijała się już w liczne gawędy grup.

Profesora zatrzymał suchotniczy pan, który tymczasem powrócił był do grona. Nazwał się Downar, Antoni Downar, podkreślał imię, jako niezmiernie ważne widocznie i, schwyciwszy jego rękę, ściskał mu ją gestem ponurego braterstwa — jak mason. Przed laty kilkunastu miał nawet zaszczyt przesłać mu swoją książkę. — »Aha,

także uczony!« — tłumaczył sobie profesor, to dziwne powitanie.

Pan Downar westchnął:

— U nas panie...

I splatając kościste palce o martwych, białych paznokciach, rzęził monotonnie o tem, jak to swego czasu sprzedał zaledwie kilka egzemplarzy swej książki, a wydał własnym nakładem. Ma już od lat sześciu gotowe dzieło »O czytelnictwie w Anglii«. W ostatnich czasach dopiero zajęli się wreszcie wydawnictwem tamci ludzie zacni, mówił, wskazując na wychodzących panów. Gdy dzieło ukaże się na półkach, nie omieszka przesłać je profesorowi. — Panowie uścisnęli sobie ręce. »Głównie brak książek profesorze! Bo zresztą robimy i my tutaj, co się da. Wydajemy Encyklopedye...

— Jakież to? — przerwał profesor.

— Niezliczone i nieskończone — wtrącił z ubocza jakiś głos.

— Niech pan tak nie mówi — prosił łagodnie pan Downar, przeginając z trzaskiem długie palce. Jest w tem tyle rzetelnej »pracy« w nieprzespanych nocach, po »czynności« biurowej. Niech pan powie o tem komu należy, — pan żyje z dziennikarzami... Właśnie dwaj moi niegdyś uczniowie pragną prosić pana o doradę — zwrócił się tymże żałosnym głosem do profesora.

»Mikulski«, — »Bogdanowicz«, — przedstawiło się wraz dwuch młodzieńców. Z bezładnego nieco wstępu dowiedział się profesor przedewszystkiem, że młodzi panowie zdążyli już wydeptać bruki i omieszkać poddasza

wszystkich stolic. Z nieustannych zaś komentarzy pana Downara i kłótliwych opowieści młodych wyrobił sobie rychło jaki taki obraz ich życia: oto młodzi panowie za swe ubóstwo, lichą schludność odzienia i nieukładność wschodnią lekceważeni wszędzie przez swych »burżuazyjnych« po Europie kolegów, napastowani brutalnie przez obcą policyę, wycierali ławy po aulach wszystkich cudzoziemskich i pogardliwie wobec nich obojętnych duchowych »mater«. Kryjąc się zaś ze swym niedostatkiem po stołecznych getach wszelkiej biedy, nasiąkali, — jak przypuszczał, — nie tyle kulturą, ile krzywdą i fermentem nędzarzy całego świata. W obecnej prośbie o doradę szło im o »studya społeczne« dla osłodzenia sobie omierzłej »techniki«, której uczą się dla chleba.

— Panie! — akompaniował im pan Downar westchnieniem, — u nas trzeba być bohaterem, żeby »uprawiać pole nauki«, — wołał, nie zapominając w swem wzburzeniu i o obowiązkowej kwiecistości wyrażenia, skoro mowa o nauce.

— Nauki? — powtórzył profesor mrukliwie, patrząc z ponurą niechęcią na »encyklopedystę« pana Downara za tych dwuch jego adeptów.

Tłusty szlachcic z Litwy baczył na to wszystko zdaleka jednem okiem i uchem, wreszcie rozkiwał głowę, zasapał złośliwie i zanucił niespodzianie na nutę: »Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę«:

— »Tysiąc zżydziałych włóczy się po świecie!. . .«

— Panie! — nastąpił na niego pan Downar, z im-

petycznym trzaskiem swych poplątanych jakoś palców, — panie, tą drogą dochodzi do nas dziś trzy czwarte niezarobkowej wiedzy. Tą drogą dojdzie kiedyś...

Zakasłał i nie mógł mówić dalej. Hrabiego zagadywała tymczasem zręcznie i zatrzymywała przed obrazami na ścianach osoba duchowna: ksiądz wielkomiejski w wytwornie skrojonej sutannie; w pasie cienki, w uśmiechu słodki, jak stara panna.

— Ach, z tego Muzeum zwykłym trybem nic nie będzie, — machnął ręką na wychodzących panów. — Ale kiedy mowa o sprawach publicznych pozwoli sobie hrabia przedstawić kilka ziaren, nie chcę powiedzieć lichych lecz drobnych, skromnych ziarenek, rzucanych przecie z wiarą w naszą ubożuchną glebę.

— »*Dzwonek loretański*« — odczytywał hrabia grzecznie, wetkniętą do rąk gazetkę, — »*pismo dla sług*«.

A że nie przemawiano do niego, wyczytując wciąż z oczu wrażenie, więc obracał gazetkę w palcach, przewrócił ją do góry nogami. »O, bez wątpienia...« — rzekł nieokreślenie i z niezmiernym szacunkiem zwracał księdzu te pobożnie zadrukowane ćwiartki papieru.

Wówczas ksiądz jął mówić o poniechanym biednym ludzie, o fermentach w nim współczesnych, nie znajdujących przeciwwagi w duchu obywatelskim, który odgraniczył się od maluczkich wyniosłością. A wszak służba i lokajstwo ma u nas tradycyę pierwszego związku ludowego, (niestety jakobińskiego!) za czasów Sejmu Wielkiego. Obyż teraz było inaczej! A wszak każdemu z nas zależyć musi przedewszystkiem na usposobieniu

i przychylności tej służby, która go bezpośrednio otacza. Wszakże to pisemko, podtrzymywane jedynie wdowim groszem ludzi najbiedniejszych, będzie musiało upaść dla braku środków. Więc zanim księdzu ręce nie opadną, choć z przykrością, choć przemożeniem się, pomny na niezachwianą cierpliwość błogosławionej pamięci księdza Boduena...

Skończyło się rychło na tem, że w rękach hrabiego znalazła się książeczka czekowa, a jedna jej kartka przed opuszczonemi oczyma księdza.

— Tylko — mówił hrabia nieco zakłopotany, — prosiłbym, (o dyskrecyę, — chciał był powiedzieć) — o bezimienność, — poprawił się rychło. — Bo właściwie co ja... ze służącemi? — rozmyślał głośno już dla siebie. To jest nawet trochę *rigolo!* — Zresztą nie mogę, uważa ksiądz, ze względu na mego Józefa, który jest widocznie innych przekonań, bo przemyca mi nieustannie jakieś odezwy między listami.

— Hm! Jakież to przekonania i odezwy? — zaniepokoił się surowo ksiądz.

— O, nie wiem. Zresztą, choć młody, robi najpoprawniej starego sługę i analfabetę. Więc mi to jest obojętne.

Tak to hrabia, oryentując się nieco późno, dolewał sporo żółci do zbyt pochopnego daru. Poczuł to ksiądz i starał się czemprędzej zamknąć sprawę, dziękując za dar tak królewski, który stawia pismo na trwałych i szerokich podstawach. W następnym numerze »Dzwonka« znajdzie się najwdzięczniejsze pokwitowanie...

A wobec przerażonych oczu hrabiego łagodził czemprędzej:

— Niby dla uczczenia pamięci... na zlecenie nieboszczki hrabiny matki.

— Właściwie... (hrabia stawał się nerwowy). — To już lepiej na imię nieboszczki ciotki. — O tak! świętej pamięci Moniki.

Nasz związek nie omieszka w dniu świętej patronki prosić na mszę zaduszną, — rzekł ksiądz, chyląc głowę.

I drobnym krokiem ruszył ku drzwiom gabinetu. Tknięty po drodze jakby inną myślą, odbił się wzniesionemi nieco dłońmi o warstwę powietrza, wejrzał ku górze, złośliwy uśmiech szerokich ust zwrócił na drzwi, z za których dolatywał gwar męski, — i cofnął się.

— Raz jeszcze dziękuję w imieniu moich tercyarzy! — rzekł, podając rękę doskonale krągłym gestem światowego człowieka. A gdy mu dłoń ściskano, wtulił się w ramiona i pochylił postać długą, jak osoba duchowna.

— Ależ to ja, księże kanoniku, dziękować winienem, — odparł hrabia najpoprawniej. Był na tyle uprzejmym, że zechciał zakończyć rozmowę akcentem towarzyskim, aby zatrzeć wzajemne może niesmaki po tych nudnych sprawach pieniężnych.

Mówił tedy:

— Nasz gospodarz jest w zachowaniu się, w atitiudach w sposobie ujęcia sprawy i wytrwałości całkowicie ministrable... Aa, — zupełnie ministrable!

Ksiądz zwrócił się tym razem ku przysłoniętym wciąż jeszcze drzwiom do salonu i wślizgnął się giętki za ich portyerę.

W grupach panów ukazywał się mundur wojskowy, witany zdumieniem w oczach i przesadną wnet potem uprzejmością gestu. Pułkownik obracał się w tej atmosferze z wschodnią dyplomacyą: był dobrodusznie zażyły, poczciwie niedbały, nie oszczędzając sobie po wschodniemu i cichej złośliwości w akcentowaniu swej prostoty wobec tego nadmiaru cudzej gentilezzy. Odnalazłszy na kanapie tłustego obywatela z Litwy, przysiadł się do niego, a raczej dał za jego przykładem nura ku poduszkom i szeptał mu do ucha:

— Z tymi tu ludźmi nigdy nie zażyjesz! Coraz to grzeczniej między nimi i coraz to bardziej ślizko. Każdy masło uprzejmości z oczu i ust sączy, byleś się o niego nie otarł odrębnością jaką, byle życie samo prześlizgnęło mu się gładko po duszy. Żadna ręka tu drugiej mocno nie chwyta, żadna myśl cudzą się dolą nie zatroska. Poodgradzali się tu ludzie od siebie grzecznością, każdy w skorupce swej gładkiej. I wszyscy, rzekłbyś, jednacy. U nas choć ćwieki w głowach — a wyróżniają ludzi. I tem życie pociąga, że ludzie w niem wszelacy;

a każdy tem stoi, że od innych odmienny. Wszystko ludzkie jak kleszcz ciebie się tam u nas chwyta: ciekawa bo rzecz, przeciekawa, »człowiek« to! I ona to, ciekawość nasza do ludzi, w dole ludzkie nieraz wirem pociąga, każdego żyć zmusza, i, chcesz nie chcesz, twoją prawdę życia z ciebie dobywa. Zaduszewniej żyją ludzie nasi!... Tu się każdy jak robak w sobie zwija, swoje namiętności pod ziemią chowa, jak grób o sobie milczy i jak grób dla drugich się wybiela. Spojrzysz — życia nie dopatrzysz, słuchasz — westchnienie chyba usłyszysz.

— Jak na cmentarzu, — hę?

— Toż mówię. Jest u mnie Sasza, syn. Ten zawsze na mnie nastaje: »Czego ty, papa, do nich leziesz?« Mało czego!—przywyka człowiek do ludzi. Ileż to lat od 63-go? I kamień na polu jego trawą porasta. Swój ja język zepsuł, waszego się nie nauczył. Śmieje się ze mnie Sasza.

— Nie lubi nas syn?

— A czort go wie, lubi, czy nie lubi! I nie w tem rzecz między ludźmi. Tu on się rodził, tu chował, a bardziej on wam obcy: »No, co u nich? — pyta — No co? Czego leziesz? — Młodości i życia nie czuje on w was: ot co!

Tłusty pan nabrał powietrza w policzki i wypuścił je z odętej twarzy jak dym.

— Tak, — wydmuchał wreszcie. — Gdy ojcowie współczuwać już zaczynają, synowie już lekceważą. Zwykła kolej.

— Nu, Wojciech Stanisławowicz! — mitygował go

pułkownik, położywszy mu rękę na kolanie. — Tu to was szlachtę — na honorze połechtaj. Dziad jenerałem był napoleońskim, — wiadomo.

Siwe oczki pułkownika dokończyły zezem: »Zatłuściał wnuk!«

Ujrzawszy tymczasem kogoś w tłumie, począł się przyglądać, przechylać bokiem, wreszcie zerwał się z miejsca. Dobrozacna złośliwość w siwych oczach zgasła natychmiast, zatliła się w nich iskra szczerej życzliwości; a na siwych wąsach i rudawej brodzie osiadła ta powaga prostoty, z jaką tamtejsi ludzie starsi umieją się jeszcze zbliżać do kobiet i dzieci. Kłaniał się z początku z rezerwą, lecz uradowany wraz wyciągniętą ręką dziewczyny i krzepkim uchwytem dłoni, zatrząsł mocno jej ramieniem.

— Bóg zapłać, że poznała?... Ot i panna zrobiła się tymczasem. Ile to lat — tam na wsi?... Sześć? Cała wieczność w tym wieku!

Nie wypuszczając jej ręki, odstąpił nieco w tył i ogarniał ją całą wzrokiem.

— Wszystko, co w dziecku brzydkie było, ładne się stało i »ważne«. Znaczy się, kobieta cała była w tej główce małej. I dola! Bo ja znachor potroszę. Tylko nie z ręki wróżę, a z oczu, gdy jasne, z ust, gdy nie kwaśne. Ot i ten uśmiech! Dla kogo psotny, dla kogo niespokojny, komu co obiecujący, a dla mnie »ważny« — jak życie, jak młodość sama... Daj Boże jak najwięcej radości! — wołał, ściskając jej rękę aż do bólu.

Nina sprężała się niewolnie w poczuciu rześkości

wielkiej, jaka wstępowała w nią przed temi oczami, tak szczerze radującemi się jej młodością. Człowiek ten, widziany niegdyś w dzieciństwie, był mimo wszystko tak dziko obcy jej życiu i stosunkom, że najprostsze słowa powitania z trudem przychodziły na usta. A jednak krzepkość tej poważnej postaci, ukłon jej chrzęstny, krótki pobrzęk szabli, munduru nawet barwa i połyski narzucały jej jakby rytmy szparkie. Wstrząsnęła bezwiednie grzywą i, wciąż jakby urastając, rozpłomieniała cała uśmiechem otuchy... do samej siebie: — rzekłbyś powitanie ojcowskie, które żwawy puls jej krwi błyskiem w swe oczy chwyciło, jej uśmiechem roziskrzyło się całe, za bary jakby chwyta, w górę podnosi i na konia chyba posadzi.

Hej! ochoty w życiu jak najwięcej!

Jedna z dam w stroju ni to empirowym, ni to w szacie dla osoby brzemiennej — w sukni »reformowanej«, znudzona mdłą gawędą kobiet w salonie i nie odważająca się wejść do gabinetu pełnego nizkiego rozgwaru mężczyzn, snuła się tęsknie w pobliżu, wdychając pełną piersią dymy od cygar. Siadła wreszcie skromnie tuż przy drzwiach palarni, dobyła z wielkiej na przodzie kieszeni swych sukien całą garść notatek i zapisanych skrawków papieru, odnalazła wśród tych szpargałów zapałki, bagaż swój spakowała z powrotem w kieszeń chłonną i, przybrawszy obronny wyraz twarzy, zapaliła papierosa.

Przepuściwszy mimo oczu uważnych całe szeregi panów, stała się nagle czujną. »Kto to jest?« rzuciła niecierpliwie w pusty pokój, ledwo drzwi zamknęły się za jednym z przechodzących.

— Były przyjaciel naszej diwy, — podwinął się niewiadomo skąd p. Horodyski.

— Ach, tak! — rzekła głuchym altem. — No, to się rzecz tłumaczy. Artystki zabierają tym klempom z salonu zawsze najlepsze kąski.

Pan Horodyski rozpromieniał w oka mgnieniu. I, rad tej znajdzie niespodzianej, zatarł suche ręce, gotując się na dobrą rozmówkę.

— Dlaczego to, proszę pani, wśród tylu tu »kąsków« ten jeden ma być najlepszy? Nerwy kobiece są wprawdzie przedziwnym dynamometrem...

— Serce kobiety doznaje w życiu więcej zawodów niżli jej nerwy.

— Ale te ostatnie bywają dla niej bardziej nieukojone.

Parskał i chichotał sam, bo dama z niezmąconym spokojem na twarzy pogodnej otrząsała popiół z papierosa. Jego ogarniał już entuzyazm dla otwartego wejrzenia niewiasty świadomej. Nie prędko spostrzegł, że tuż przy nim trząsł brzuchem dostatnim jegomość o dziwnie lśniącej pełni roześmianych w tej chwili policzków. Pan Horodyski poznał znajomego fabrykanta Szolca i przedstawił go wnet. Dama spoglądała nie bez aprobaty, jak między wyłogami fraka wyciskał się ten brzuch śmiejący, niby dojrzały kasztan z pękniętej

łupiny. »*Rond point*«, nazwała to sobie w myślach. A gdy ją zaleciał błękitny dymek cygara rozchyliła nozdrza.

— Ogromnie lubię, kiedy mężczyna pali cygaro, — rzekła swym nizkim altem.

Pan Szolc w odpowiedzi na ten niespodziewany awans wyprostował krępą postać, wystawił swą małą nóżkę z pod brzucha i zaciągnął się mocno cygarem. I to nieoczekiwane podrażnienie fantazyi skojarzyło się w nim rychło z łatwą pobudliwością apetytu. Pomyślał tedy, że z tą panią miłoby było spożyć na osobności kolacyę, gdyż takie zwykłe jadać dużo i ze smakiem, nie pijąc, podniecają się dziwnie samem jedzeniem i bywają wtedy najciekawsze w sprośnych rozmówkach nad talerzem.

Dama tymczasem wychylała się ku drzwiom do dalszych pokojów, kiwając na kogoś zdaleka.

Na progu zjawiła się Nina. Jej jasnych sukien szmer i zwinność przyniosły jakby wiew ochłodny w duszną dymnicę cygar. Po niedawnej rozmowie z pułkownikiem w poczuciu wciąż jeszcze w dwójnasób lekka, tą rzeźkością niemal harda, śmiała się ku nim całą postacią, jakby wstrzymaną w skoku: głowy podrzutem pytającym, włosów zuchowatem odgarnieniem z czoła i twarzy otwartej roziskrzeniem ciekawem.

— Ot, jaką ja sarnę wywabiłam na progi, — rzekła dama.

Szybkością ptasiego odruchu podrzuciła się głowa dziewczyny w stronę głosu. Zasłyszane słowa i ich sens znalazły się w tej głowie o wiele później. I wtedy do-

piero zaniepokoiła się: tem zapatrzeniem się wszystkich i tą ciszą, jaką witano ją tutaj. Teraz osadziła się rzeczywiście jak sarna: wyciągnęła się szyja zdziwiona, zaokrągliły się oczy, na nozdrzach zapulsował niepokój.

— Państwo śmieją się ze mnie?...

— Panno Nino!... Proszę pani!... Ależ, skądże? — wołali jedno przez drugie, jak gdyby budząc się kolejno z zapatrzenia w tej bezwiednej adoracyi — dla instynktu. Pan Szolc częstował damę papierosem, zwracając się na psotę i ku Ninie z cygarnicą otwartą. »Właśnie że poproszę!« sięgała zuchowato.

— Pani nie byłaby tak mało zazdrosną o swoich chłopców? — nawiązywała tymczasem dama przerwaną łaskotliwość dyalogu.

— Kiedy ja nie mam... — wyrwało się z ust już nazbyt prosto i niemądrze.

Zaczerwieniła się w pierwszej chwili, ale gdy przyłożyła usta do papierosa wydało jej się nawet zabawne.

— Jabym się z panią nie podzieliła moim, gdybym miała.

— »Nie podzieliła!« — pisnął dyszkantem pan Horodyski. I zacierał ręce, strzygł oczy.

— Dlaczegoż to nie? — pytał alt.

Właściwie nic już nie wiedziała, co ma powiedzieć. Do podnoszonego w widłach palców papierosa wyciągały się usta zdaleka w długi i niemądry dziób. I tak się do niego przykładała ustami, cmokała w munsztuk, ku coraz to rozkoszniejszemu błyskowi w oczach panów. Wreszcie chwyciła dym.

— Bo.., — próbowała nawiązać zerwane nici w myślach, wypuszczając z fantazyą smugę dymu.

Już i papieros dawał się łatwo; kłębił się dym w ustach i szczypał język niecierpliwy. W podrzucie głowy i upartym uśmiechu, który z warg mimo wysiłku spędzić nie dał, był taki rezon i hazard na słowo, że panu Horodyskiemu aż się przymrużały oczy i pulsowały żyły na łysem ciemieniu. W bezinteresownej aż ekstazie gotów był milczeć, stulić się, nie istnieć, byleby módz słyszeć, jak to w takiej główce myśli sprośne jawią się nieomal intuicyjnie. Czerstwiejszy w swej tuszy elastycznej pan Szolc uwijał się żwawo koło dziewczyny; w instynktowej potrzebie praktycznych wszędzie oryentacyi życiowych, »kalkułował« pan Szulc swe pytania. Zagadując ją gwałtownie, odparował niejako od reszty towarzystwa, przyparł do kąta i rozpowiadał coś ochoczo, a prędko, przemycając w tej gawędzie raz po raz jakieś pytanie ukryte.

Nina zapalczywie pociągała papierosa.

A on rozpowiadał coś w te dymy przed jej twarzą, mówił póty, aż się dziewczyna żachnęła.

— Z chłopcami?! I ciągle o nich! E, już mnie to znudziło! Czy widuję się na spacerze? Czy mam znajomych? Nie rozumiem.

Zaczęły się w niej budzić jakieś zastanowienia nieokreślone. »Et!« — żachnęła się nagle i odrzuciła precz papierosa. Szybkimi ruchami głowy zwracała spojrzenie na wszystkich po kolei i, nie mówiąc ani słowa, skierowała się ku wyjściu. Lecz pan Horodyski rozkrzyżo-

wał ramiona na progu. I tak się obaj zakrzątali koło niej gorliwie, z tak zabawnie zatroskanymi ruchami, że zagadali wraz i rozproszyli wszystkie jej myśli.

Parsknęła śmiechem.

Wobec tego zakrzątali się jeszcze gwarniej. Słyszała zaledwie piąte przez dziesiąte. . . .»Tyle pań prosiło (na uboczu oczywiście), a pan Szolc nie chce pokazać. W Aix-les-Bains kupił ten breloczek, dokąd co roku jeździ«.

— I obrazek znowuż jakiś! — wydęła wargi na nich obu. — Byle głupstwo niewymyślne służy za haczyk. . .

— Na ten najczulszy nerw w kobiecie: nerw ciekawości.

— Och, te niemądre kobiety!

— Takie oburzanie się na wszystkie powiększa tylko gorączkę ciekawości u każdej.

Tym razem spojrzała na nich z zabobonną już nieufnością. Wyciągnęła się znów szyja i rozchyliły wargi niemądrze.

— Ot! — machnęła nagle oburącz.

I zakręciwszy się na pięcie, wybiegła z pokoju.

Nie śpieszyła się jednak do salonu — w nudne, jak jej się teraz wydało, gawędy kobiet między sobą. W sąsiednim pokoju zatrzymała się przed lustrem pod pretekstem poprawienia włosów.

Ramiona wzniesione splotła dłońmi w tyle, na ciemieniu i zamyśliła się nad sobą przed zwierciadłem. Od kominka biła łuna na pokój, a przesycona mglistym pomrokiem wnętrza osiadła zaledwie nalotem czerwonym na tafli lustrzanej, nie wnikając w jej głąb ciemną.

Otrząsła się ze swych myśli i z wyrazem niechęci ku sobie jęła szybkimi ruchami upinać włosy.

Na palenisku osunęło się kilka brewion, dobywając z zarzewia płomienie ostatnie, tak wartko trzepoczące się ognistemi skrzydły, tak żwawe w iskier warkoczach, niby w tańcu rozwianych, że ta ich chyżość i swawola zadrwiły, — wydało się Ninie — z jej smętku. I póty szydziły z niej, aż nie ujęły wargom tego odęcia w zasępieniu. Zaśmiała się jak dziecko: wraz ze łzawym podrywem — w piersi niewiadomo skąd zabłąkanym, a myślom zgoła obcym.

Jakby z dalekich mroków zwierciadła wynurzona, skoczyła w lustrzane odbicie w przypochlebnych ruchach postać długa, zaświeciła w odbiciu białą plamą gorsu i kolącym błyskiem małych oczu.

— Ach, to znowuż pan? — Boże, jak ja się przestraszyłam, — mówiła zupełnie spokojnie. — Pan chyba myszą wyskoczył z ciemnego kąta, lub nietoperzem przypadł od świecy tam.

Nie odwracała się nawet ku niemu, obserwując tylko z pod powiek jego odbicie lustrzane. Ruchliwe i ostre jak świderki oczy łysego pana śmiały się jakby chytrem posiadaniem jakichś sekretów, a na zajęczych jego wąsach dygotały przemilczenia ciekawe. I koło ust dziewczyny naprzekór pogardliwemu wejrzeniu błąkać się znów począł uśmiech, niby żuk natrętny, przypadać do kątów warg i przemykać po policzkach ku oczom zawsze wpół przymkniętym.

Jego stać było na razie tylko na nieokreślone pomruki aprobaty: w czerwonej poświacie bijącej od komina złocił

się śniady puch na szyi dziewczyny i prześwietlały zwiewne kosmyki włosów pod uszami.

— Niechno pan spojrzy! — krzyknęła nagle. — Tam w głębi lustra coś się rusza. Jeszcze naprawdę nietoperz... Ha! ha! — zaśmiała się mimo drgawki niespokojnej w gardle. — Lub może drugi, taki sam.

— Przeciąg — mruknął — i płomyk świecy drga w odbiciu — tłumaczył, spojrzawszy niechętnym zezem na to jej zatrzepotanie się dziwne.

— Ha!-ha!-ha! — chichotała, zła równocześnie na siebie, że tego śmiechu opanować nie potrafi.

Przez uchylone drzwi wsunął ciekawą głowę pan Szolc, a ujrzawszy ich oboje, wywinął się elastycznie na środek pokoju.

»Już pan tu jest?« — witał Horodyskiego chytrem przymrużeniem oczu.

Obaj ci panowie wydali jej się w tej chwili tak ogromnie, tak niewypowiedzianie zabawni, że ... Ha-ha-ha! i Ha-ha-ha, — zataczała się od śmiechu.

— Ale, — doskoczył pan Horodyski do pana Szolca i pochyliwszy się w pałąk, ściskał jego krępą figurę ponad brzuchem. — Mój kochany panie, ten obrazek w breloku! Pani wyrażała już pewne zaciekawienie.

— Ja nic nie mówiłam! — krzyknęła jakby w przerażeniu. »Nie, — pomyślała równocześnie, — ci dwaj panowie, ściskający się jak czuła para: Ha-ha-ha!...

— Ja tego pokazać nie mogę, — zażegnywał się i zastawiał dłońmi pan Szolc, by wnet potem wyjąć z kieszeni kamizelki złoty zegarek z krótką dewizką i uwie-

szonym na niej brelokiem w formie gwiazdki. — Chyba tak na dłoni. Niech Bóg broni pod światło.

— A drażnią kobiety jak koty, — spadło z warg Niny w nadąsaniu nagłem.

— Jak kotki, — poprawił pan Horodyski. — Że też ja nigdy jeszcze nie widziałem pani oczu, że też pani ma zawsze przymknięte powieki.

— Nie! — szarpnęła się nagle całem ciałem w kurczowym prawie podrzucie. — O, ja nie mogę znieść tego spojrzenia! — doskoczyła do pana Horodyskiego. — I tych pańskich wąsów: długich, rzadkich, ostrych, — właśnie jak u kota... O, jabym pana biła! — wyskoczyło z ust z przerażeniem dla niej samej.

Łysy pan parsknął w krótki śmiech i zdławił się nim, bo, opadłszy w fotel, zamilkł prawie: w tak częstych i tłumionych drgawkach śmiało się całe ciało jego. A ramiona wywijały mu się w tej radości ponad głową jak skrzydła wiatraka.

— Ależ temperamencik!...

Wszystko co Ninę bawiło jeszcze przed chwilą tak niepomiernie w szalonych wybuchach niemądrego śmiechu, wszystko to stało się nagle nieznośnem, dokuczliwem i drażniącem aż do łez hamowanych, do spazmu chwytającego za gardło. Wystarczył jeden rzut oka na pana Szolca, aby się w wargi zacisnęła uparta nagle zawziętość: im, sobie, światu całemu na złość.

— Teraz niech mi pan pokaże ten obrazek, — rzekła, siląc się na spokój.

A że się certował i jak fryga koło niej kręcił.

— Teraz ja chcę! — krzyknęła nagle, tupiąc nogą. I sprężyła się cała przed nim.

Panowie przerzucili się znaczącem spojrzeniem, bo oto powieki dziewczyny rozchyliły się po raz pierwszy, ukazując małe jak grochy, złoto-czarne, złe, niespokojne źrenice.

W skok znalazła się przy panu Szolcu i wyrwała mu z kamizelki zegarek z brelokiem; lecz ledwo ramię podniosło się z nim do świecy, opadło gwałtownie, — rozeszły się palce ręki, opuszczonej w sprężeniu odrazy.

Pan Szolc schylał się po swą zgubę. I, jakby nie prostując się wcale, przepadł z pokoju. Panu Horodyskiemu podrzuciły się aż długie nogi na fotelu, a ptasia głowa dziobała w torsyi śmiechu własne kolana, kłuła je jak sęp padło, kołysząc tylko łysem ciemieniem.

Ktoś poruszył drzwiami, — długi pan stropił się wnet, zakręcił i znikł: myszą skrył się do nory, nietoperzem utonął w mrokach zwierciadła, z których był wystąpił. I jak mysz, jak nietoperz pozostawił po sobie tylko odór swój: woń pomady i tłustych perfum, męski zapach, starokawalerski »bukiet«.

Na kominku dogasały tymczasem głownie, osuwała się ze zwierciadła pulsująca łuna, pozostawiając na niem tylko żółty blask świecy, a na tej chłodnej powierzchni odbicie jej twarzy, jak gdyby nagle nie do poznania zmienionej.

Pulsujące płomienie policzków przyblakły, odbite w zmąconej toni; psota, co błąkała się po nich nieustannie, zgasła niby płomień zdmuchnięty; w brózdach,

jakie pozostawiła po sobie, osadzała się przekorność wzgardliwa, spoglądająca przed się otwartemi oczami i twarzą, rzekłbyś, nagą; — jak gdyby te spojrzenia i gawędy rozdarły niedostrzeżony przez innych woal, szeroko rozchyliły powieki, przygasiły lica, by z pod tęczowych baniek pustoty i rojenia wywabić niepokój cielesności dojrzałej.

Otrząsła się gwałtownie grzywą i imała włosów przed lustrem. Lecz ramiona opadły wnet jak ołowiane ciężary. Przysiadła na fotelu, szukając w tem osłabieniu oparcia; głowa zwisła na piersi.

Znikła gdzieś ta rzeźkość rytmiczna z przed niedawna, to urastanie w lekkości radosnej, ta krwi otucha serdeczna. Jej rytmy szparkie z tętnic na nerwy przeskoczyły oto i, trzepoczące się przed chwilą w śmiechach niepohamowanych, pulsują teraz w drgawce wewnętrznej, rade jakby rozprządz wszystkie spoidła cielesnego ładu, i stępiwszy myśli, wyostrzeć, przeczulić zmysły niespokojne, każąc im słyszeć, czuć, przeczuwać przez ściany dziesiąte — wyolbrzymiać wrażenie każde.

Oto myślą bezładna, czuciem apatyczna — wszystkimi zmysłami natomiast w dwójnasób czujna, słyszy zdaleka kroków miarowych chód tak siebie pewny, że wszystko naokół drgać zlekka poczyna w ten rytm, zwiastując niby marsza tłumioną muzykę tych kroków stęp coraz to bliższy.

Mocno wybija się idący takt, drzwi pchnięte rozwarły się wszerz. Szabli do boku przyciśniętej szczęk,

ostróg zberknięcie krótkie i u siwego czoła wystawiona dłoń:

— Cześć — mam — kłaniać się!

Pułkownik zachwycił w oczy bystre ten jej gest mdły, spojrzenie niepewne, oraz rumieniec przelotny. — »Hm! — mruczał w brodę, gdy minął już pokój, — naszego tu brata, co wróbli na tę wisznię! Wiadomo: owoc dojrzały musi być zerwany, inaczej zwieje go pierwszy wiatr i zdepcze pierwsza stopa. Nie daj Boże zostanie na drzewie: robak stoczy. A na gniłki urodzaj to u nich sławny!«

Ktoś ujął go pod ramię. Ta łaskawość protekcyjnego gestu zjeżyła go odruchowo, lecz ujrzawszy nad sobą rozwidlone baki gospodarza, jednem drgnieniem »ułożył się« cały w ruch i wyraz człowieka, obiecującego zabiegliwość. Patrzał tedy czujnie w te rybie wargi w jamie włosów, cedzące słowa tak skąpo i blado, że trzeba było je sobie w myślach dopowiadać i dobarwiać za pana, który tylko myśleć raczył i chrząkać niecierpliwie, gdy jego intencyi w lot nie pochwycono.

Dowiadywał się tedy pułkownik z tej żmudy, że korespondent berliński ma sobie polecone od grupy kapitalistów, »interesujących się sprawą komunikacyi u nas, wybadanie gruntu w rzeczach tej kolei okolnej, — nie tyle finansowego, ile. . .« — Wprawdzie koncesya wydana jest »spółce obywatelskiej, w tym charakterze pragną ją tam widzieć, ale miejscowe czynniki może będą bardziej

ustępliwe dla tej nowej, berlińskiej kombinacyi... »Mój kochany pułkowniku...!«

— Zrozumiałem.

— Jest i druga sprawa. Ludzie zaangażowali się w te place w śródmieściu majątkami całymi, a o ulicy ani słychać. (»Zresztą i pułkownik masz przecie swój dział.«) Należałoby tę sprawę pchnąć, argumentacyą, jaka tam trafi do przekonania. Ulica otworzy okazałą perspektywę na cerkiew, przesunie ku niej niejako dzielnicę całą i nada miastu przez to pożądany może charakter. »*Et caetera* i tam dalej!« — brzmiało najwymowniej z tego wszystkiego.

— Zrozumiałem.

— Mój kochany pułkowniku!

I gospodarz położywszy mu rękę na ramieniu sterował pułkownikiem, jak nawą, holując go przez rojny od gości pokój do sąsiedniego bufetu.

— Mój kochany pułkowniku...!

— »Zrozumiałem!« — zaśmiał się pułkownik tym razem. Ale gospodarzowi nie było do jego złośliwości. Zaczepił go kilkoma słowami do kogoś z obecnych, mrugnął na służbę i wymknął się rychło.

Pułkownik wolał jednak pozostać sam.

— »Ty, bracie, potrafisz żyły wyciągać z człowieka! — rachował się w myślach z gospodarzem«. I teraz dopiero, jak gdyby prostował grzbiet, otrząsał się cały, wyciągał garścią sumiasty wąs. — I naprowadza taki »tasku« na duszę, że człowiek samemu sobie mierźnie. To jest u nich najwyższa szkoła dyplomacyi: być tak bardzo interesującym: słowo żadne nie śmie zadrgać życiem.

Piesby mój zaskowyczał, gdybyś ty go pogłaskał. Żonce to twojej powinszować... Nu, i czort z tobą! — odmachnął się ręką.

I tak wypił za zdrowie gospodarza.

Rozmyślał cierpko, wystając po kątach z talerzem pod brodą, to przysiadając przy rozstawionych gęsto stolikach, to snując się znowu między ludźmi. — »Masz przecie pułkownik i swój plac. Masz, powiedział. Nahał! A masz, boście mi go wetknęli gwałtem... *Chadatajstwo*, — mruczał, — machlerstwo po waszemu. Czort i z wami«.

— Nalej!

I pił tak samotnie dalsze zdrowia.

»Czego ty papa do nich leziesz? — mruczał w brodę, siadłszy gdzieś na uboczu. — A ty nie leź!... Dobrego tu w nich mało, a zło jest za mądre, za chytro-kryte jak na nas. Oba my przy nim durne jak chłopy. To korespondent zagraniczny, to agent kapitalistów berlińskich, »interesujący się« podmiejską komunikacyą. A tam i fortami przedewszystkiem... Oto czego on miłośnik! — mruczało mu basem w piersiach, gdy wargi zacinały się zawzięcie, a złe, nieufne spojrzenie ogarniać poczęło wszystkich obecnych w pokoju.

— Jaśnie pan każe?

— Niczego nie każe. Chcesz, nalej. Tylko mnie nie rozpytuj o swe »wódeczki«; wolę już: nalej z jakiej chcesz »flaszeczki«. Że też u nich każde słowo musi być ckliwe i fałszywe! Ty służył w wojsku?... U, obraził się za »ty«! I poniechał »jaśnie panem«. Honorni oni tu wszyscy!

— A ot, — mruczał dalej do siebie, — założyli »spółkę obywatelską«, ale gdzie tu u jaśnie panów dziś tych milionów znaleźć; wiadomo Niemiec przyjść musi. Za miliony swoje i jaśnie panów wnet znajdzie i »spółką obywatelską« się nakryje. Będą i grafy, jest i baron, będzie i ruski pułkownik. Akcyami przecie obdarzą. Widzisz, Sasza, pajęczyna to jaka!... Ni! — odmachiwał się wskazującym palcem, na którym nosił obrączkę, — pułkownika tam nie będzie. A akcye to wasze przepiszcie sobie na muzeum, na bibliotekę, na stypendya, czy na ekspedycyę polarną: jak tam z sesyi wypadnie. Oj czmucąż, czmucą głupim ludziom głowy! Dwuchby zechciało: zrobiliby. Ale im nie o to przecie. Po wierzchu muzea, sztuki piękne, biblioteki, stypendya, ekspedycye polarne, — to żeby swoim głowy zadurzyć; pod spodem »spółki obywatelskie«, — to żeby nam piaskiem w oczy rzucić; a na spodku, na dnie samem: — Niemiec.

— Puh! — wydymał pułkownik powietrze z piersi wzdętej; czerwieniał i bladł naprzemian.

»Widzisz, Sasza, do czego oni tu doszli... O ulicy nowej chcesz wiedzieć? Na cerkiew to naszą Żydy z nowych kamienic patrzeć będą i ubłażać się, i umilać. Widzisz: tak to oni za jednym ręki obrotem: i swego Boga się wyparli i cudzym pohandlowali.

Po chwili nie zapiąwszy nawet mundura, przeciskał się szerokimi bary między ludźmi. A że gniewny i nieufny w tej chwili, więc mówił już tylko po francusku: »Pardon!« — roztrącał i przepychał się bez ceremonii. Wydostawszy się z zapachu jadła i napojów, wstąpił w dymną

atmosferę cygar. Jeszcze jedne drzwi, i owiała go ledwo uchwytna woń perfum, ochłody i świeżyzny pełne tchnienie kobiece. »Zażywnie tu u nich«, — pomyślał.

I równocześnie dogoniła go tutaj melodya rozchwiejna.

»Tańcują«, — rzekł do siebie znacznie łagodniej.

A gdy stanął na progu salonu, gdy w roztopie światła zaroił mu się przed oczami, niby karuzela barwna, ten wir rozkołysany, jakby w rozmarzeń gestach łagodnych pod muzyki i pogwarków kobiecych kapryśnie cichnące rytmy, — wówczas pułkownik począł głaskać brodę.

»Elegancko!« — pomyślało mu się niespodzianie po polsku.

Z drugiego końca salonu gospodarz złowił go spojrzeniem i zbliżył się wnet do żony, — pochylał nad jej uchem. Wstąpiła między pary wirujące i w mimowolnym rytmie walca przemykała się lekka przez labirynt taneczny. Liniami sukien smukłych, rzekłbyś, pląsająca, jak wąż giętka na tej błędnej ścieżce, wychyliła z tłumnego zamętu wprost na pułkownika uśmiech twarzy jak zorza jasny i otwartą dłoń przyjaźni.

Przerzucony z bufetu w to oślepienie świateł, przed barwną karuzelę zwiewnych szat i otwartych biustów kobiecych, podrażniony widokiem tej giętkości niewieściej, która w rojnym tłumie wężem się przemignie i maskę obłudy z taką lekkością na oblicza wkłada, — odymał się pułkownik coraz to nieufniej.

»I na co to wszystko?! — Po co tak przechytry krok ich tu każdy? Jakie sprawy tu zawiłe, jakie losy tu się ważą? Po co te przyjaźnie, umizgi, świadczenia i obłudy?

te stosunki szerokie, te sławnych śpiewaków po swych salonach prezentacye, te sesye o sprawach publicznych i cała ta szkoła dyplomacyi... parszywej! — zerwała się w nim wreszcie pasya tłumiona. — Czego ty, papa, do nich leziesz?!... A ty nie leź! Młodości ty u nich szukał!...

Z tanecznego zamętu wywinęła się tymczasem jakaś para tuż koło niego. Młodzieniec kłaniał się pannie, rękę jej wypuszczając, i cofał się powoli; muzyka wiodła go lekkim krokiem wprost na inną, pochylała przed nią, w pół ujętą zatrzymać kazała w oczekiwaniu taktu, by stopy zwrotem mocnym wkołysać ją miękko w rytmy walcowe.

A pierwsza ani spojrzała za nim, cała w sobie pulsująca, wichrem własnej uciechy wciąż jeszcze owiana. Niby skrzydło motyla trzepał się w dłoni chybkiej wachlarz niecierpliwy pod te nozdrza pulsujące i oczu przymrużenie czujne.

Pułkownik poznał Ninę i kiwał głową:

»Nie wysiepiesz ty w tem ochoty swojej, — mruczał pod wąsem, — nie wytańczysz jej całej, nie wybłyskasz uśmiechami!... A wścibskie to musi być! A ciekawe życia jak sroka gnata!... Żal twej ochoty i sił daremnych!... Czemu ty nie ruska! Zażyłabyś duszoj!«

To też nie długo tu zabawił: ledwie muzyka ścichła, wracał chmurny do bufetu.

Pogonił za nim wiolonczeli ton podrywny, zaczepny, za poły jakby targający i basetli chichot nizki, niby pijanego śmiech; a ponad nimi skrzypiec zew aż łkający w roześmiechach radosnych: — musowała lekka pianka powierzch-

nego życia, pianką jeno pustą wypełniając czarę młodości niejedną.

»Dziś! - dziś!-dziś!« — łaskotała wiolonczela wszystkie wyobraźnie krótkie na tokowy dzisiaj pląs. »A bo my to jacy - tacy! jacy - tacy!« hukała inna basetla jurnym śmiechem sylena. A skrzypce ochotą aż rozełkane przynosiły jakieś strzępy pieśni podarte spazmem niecierpliwości — niby bachicznego chóru echo idące.

Wyrywały się tymczasem pary na ochotnika i harcowały bezładnie. Powściągał te animusze i ustawiał szyki wodzirej tak lekki i posuwisty w kroku, że zda się kółka miał u stóp, gdy się tak snował bezszelestny i obiegał uśmiechnięty kolisko całe.

Nina już się tu znalazła. A że stopom zbyt długo czekać wypadło, więc pod muzykę niecierpliwą pląsała w biodrach kibicią giętką.

Oto basetli pohuki rytmiczne i wiolonczeli rozmarzyste tony wiodą naprzeciw niej tancerza wyzwaniem twarzy otwartej, jakby przy wąsa podgarnieniu, przy kontuszowego wyłoga podrzucie, pasa ujęciu hardem i nóg zatupotaniu. Odpowiadała na to wezwanie wdziękiem starodawnym, ustawiona w cichość warkoczową, w dzierlatki płochliwej wtulenie się dziewczęce. — Za ręce ku górze wyrzuceni sunęli przed się: on głuszcem poszumnym, ona kokoszą drobiącą.

I wiedli za sobą klucz par długi w rozruchu tanecznym.

»Dziś! - dziś! - dziś!« — naganiały ich rytmy dziarskie w boisko ochoty. »A bo my to jacy - tacy! jacy - tacy!« — wydymała piersi i gardziele pycha basu pijana. A skrzypce

tej ciał młodych fantazyi rzucały pod stopy melodye jakby z łopotu proporców dalekimi wichry zdmuchnięte: piosnki dawnej ochoty, co krwi własnością już się stały i na żyłach chyba grają, gdy tak w uszy wichrem uderzą i wskroś przez całe ciało przelecą jak skry.

Tańczono mazura.

Przez szparkę drzwi rozchylonych ręką nieśmiałą przemknęły się chyłkiem dwie dziewczyny i przysiadły ciche na uboczu. Stropiła je powaga wnętrza: rozglądały się w potulnem zaciekawieniu po tych półkach, czyniących z wielkiego pokoju labirynt stosów książek, sięgających aż po sufit. Siedziały milczące, wyprostowane w namaszczeniu kościelnem. Zoryentowawszy się jednak, że niema tu nikogo, jęły szeptać między sobą, zrazu cicho i lękliwie, potem coraz to swobodniej.

— Jak pani cudownie tańczy! — westchnęła z zachwytem osóbka w białej wełnianej sukni zapiętej surowo pod szyję.

Nina przyjęła tę pochwałę niechętnie, nawet się ręką zlekka odmachnęła.

— Ile w pani życia! — wzdychała dalej blada osóbka. Tak dawno nie widziałam ludzi pogodnych, że gdy patrzałam tam na panią, ciągnęło mnie coś, żeby się z panią poznać. Och, i tańczy pani inaczej niż te wszystkie kobiety. O, ja chciałam w ręce klaskać!

Nina kręciła się na miejscu . . . »Ech!« — miała w myś-

lach za całą odpowiedź. Nie lubiła żadnej przesady, a tej kobiecej, to już instynktownie znosić nie mogła. Zresztą gdyby jej taniec chwalił mężczyzna jaki, słuchałaby pewno uchem czujnem, ale kobieta, chwaląca wdzięki innej, to był dla niej sąd żaden i egzaltacya tylko.

— Niech się pani nie gniewa, — głaskano ją po ręku, widząc Niny sztywność wobec tych pochwał. — Ja tak zdziczałam, tak od ludzi odwykłam, że mam wrażliwsze spojrzenie na to wszystko od innych. I za nic na świeciebym tu nie przyszła, gdyby nie Lena poczciwa, która mnie siłą prawie do siebie ściągnęła, mówiąc, że mnie to właśnie uleczy. I miała słuszność: Ale, prawda, jaka Lena jest piękna, jaka wspaniała! — O, ja mogę zrozumieć nieboszczyka Woydę, — westchnęła.

I zapatrzyły się gdzieś nagle, zaszkliły jej ciche fioletowe oczy.

Nina na tajniki cudzych sentymentów czujna po kobiecemu jak detektyw, spoglądała z pod oka na tę skromną i wątłą osóbkę, nie biorącą udziału w zabawie i rozpływającą się w ubłożeniach i tęsknotach cichych. Leczy się tam nie wiadomo z czego, — »ze ździczenia« powiada sama.

— Gdzie pani była ostatnimi czasy? — zagadnęła ją tedy.

— Dziwnie mi przed panią o tem właśnie mówić, — odpowiedziała ze swym dobrotliwym i jednostajnym uśmiechem. Mnie wczoraj dopiero puszczono.

— Skąd? — Niecierpliwiła się Nina.

— No, z więzienia, — kończyła zdziwiona potrzebą tak wyraźnych tłumaczeń.

Nina podrzuciła głowę. Patrzała milcząca w bezwiednem rozchyleniu nozdrzy:

— No, za malców z ulicy — tłumaczono jej, — że się schodzili u mnie.

— Ach, że pani dzieci uczyła, — zrozumiała Nina wreszcie.

— Dzieci! — zaśmiano się w odpowiedzi. Oni chyba w kołyskach dziećmi nie byli. Wie pani, że oni mnie okradli. Skąd to wszystko na jaw wyszło. Ja ich mimo to bardzo lubię, — mówiła wszystko jednym tchem i ciągiem.

Rozpłynęły się jej słowa, rzekłbyś w zaśnięciu nagłem. I ta jej twarz w ramce zapadniętych skroni i wystających kości policzkowych zapatrzyła się przed się swym łagodnym uśmiechem bezprzedmiotowej tęsknoty.

Nina kręciła się wciąż na miejscu, nie zdając sobie sprawy z dokuczliwego niestatku swego. Coś ją odpychało wszystkimi instynktami od cichych ułożeń i biernych zachwytów bez krwi nadmiaru i jej pulsu niecierpliwego. Zaś pod tą niechęcią czaiła się trwoga przed dalszem dziś jeszcze upokorzeniem siebie. Gdy serce przypomniało jej się dokuczliwym na chwilę ukłuciem pod piersią, wyrzuciła się ta trwoga z głębi duszy tym obrazem:

Wydało jej się, że to zakonnica siedzi nad nią, chorą w tej chwili, i swym pobożnie łagodnym uśmiechem zachwyca się Niny urodą, tańcem jej niedawnym, by tak jej zaufanie pozyskawszy, spleść na piersiach suche dłonie i opuściwszy powieki, poprosić ją o trzy »Zdrowaś« dla wspólnego odmówienia: bo nigdy nie wiadomo, co nam

sądzono; — zaś święta Brygida, córka królewska, była jeszcze ładniejsza, tańczyła jeszcze piękniej, a jednak...

Otrząsła się cała. I sprężyła za chwilę, jak gdyby tą piersią obfitą odpychając od siebie wszystkie smutki życia. Bo pacierz pokutny był jak smutek, smutek, jak śmierć sama ludziom obiecana, a niedola życia czemś najgorszem, bo każącem ukochać wszystkie te okropności.

»O nie — nie — nie!«

A jednak wbrew woli fascynować ją poczęły tamtych oczu głębie fioletowe, opal tego czoła, żyłki błękitne na wklęsłej skroni, gładziutkie przyczesanie włosów miękkich o barwie niby kora schnącej krzewiny; a w tej włosów firance rysów marmurowa szlachetność i spokój jak z pod dłuta.

»Przecież ona jest daleko ładniejsza ode mnie! — pomyślała Nina z przerażeniem.

I teraz dopiero zainteresowała się nią żywiej.

— Moja panno Wando, — przysunęła się do niej bliżej z nagle przypomnianą ciekawością. — Jakże tam było? jak? — W więzieniu?! — rzekła mimowoli ponuro. I przeraziło ją teraz samo słowo w własnych ustach. — O, mój Boże!

— Wie pani, — mówiła Wanda spokojnie, — właściwie bardzo źle było tylko przez pierwsze kilka tygodni, zanim nas nie posegregowano. I po nocach. Kiedyśmy w długiej celi na kilku zaledwie siennikach pod ścianą ułożonych leżały jedna przy drugiej i z głowami owiązanemi tak mocno, że aż bolało, żeby tego najgorszego chociażby robactwa do włosów nie dopuścić. I kiedy drzwi się czasem

po nocy otwierały, a te białe głowy podnosiły się z ziemi jedna za drugą. Najczęściej wpychano taką z ulicy — wie pani! — Ta, pijana najczęściej, klnie przedewszystkiem strasznie, za chwilę opowiada coś wesoło, czka, z ust oddaje i znów opowiada. A potem, bywało, że położy się tuż obok. Wtedy całe ciało zamiera poprostu ze wstrętu w kłodę drzewa, w kość, a w głowie tylko jeden jęk w odpowiedzi na to wszystko, co się słyszało przed chwilą. I znów się drzwi otworzą: biorą po nocy na śledztwo.

Ninie wysunęła się szyja, jakby w stężeniu nagłem. Wargi wystawiły się w dziób niemądry, a powieki mrużyły się migotliwie, jakby pod światło. Gdy nagle rozciągnęły się szeroko jej usta i w tym kurczowym grymasie poczęły dygotać, chlupać śliną, połykać ją, a policzki zatrzęsły się przytem jak w febrze. A gdy spojrzała w dodatku na te jej skronie wklęsłe, żyłki na nich błękitne, przygładzonych włosów uczesanie... brzydkie, — chwyciła Ninę taka łez tłumionych niemocność, że zerwawszy się z miejsca, rozchwiała się w sobie, jak na wichrze gwałtownym.

Za chwilę była już w drugim końcu pokoju twarzą zwrócona do książek na półce, dla podbiegłej Wandy twardo opryskliwa, stopą jakieś rytmy sobie dla fantazyi przytupująca przy upartem sylabizowaniu oczami łacińskiego tytułu na grzbiecie którejś z książek.

— Taka jestem dziś rozdrażniona, — bąknęła wreszcie na usprawiedliwienie. — Ogromnie niemądra jestem.

Aby złagodzić swą opryskliwość dała Wandzie krótki pocałunek, uderzyła ją w policzek tym pocałunkiem, —

tak tylko, dla przyzwoitego zatarcia swej szorstkości. Lecz za chwilę, jakby w skoku, ujmie nagle te jej skronie w swe krzepkie ręce, odsunie od siebie tę twarz wątłą i patrzy pod pełne rozchylenie przyróżowionych zawsze powiek: spogląda błyskiem małych, jak grochy złotoczarnych, złych niespokojnych oczu.

— Ach, ty!...

I nuż ją zasypywać pieszczotą najtkliwszą, całunkami najłagodniejszymi, ugłaskaniem jej twarzy opalonej.

— Moja ty najcudowniejsza jaka jest na świecie!

Teraz Wanda przeraziła się z kolei tą egzaltacyą.

Lecz Nina już otrząsła grzywą swe oszołomienie. I uderzyła w śmiech krótki, łzami jeszcze chlupiący.

A gdy powróciły na miejsce i rozmawiały dalej, trzymały się już za ręce.

Lecz Wanda poczęła się jakby wstydzić jaskrawości swych przejść, które tak wzburzyły jej nową przyjaciółkę. Pośpieszyła tedy łagodzić wszystko: — Tak źle było tylko na początku, bo gdy przenieśli gdzieindziej, siedziała już sama; a gdy się do szpitala potem dostała, było już zupełnie doskonale.

— Do szpitala?!...

— O, — przypomniała powoli swe przejścia, najgorsze były zawsze wspomnienia tych pierwszych czasów. Potem gdy przychodziła gorączka, to mnie w niej zawsze prześladowało wspomnienie jednej z tych... wie pani!... Żeby pani wiedziała, jakie te kobiety są straszne!

— Które? — pytała Nina.

— No, — prostytutki. Taka ciężka, otyła, — wspominała Wanda z odrazą, — Mańka »Kalosz« nazywali ją, — bo one wszystkie mają przezwiska.

Nina otrząsła się ze wstrętem: jakaś nieuchwytna dla niej ohyda wyzierała z tego przezwiska.

— Ta Mańka »Kalosz« naprzykrzała mi się swoją opieką. Usługiwała, zabiegała, pobiła się raz o mnie z drugą, ale za to ciągle rozmawiać chciała: »Pocoś pani w tę robotę lazła?«

Więc jej mówię prosto, tłumaczę, jak umiem; — myślę: także przecie człowiek, — zrozumie. A ona pozwala mi tak mówić z pół godziny, kiwa głową, potakuje, a gdy skończyłam, zwiesza wargę i klepie mnie po ramieniu: »Mnie starej... (no, nie mogę powtórzyć!) mnie starej będziesz pani powiadała. Za facetami lazłaś w tę robotę, albo przez nich zapędzona. Przecież każda kobieta, cokolwiek w życiu robi, to tylko przez tych... no, znów nie mogę powtórzyć, przez tych... (no, »drani« powiedziała). A my przecie we wszystkiem, w co oni nas pchną, mamy więcej i wytrwania i chytrości i wszystkiego co trzeba. W naszych sprawach złodziejskich, czy tam w waszych: słyszała pani, żeby kobieta kiedy zdradzała? Chyba że się zemścić chciała. A oni? Hej! Oni wszystko złe w życiu robią, oni siebie nawzajem niszczą. A i waszych sokołów napatrzyłam się przecie, gdy tu pod kluczem w sępów się zamienią. A my do nich, takich, czy innych, jak te ćmy. I do ostatka. Bo my same z siebie to nic. Chyba za mąż się dać, lub... się. Tyle tylko potrafimy z siebie.

Obu dziewczynom omiękły blade w tej chwili twarze, jak gdyby ich oblicza nie znajdowały jeszcze wyrazu dla takich wrażeń i myśli. Wanda tymczasem przypominała tego grubego, o niegolonej twarzy, z oczami wilka, — cywilnego, który naprzód łaził za nią przez kilka dni po mieście, a potem trącał i popychał, jak cielę, gdy wiózł przez miasto w dorożce wśród nocy głuchej. Potem wróciła znów do wspomnień o Mańce »Kalosz«, o jej »chłopcu szykownym«, który Mańce wszystkie pieniądze zawsze zabierał i bił ją strasznie. Mańka miała pierś niegdyś nożem przez niego rozprutą. Pakazywała: takie wielkie, obwisłe, obrzydliwe piersi!

I tak oto Wanda rozgawędziła się prawie ochoczo; choć mówiła ze wstrętem, widać było, żeby chętnie tak do jutra opowiadała. Z równym wstrętem i równą ochotą słuchałaby i Nina. W oczach dziewczyn zapaliły się niedobre błyski: nie ciekawości bynajmniej, — przelała się już dawno przez brzegi wyobraźni, — lecz jakby zaszczepianej w tej chwili żądzy za nękiem i udręką duszy własnej w tem musowem zafascynowaniu ostatnimi dołami człowieczeństwa i rozkładającymi się w nich trupami dusz: jak fascynuje przepaść wrażliwe zmysły dziecięce, jak to czyni w ich snach gorączkowych jama wężowa.

Lecz oto Wandzie przeskoczyła myśl na pogodniejsze wspomnienia, na tych jej chłopców z ulicy, których uczyła. »Och, jacy oni żywi!... »Wie pani, że powagą nic z nimi nie zrobi, a pogodą wszystko. Oni mi się nieraz przyznawali, gdy który z nich co chapnął.

— Co znaczy chapnąć? — pytała Nina.

— No, — ukraść, — zaśmiała się Wanda. — W więzieniu poznałam dwie złodziejki, ale młode i naprawdę miłe. O, te się nikogo nie bały, każdemu odpowiadały hardo i z każdego drwiły. Raz się pobiły z dozorcą. Och, jak się pobiły! — klasnęła Wanda w ręce w przypomnieniu. Potem poznałam jeszcze, wie pani, tynglówkę, piętnastoletnią zaledwie i ładną, bardzo ładną! Ta także okradła gościa w hotelu. Och, ona była zepsuta strasznie! Ale śpiewała ciągle. Ona dała w twarz... Ha! — ha! — zaśmiała się oto Wanda po raz pierwszy serdecznie, całem ciałem, — dała w twarz!...

Obu dziewczynom oziębły, czy też opierzchły zęby w ustach suchych między zgrabiałemi teraz wargami. A w oczach paliły się wężowe błyski. Nina drżała w sobie; a że serce przypomniało się przytem bólem niewyraźnym, więc się poczuła niepewnie na krześle. Sięgnęła po jakąś poduszkę skórzaną, opodal, rzuciła ją pod stopy Wandy i przysiadła tak u jej nóg na ziemi. Ujęła jej rękę długą i jak lód zimną i położyła ją sobie na czoło.

— Nie kasłaj! — mruknęła po chwili w zadumie.

A gdy tamta sięgnęła po chustkę, podrzuciła uważnie głowę. »Mój Boże!« — szeptała po chwili w pełnem przerażenia współczuciu.

Milczały obie.

I zmory życia najplugawsze, wszystkich nędz i krzywd pognębienia otoczyły rojem ciemnym te głowy dziewczęce. A przez tę chmurę przebijały się przecie dla ich wyobraźni promienie pogodniejsze: zło roześmiane, zło niepotulne, gnuśności sporne, zło mszczące się za krzywdy:

zła hazard i wyzwanie, fascynujące dusze młode, wyrosłe w pognębieniach duszy a gnuśności okolnej.

W sali bilardowej, służącej zarazem jako gabinet do palenia zbierali się panowie, prostując swe członki, oraz instynkty po nazbyt długiej wobec dam gentilezzy. W szerokiej tedy niedbałości ruchów i w pilnej potrzebie opowiadania sobie rzeczy sprośnych zawiązywały się przy papierosie łatwe kamractwa: brudne gniazda męskiej plotki, pierwsze instancye życiowego sądu, przez które przechodzi imię każdej kobiety z towarzystwa.

W żółte stożki światła nad zielone sukno bilardu wychylały się tymczasem głowy na potylicach od pomady lśniące i krótkie przy nich rzuty ramion. Słychać było kul grzechot, stukanie liczników, czasem jakieś urywkowe słowa w echowym wtórze ust innych, w dziwnie upartych glosolaliach i przyśpiewach nieustannych: dymna atmosfera ekskluzywnie męskiej czczości w koncercie wygłosów bezmyślnych.

W kącie pod oknem zebrała się inna gromadka. Tam zwracał uwagę ktoś o wyglądzie nieco zakrystyańskim wobec frakowych panów: — jegomość w tużurkowym stroju o szerokim, szpakowatym zaroście wokół kościstej twarzy. Uwijał się koło niego zabiegliwie i opowiadał coś żwawo nizki blondynek z bródką francuską i paryskim pośpiechem w mowie i gestach. Rozpowiadał z entuzya-

zmem o jakiejś nowej »*L'affaire*« paryskiej i dziwił się niepomiernie powszechnej tu obojętności dla niej.

— Piasek to przecie! — mruknął tużurkowy jegomość. Przesypuje się to w ich klepsydrach i czas im znaczy. A nam co z tego?

— Tam gazety umieją i z tego piasku ukręcić bicz na życie. Trudno, taką jest już zależność wielkomiejskiego życia od wytworzonej atmosfery. Tam żądzi ludźmi potęga, o której my tu pojęcia nie mamy: zaraźliwość rytmem życia. Tam ustakratnia ludzi potęga widowni życia jawnej. To jest scena obowiązującego gestu: *du grand geste*! — entuzyazmował się nizki młodzieniec szerokim wyrzutem ramienia i mimowolnem wspięciem się na palce.—My o jego wpływie pojęcia wprost nie mamy. Jest to widownia piorunowych odruchów tłumnej wrażliwości, momentów uzacniających nawet łotrów, gdy na nich spojrzy oczekiwanie publiczne: —inspiracyi scenicznej! Na tym wulkanie ziemia jest trampoliną dla skoczków, u nas wsysa ona każdy krok jak torfowisko.

Rozległ się z kąta głuchy pomruk aprobaty; oczy wszystkich zwróciły się w stronę tużurkowego jegomościa, leżącego bokiem przy stole. Ale on wygłosił w tym pomruku wszystko co miał do powiedzenia; dopiero poczuwszy na sobie wyczekujące spojrzenie kilku panów, przewinął się na krześle i, zsunąwszy ciężar ciała na brzeg siedzenia, plecami o poręcz zawisły, zdecydował się mówić.

— U nas, — rozpoczął głosem opieszałym, gdy po orce całodziennej wyjdziesz na ulicę, zastąpi ci drogę kaleka lub sierotka i zanosi się szlochem: »Ga-ze-ta swojska.

Niech pan kupi, bo jeszcze nic nie jadłem.« — Kupujesz tedy i wraz z temi kilkoma wiadomostkami ze świata musisz przełknąć jakieś piołunki i ulepki arcylokalne, wreszcie pocznie cię cnić. Ciśniesz gazetę i szukasz czemprędzej czegoś, coby po tej lekturze ożywiło. Przejdziesz jedną ulicą: poprostu jak przed hotelem gubernialnym;— dziewki, żydy, alfonsy, policya i trochę publiki za dziewczynami. Przejdziesz drugą: pyszny i rojny bazar powiatowy. A reszta ulic — jak głębokie kamieniste dna kanałów. Wracasz tedy na »czwartak«, uśmiechasz się do swego szpiega, który się portyerem nazywa, dostajesz za to klucz i sam się dobrowolnie zamykasz między te żłoby »kawalerskie«, w ten świat trywialnej rozpusty, sekretnych chorób, brutalnej nędzy, szpiegostwa, wstrętu i brzydoty.

Wyliczeniem tych rozkoszy ożywił się najwidoczniej, bo wyjął kułak z kieszeni.

— Tej brzydoty nachajnej, która zastępuje ci drogę na każdym kroku i policzkuje każdą twą pogodniejszą chwilę! — wśród tych samodurów ckliwych: przywykli przecie, polubili, ucackali sentymentem wszystkie te »swojskie« brzydotki i wstręciki... Idziesz tedy do sąsiadów, w ich nędzarne »stancye« studenckie, między te gaduły ciepło-serdeczne: pysk pyskowi rad, a nuda dobroduszna kuma. Wstępujesz w tych stancyi woń zatęchłą, gdzie dymią bez końca brudne samowary i cuchnące papierosy — na te ich dysputy: na żar gadania i zamór ducha. A gdy taki sam zostanie, na tapczan się wali: nie ma sił samemu stać, wszystko z duszy wygadał precz, sło-

wami postrzępił; nawet nie uszom, pyskom wszystko rozdał. Powtórzą to jutro innym gębom. Duszę na kisiel rozdygotał w sobie tą potrójną trucizną: z wschodniego samowara, wschodniego papierosa i wschodnich doktryn. A teraz choć łapę własną ssij, ochoty do życia ci znikąd nie przybyło; a na dnie duszy goryczy tyle, że świat by zatruć mogła... Wylegniesz tedy w okno i patrzysz w bezsłoneczną studnię podwórza, gdzie między brzemienne baby, rachityczne dzieci i rozgadane sługi weszła katarynka ze szpakiem i całem pudłem wróżb w życie nęcących, — losów bujnych, bohaterskich przeznaczeń. W te kilka gwiazd na skrawku nieba wyje dusza beznadziejna. Ot wam atmosfera! Ot rytm życia!

Te słowa ponure zaciążyły ludziom poprostu na piersiach: oddychano sapliwie w milczeniu.

Ten i ów nie wytrzymał: zrywał się z miejsca i dreptał po pokoju w nadmiernej obfitości ruchów, jakby w instynktownej nagle ich potrzebie.

Opowiadający tymczasem postanowił wstać: krzesło, wyprzedzając jego opieszałą wolę i nieskore ruchy trzeszczało pod nim już od kilku minut. A gdy się wreszcie podniósł, zdał się niedźwiedziem na tylnych łapach. Kołysał się tułów na rozchwianych nogach, oczy przymykały się przytem, nos wtulał w policzki, a usta chciały się jakby na całą twarz rozedrzeć: ziewał całem ciałem, wydłużały się prężnie wszystkie ścięgna, kurczyły wszystkie mięśnie zastałe, rozłaziły się stawy zakrzepłe, — przeciągał się sam kościec w ciele zależałem. A ten ziew epicki

przechodził w chytre, kose wejrzenie oczu i złośliwe rozedrganie warg.

Odszedł wreszcie.

Ludzie patrzyli już z pod oka, trącając się łokciami. Niejeden mrużył się podejrzliwie: »Czyś ty aby, bracie, przy zdrowych zmysłach?« Gdy jeden z drepczących po pokoju zatrzymał się przed kompanią, zacierając ręce wciąż z tą pasyą ruchliwości w gestach, zwrócił się do wszystkich:

— Hm, pokazuje się, że nawet i czas, sam Chronos we własnej osobie uciekł od nas do Paryża, gdzie skacze po trampolinie ziemi francuskiej. W zastępstwie jego nawiedziła nas Sybilla Kaługi, Kostromy, Tweru, oraz innych grodów sympatycznych: nuda bizantyjska, matuszka udręki i okrucieńswa.

— No dobrze, — przerwał znów inny — czemu ten pan w takim razie sam nawet siedzieć nie zadaje sobie trudu, tylko leży zawsze na krześle.

— Bo niegdyś brał zanadto żywy udział »w ruchu«. Zesłali go przeto między swoje »bohatery najmłodsze«, które, jak wiadomo, w oczekiwaniu »czynu« leżą na zapiecku. Tam też odzwyczaił się od siedzenia i spoziera na świat, jakeś pan słyszał: — no, nie *à vol d'oiseau*. Zresztą, jakeś pan również słyszał, stracił wiarę w samowar i doktrynę: pozbył się kręgosłupa.

Ale w kompanii znalazł się ktoś, potrafiący coś więcej opowiedzieć o ponurym niedźwiedziu, który ich opuścił przed chwilą.

— Wczoraj właśnie — jął opowiadać — spotkałem go

na ulicy, jak się tak błąkał niby »po dnach wyschłych kanałów«. Żal mi się zrobiło tego luzaka, zaciągnąłem go do knajpy. I dacie panowie wiarę, ten siwizną przyprószony człowiek wchodził do pospolitej restauracyi, jak smarkacz do dziewek: tak się rumienił, tak opinał w marynarkę. Wreszcie przyznał mi się na ucho, że on »do knajpy, to nigdy!« A w głosie miał przytem drżączkę, wzruszenie grzechu najwyraźniej. Po kilku kieliszkach był już gotów. Sam powiada, »jedyneńki« w miłej ojczyźnie jestem, psa koło mnie niema. I tak w nim to zwierzę towarzyskie zaskomli, że wbrew wszystkim swoim instynktom stara się być nawet frywolny, — niby, że mnie przypuszczalnie tym dogodzi. Oto wchodzi ktoś z dziewczyną niebrzydką, mój kompan nietrzeźwy mruga na mnie i czyni gest, aprobujący jej urodę. A jest przytem taki figlarny, taki zuch, że dość spojrzeć na tę szpakowatą głowę, aby odgadnąć, że nią nigdy nie rządziły kobiety. A ta brawura z przed chwili podnieca go najprzód swawolnie, za chwilę roztkliwia wspomnieniem. Niebawem zwierza mi się po pijanemu:

»Kochałem ja się, bracie, w panience. I jak to w każdej ciasnej kompanii, w każdem bractwie smarkaczy, gdzie jeden drugiemu łapęby w serce wsadził: obstąpili mnie jak to kukułczę. I tyle było mego w życiu! Później nie zdarzyło się kochać w panience. Za twarde na to życie nasze«.

Z cierpką żałośliwością dolewam mu tego wina. »Stare dziecko« — myślę. I aby coś powiedzieć pytam: »No i cóż się potem stało z panienką?«

Spojrzał na mnie temi zmatowanemi oczami, potem

gdzieś ponad moją głową błąkać się niemi począł, a twarz wykrzywia mu się w jakiś uśmiech kosy, chytro melancholijny, niby współczucia pełen, a nękiem i udręką samego siebie, rzekłbyś, prawie ubłożony: wstrętny uśmiech! Maskę jakąś obcą człowiek na twarz włożył. I zamruczał wreszcie w brodę, jakby sobie tylko:

»Ofelio, idź do burdelu, powiedział Hamlet słowiański.«

Zmroził mnie ten człowiek. Już teraz nic nie wiedziałem, co on za jeden. Obcy on! — to tylko czułem. Niebawem władowałem go do dorożki. Kiwał się, drzemał. »Patrz — mówił po chwili, rozglądając się naokół — wszystko mi było takie uśmiechnięte, rade, skoczne w życiu: panienką miasto mi było moje, kochaniem świat cały, gdy własna krew w żyłach krążyła, gdy mnie z ławy szkolnej...

Uwiesił mi się na szyi. »Wylej mi bracie ten ołów roztopiony z żył! Spala mózg ten *ich* ogień ciężki, spala nienawiścią do życia!«

I znowu dumał długo. Wreszcie wali się przodem na dorożkarza: Masz trzy ruble, — śpiewaj. Smutno zaśpiewaj!« Uważają panowie, żeby mu zaśpiewał... do-rożkarz. Słowo daję!

— Fiaker?! — pisnął młodzieniec z dwubarwną wstążeczką na kamizelce pod frakiem. I zatrząsł się śmiechem. — Fiaker?! Nie! — Podkreślając jakby fizyologiczną gamę rozkoszy, jaką daje śmiech, śmiał się szeroko, rozpasanie, trochę dla siebie, o wiele więcej dla innych: zapraszająco dla wesołych, arogancko i bezczelnie dla tych, co śmiać się nie chcą: śmiał się gemuetlich. Trząsł brzuchem,

ślinił się, słaniał głową i szukał dla swej pulchnej rączki oparcia o kufel: ale kufla nie było.

— Ho-ho! Fiakry śpiewające! — I krotochwilna wyobraźnia knajpianego w Niemczech bywalca, na pismach humorystycznych wypasiona, klownicznie niewybredna przedstawiła mu asfaltową ulicę wśród pałaców, rojną od pojazdów, a na ich kozłach fiakrów rozwalonych w ceratowych cylindrach na tyle głowy, z lewą ręką wraz z lejcami na piersi wezbranej z biczyskiem w gestach patetycznych.

— Fiakry śpiewające!... O tempora, o mores!...

I na ten własny koncept burszowski ryknął z gardła, piersi i brzucha zdrowiem i weselem karmnego ciała.

Lecz oto przez uchylone drzwi wpadły do palarni odgłosy wszczętego tańca: — panowie rzucili się do wyjścia. Przy poniechanym bilardzie zabawiał się ksiądz potrącaniem kul nieudolnem. Zaszedł go tak pułkownik i, jakby zmieszany za niego tą nieprzystojną dla osoby duchownej rozrywką, chciał go wyminąć niepostrzeżenie. Lecz ksiądz wyciągnął do niego dwornie rękę, ścisnął ją z lekka i powrócił do swej obojętnej rozrywki.

— Ksiądz gra? — odpłacał się pułkownik tymże uprzejmie niedbałym tonem.

— Gdzietam! — roześmiano się w odpowiedzi, odrzucając kij na sukno.

Zaś aby tego nie wzięto przypadkiem za troskę o brak namaszczenia przed chwilą, jak to łatwo mógł sobie wyobrazić człowiek inowierczy, skłonny może w duszy ku wszelkiej pompie prymitywnej powagi, — ksiądz podsa-

dził się lekko i przysiadł na rampie bilardu, rozkołysany nogami.

Pułkownik ujrzał pod suknią pantofelki z klamrą. Ta postać giętka, o rękach długich i nerwowych, o subtelnych rysach wygolonej twarzy i uśmiechu niedbałym przyniosła mu znów to tchnienie *féminin*, jakiem się przesycił w salonie. W dobrozacnych oczach zapaliła się iskra szydu, gdy w myślach stali mu ciężko obuci i chmurni brodacze w swych tułubach szerokich, z wielkim metalowym krzyżem na piersiach, ich ręce krzepkie, pod niemi zwisłe torby rękawów: ramiona, jakby do błogosławieństw i przekleństw zawsze gotowe. I tak mu się zarysowały głucho te dwie postacie, niby symbole dwojakiego napięcia energii gromadnych na tej odwiecznej rubieży dwuch światów, na jakiej mu żyć przyszło.

I choć swego obrazu do Bizancyum nie odnosił, tu wraz z pasyą o Rzymie pomyślał. I wnet dodał w duchu:

»Wy tu nie tylko na swoją niemoc chorujecie, lecz i na Rzymu zgrzybiałość, na Francyi zniewieściałość, na Niemiec gruboskóre zmateryalizowanie... Czorci wszystkich nacyi swarzą się o duszę waszą«.

Przez pokój kroczył ciężko ku drzwiom jegomość w tużurku i odciągnął ku sobie uwagę pułkownika.

»Myślałbyś nasz brat!« — Któż to jest? — zapytał księdza.

— Komierowski. Brat pani.

— Komierowski, — powtórzył pułkownik jak echo. I coś mu się w przypomnieniach snuć widocznie poczęło,

bo marszczył czoło. — To ona tak z domu będzie? A rodzina z Radomskiego — hę?

Łowił w pamięci przypomnienia widocznie dalekie, wreszcie mruknął jakby do siebie: »Stryj to jej chyba będzie. Michał — a jakże! — Michał mu było na imię«.

I rozgadał się nagle:

— Pan Komierowski Michał ojcu dwadzieścia koni ukradł i wszystkich ludzi folwarcznych pociągnął. Pocztem wielkim szedł pan Komierowski Michał — »do lasu«. A fantazyę pańską miał! — List do nas grzeczny po francusku napisał: jeńcem wojennym chciał się mieniać (Trzech kozaków gołych w kąpieli raz przyłapał). Jenerał! Główno-komandujuszczy! A ludzi miał: dmuchnąć! A co się z nimi nadokazywał! No, ale też i czortowscy ludzie to byli! W polu — jastrząb o nich wiedział, w lesie — sam bies ich zgubić musiał.

Urwało się nagle pułkownikowi, oczy zmrużone błąkały się czas jakiś po suficie, a potem, jakby w pogoni za czemś pierzchłem, wybiegły zda się jeszcze dalej.

— Gdzie te lasy dzisiaj!... Gdzie te dwory!...

Przerwał mu nagły śmiech. Ksiądzześlizgnął się z rampy bilardowej i, ująwszy się w talię wązką, aż się zataczał w rozgłośnym śmiechu.

— I dałby kto wiarę: na tem skończył, że... że zatęsknił!

Ksiądz osunął się w wielki dziadkowy fotel, plecami rzucił się w jego głąb — i śmiał się wciąż.

Pułkownik błąkał się jeszcze gdzieś spojrzeniem, a draś-

nięty tym śmiechem i ocknięty z zadumy żachnął się cały i mruknął cicho w brodę:

»Śmiej się, czuczeło!«

Lecz śmiech księdza urwał się nagle jakby w czkawce nerwowej. Wiotka jego postać zsunęła się po siedzeniu ślizkiem, wysunęły się z pod długich sukien pantofelki z klamrą, głowa, na oparciu pozostała, wtłaczała się w piersi, ręce, o poręcze łokciami wsparte, splotły się na piersiach.

I tak się zapamiętał, zastygł w tym ruchu Stańczyka.

W gabinecie gospodarza leżała sina chmura nad pochylonymi grzbietami. Pracowały cygara i wyrzucały się karty z dłoni. Cisza zalegała tutaj, podkreślana pomrukiem rozwagi i stateczności ludzi dojrzałych. I świece na zielonych stolikach paliły się surowo; żółte ich płomyki stygły za dymnicą siną, płonęły twardo jak oczy panów pod hazard już wszczęty.

Do tej komnaty skupienia wtargnęła nagle fanfarą muzyka szeroka, rytmami posuwista i tak w swym umiarze stateczna, że panowie pojęli ją odrazu, jako apel do swych stanowisk i godności. Bez przeciwiania się tedy i bez zwłoki powstawali wszyscy po kolei i, chrząkając zwracali się za gospodarzem w stronę najgodniejszego z obecnych — siwego nababa z Ukrainy. Zrozumiał. Podczesawszy tedy dłonią czupryne i podgarnąwszy wąsiska, ruszył do salonu.

Za chwilę kroczył w czole korowodu, by fantazyą głowy siwej i gestu powagą przyjmować pięknej pani skłonienia i łaskę w jej płynnych ruchów pochodzie. Wiodąc jakby rozmowę niemą jeno szlachetnego gestu wyrazem,

stawali raz po raz oboje, obzierając się na panów tym oto progiem nie gardzących i na dobrodziejki dziś tak łaskawe. Póki zaś najmilszych gości połączone pary po sali wodzić raczyli, kapela, w dalszych grająca pokojach, nie śmiała uderzać w instrumenty głośne; dopiero gdy służba drzwi na ścieżaj otwarła, muzyka echem wszystkich komnat zagadała nagle.

Snuła się poloneza wstęga, aż do stołu białej podkowy w świateł, kwiatów i zastawy rozbłyskach.

Do wielkiego jak tron fotelu u czoła stołu podprowadzała już było służba z drzwi niedalekich sędziwego starca, dygocącego głową, ręką i kijem w niej trzymanym.

Damy surowe, małżonki solidnych mężów, siedziały przy wieczerzy w uroczystem skupieniu, przyjmując potrawy i wina, jak ciało i krew pańską. Te inne, mniej uroczyste: panie białe i pulchne, o miękkich wejrzeniach istot leniwych dorzucały przez głęboko obnażone biusta swych piersi ciepłą woń do chłodnego kwiatów tchnienia, win meszkowego zalotu i do potraw zapachów pikantnych; jedząc i pijąc dosytnio, promieniowały w powietrze fluidum ciał luksusowych.

Brunetka w skromnej białej sukni, niby w koszulce dziewiczej, pana Szolca jedynaczka, o poduszkowym układzie okrągłej twarzyczki na czarnym jedwabiu swych włosów słuchała, coraz to bledsza, nieustannych rewelacyi z zakresu sztuki i literatury. Pan Horodyski obrabiał tymczasem realiami płową blondynkę o karbowanej grzywce; słuchała jego rebusowych jednoznaczników z dużem zadowoleniem, miała wszakże tę wadę organiczną,

że rumieniła się raz po raz na widoku ludzi. Młoda mężatka o rozbieganym języku i niespokojnej nóżce znalazła się szczęśliwie naprzeciwko aż dwuch ludzi popularnych. Przypatrując się rzadkiej minie i niezbyt starannie golonemu obliczu poety, oraz udręczonej nerwowem roztargnieniem twarzy młodego muzyka, podniecała swą ciekawość do tego stopnia, że aż zamilkła, pozwalając zresztą siedzącemu tuż obok dziennikarzowi położyć sobie rękę na kolanie; czynił to pod stołem gestem cierpliwej i łagodnej wymówki, jak kładzie ojciec dłoń na głowie niedoświadczonego dziecka.

Panu Szolcowi natomiast szczęście mniej służyło: minęła go sposobność spożycia kolacyi przy damie. Tę panią zabawiał hrabia o długiej szyi, z początku nieco odęty na towarzystwo całe i nie wiedzący o czem mówić, po kilku jej ślizkich »powiedzeniach« żywo zainteresowany i »wcale jeszcze niczego kobieta«, — mówiący zezem i szyją skręconą. Lecz jego sceptycyzm zużycia drażnił wolnomyślność starszej małżonki, wybujałą raczej na tle pewnych prywacyi w życiu spokojnem. Wywikłała się z tego cynizmów przeciwieństwa ogólna dyskusya — rzecz oczywista — »o kobiecie«. Hrabia podniecany do coraz to drastyczniejszych powiedzeń przez hazardowny język pani, mówił w doświadczonej niewiasty oczy bystre:

— Kobieta wprawdzie ma duszę, jak nam kościół wierzyć każe, lecz duszę swego stada, moralność atmosfery, jaka ją otacza, a zmysły swych wielbicieli.

Temperamentowa dama aż się na krześle podrzuciła wobec tych słów, a, odpowiadając mu z impetycznem

oburzeniem energii radosnej, rzuciła żywość i swobodę na zgromadzenie całe.

Gwarno czyniło się przy stole biesiadnym.

Pułkownik znalazł się w kącie wyłącznie męskim, mając za sąsiada tłustego obywatela z Litwy; gawędził tedy z Wojciechem Stanisławowiczem. Obu panów zaciekawiła bardzo królująca przy stole postać starca o soplach siwych wąsów zwisłych niżej podbródka, zadartego ku górze pod zakrzywiony nos: sędziwość wielka wyzierała z tej twarzy zwiędłej w dziób ptaka niedomknięty i woskowego czoła o trumiennym połysku.

— Któż to jest taki? — pytał pułkownik.

— Dziad pani. Major.

— Hm? rozszerzyły się pułkownikowi oczy. — Czyż by taki żył jeszcze?... Wojsk polskich?

— Kampanię trzydziestego roku odbył jako oficer. Majorstwa dosłużył się na Węgrzech pod Bemem.

— Pod Bemem, — oryentował się pułkownik szybkiem potakiwaniem głowy.

— Za Garibaldiego niósł w roku wolność Neapolowi pod jenerałem; tamże ranny. Brał udział w 63-im roku. Bił się jako ochotnik w wojnie francuskiej, w franctireurach pod jenerałem Lipowskim.

Pułkownik potakiwał szybko głową.

— Wnet potem walczył przeciw armii wersalskiej pod jenerałem Dąbrowskim Jarosławem.

Pułkownik drgnął i roztworzywszy już usta kazał długo czekać na słowo zdumienia.

— Komunard?! — szepnął wreszcie.

W energicznym zwrocie w stronę sąsiada pchnął mocno czyjeś ramię: ujrzał wielką rękę w białej nicianej rękawiczce i wygoloną twarz.

— Beaujolais? — Pontet Canet? — Mouton Rothschild? — usłyszał recytacyę pytającą. Lecz że całą uwagę miał w tej chwili zwróconą gdzieindziej, machnął tylko niecierpliwie dłonią na znak, by zostawiono go w spokoju.

— I jemu wolno było wrócić? — zagadnął wciąż jeszcze wzburzony.

— Beaujolais? — Pontet Canet? — Mouton Rothschild? — usłyszał tylko po raz drugi i nieco dalej, gdyż Wojciech Stanisławowicz zajęty był właśnie rozważaniem tamtych pytań.

Więc przeniósł oczy na to czoło gromniczne i wąsy zaporoskie pod niedomkniętym dziobem twarzy. »Oni tu jak Egipcyanie z mumią do stołu siadają, — pomyślał po chwili. — Nie dziw, że takiemu pozwolono wrócić, — tłumaczył sobie bezwiedną udrękę dezoryentacyi w rzeczach prawa.

Pozostawiony przez chwilę sobie (Wojciech Stanisławowicz wciąż jeszcze nie mógł się zdecydować na markę i flaszę), pułkownik obiegał spojrzeniem obecnych, szukając Niny po zapamiętanej barwie sukien. Lecz oto w drugim końcu stołu ujrzał wyniosłą postać gospodarza i ostre jego baki. Stoi sztywno i, udając zajętego szeptaną rozmową z gościem tyłem do niego siedzącym, kierował służbą zaledwie oka jednem zmrużeniem i lekkiem wykrzywieniem rybich warg w jamie włosów. »Jak to u niego

tu sprawnie wszystko idzie — podziwiał pułkownik, i jak spokojnie. Także „jenerał!“ — ichniego tu dziś życia«. I z dobro zacną złośliwością w siwych oczkach rozglądał się dalej, zatrzymując wzrok tym razem na pięknej wnuce starca. Niebawem zadumał się nad tem, jak ta kobieta urasta, szlachetniejszą i jeszcze piękniejszą się wydaje w chłodnej pozie reprezentacyi. — »Tu dziad! — myślał — tam stryj! tu brat! kto wie, czy nie z takichże. A tam jeszcze przodkowie pod Jeną czy Samo-Sierą; dawniejsi może i na Kremlu byli... Nu i baronowa Nieman! — zakołysała mu się broda, — reprezentująca męża geszefty i pychę«.

— A ty mi z twą łapą w pieczątce nicianej pod bok nie leź! — wybuchnął nagle w purpurowej pasyi. — I nie gadaj mi w kolo to samo: wszystko jedno, ja się nie znam. A ja nie Polak: udawać nie będę. Wyuczyliż papugę po francusku!... Ot Wojciech Stanisławowicz niech poradzi. On na Litwie znawca pierwszy; po przodkach ma piwnicę sławną.

Wojciech Stanisławowicz wystawił swój kusy pierst z ciężkim herbowym sygnetem. I wskazał na omszałą butlę przed sobą, którą już był zaanektował w całości, wskazał, a raczej pogroził tym palcem flaszy.

— Radzę! — rzekł.

Nie odszukaną przez pułkownika Ninę przysłaniał pęk kwiatów w wazonie, siedziała obok Wandy, z którą nie rozstawała się już ani na krok; pomiędzy niemi znalazł się Bolesław.

Burza wyobraźni, jaką tu Nina ze sobą przyniosła,

sprawiła, że otrząsem gwałtownym witała samą myśl ujrzenia przy stole któregoś ze swych tancerzy, pana Horodyskiego, damy, lub pana Szolca. Drżała na samą możliwość jakiejkolwiek rozmowy towarzyskiej, czując instynktownie, że lekka pianka pustoty nie poniesie w tej chwili ciężkich myśli, że gotowa je rzucić odrazu na mętne dno wstrętu. To też z ulgą prawdziwą ujrzała się u boku »Bolka«, jak pomyślała w tej chwili z wdzięczną łagodnością w oczach dla tego towarzysza młodości, którego tu witała tak swawolnie. Podjęła wiązankę, jaką zastała na talerzu i zanurzyła w nią twarz, topiąc poprostu w kwiatach ponure obrazy opowieści słyszanej niedawno.

Wanda siedziała sztywno, blada na twarzy jak chusta, splecione ręce wspierając o brzeg stołu. Uchylała również potrawy wszystkie, zanurzona jeszcze wyobraźnią w obrazy wspomnień ponurych. Podjęła kielich, z którego nie piła i, spoglądając znacząco na Ninę:

— Za zdrowie tych, o których myślę:

Nina spłonęła w mig zachwytem dla tej tajemniczości tego toastu.

— O kimże to paniątka myślą? — pytał Bolesław opieszałym głosem.

— O, to jest zupełnie co innego! — odparła któraś z nich surowo.

Ciężar tamtych opowieści tak oto z serca sobie zdjąwszy, oddały wnet całą duszę łagodnemu współczuciu dla niego. Podbijał dziewczęce wyobraźnie w tym kierunku widok diwy, królującej w słońcu. Majestat cielesny tej ko-

biety, luksus wielkostołeczny, bijący od niej, oraz jej aureola sławy światowej zgniatały poprostu obie dziewczyny. Więc zakrzątały się przy nim, jak przy rannym, któremu winne były troskę i opiekę.

Nie spostrzegły, jak porozstawiano wszystkim wysokie czarki i jak cisza czyniła się powoli naokół. Tuż naprzeciw nich powstał z miejsca jakiś pan uprzejmy i, szeroko rozstawionymi palcami wspierając się o stół, pochyłał respektownie w stronę diwy.

— Dostojna pani! — rozległo się w ciszy.

Profesor, siedzący obok czczonej diwy, począł trzeć sobie dłonią twarz. Puszczał ten toast mimo uszu; pod koniec jednak nie wytrzymał i wychylił z za dłoni okulary złote i zez oczu ponad niemi. Słuchał:

— . . . Pozwól tedy, czcigodna pani, która chwałę imienia polskiego roznosisz po świecie, abym w twe ręce wypił na cześć sztuki polskiej!

Nina instynktownym odruchem chwyciła Bolesława z całych sił za rękę, i tak go przykuwała do miejsca, bojąc się nawet w twarz mu spojrzeć w tej chwili.

A gdy się trącić wypadło, diwa uchylając się od kielichów, wyciągających się ku niej, zwróciła się, jak należało, do starca, który kazał służbie podjąć siebie z fotelu. I czy te oczy ludzkie w nią zapatrzone, czy też tchnienie wielkiej sędziwości tej postaci, targnęły w niej niespodzianie nerw starej aktorki. Przy stole pychą wielkiego biustu pod brylantami chłodna, teraz jakby różdżką czarodziejską tknięta, zdrobniała w oczach, zatuliła się cała wdziękiem nieśmiałości doskonale zrobionej: Małgosią,

Halką, dziewczyną się stała, przypadającą ustami do ramienia sędziwego starca. W głębokich dołach kości osadzone orle oczy zapatrzyły się w nią swym szklanym blaskiem: starzec zdał się wiedzieć i rozumieć to jedno tylko, — że ta u jego ramienia »dziewczyna« chwałę imienia polskiego po świecie...

Suche jak szpony ręce chwyciły tę pochyloną głowę, ściskając z drżeniem wielkiem miedziano-złoty czub aktorki.

Goście podziękowali obojgu aplauzem wzruszenia. Ręce Wandy nie zdołały się złożyć do oklasku: musiała je czemprędzej zarzucić na twarz, by ukryć łzy, tryskające do oczu i drżenie warg niepohamowane.

Swobodny rozgwar przy stole, muzyką bezwiednie kołysany, kaprysił mimowoli w jej rytmy ciche. Nawet damy surowe zarumieniło wino i długi wysiłek sztywności. Mężatki białe i pulchne, syte ucztą i w energie cielesne zasobne, chyliły ochoczo biusty otwarte ku młodzieńcom bladym, niby na wety rozmarzeń. Zaś ta najdorodniejsza, z semickim wyrazem nudy na ustach, słaniała lica mleczną urodę w rozpuchach i czerni swych włosów, jak w kirze smutku co najgłębszym.

Dla niej to chyba zdmuchiwał te tchnienia żałoby muzyk skrzypcowy ze strun jakby wibrujących czyjeś namiętności dla niej daremnie przebrzmiałym w życiu krzykiem: zwiewał jakby tęsknotę z maski pośmiertnej, jakby z ust zastygłych westchnienie, jakby spazm z piersi, których... wcale nie było. I niby lokaj wysłużny podawał ten romantycznie zagrobowy pocałunków żar w walca rozko-

łysanego rytmach, w pieściwej serenady tonach i jakby w słowach co najtkliwszych dla uczuć biesiadnych. Pod smyczkiem muzyka przypochlebnym pulsował ten walc na wety uczty podany głębokim oddechem sytości. I płakały równocześnie struny w serenady zew, jakby przed tą dwoistą czarą kobiecej pieszczoty podawanej bladym młodzieńcom na pół obnażonych piersi ponętą:

»Do Ciebie płyną te rzewne tony,
O wymarzony
Błogi śnie«.

Cichy fiolet Wandzinych oczu wysączył z głębi swej najczystszej łzy ubłożenia.

Nina nie wypuszczała dłoni Bolesława z swej garści krzepkiej.

Bajukać umiecież wy tu życie! — rozległo się nagle głośnym basem, — mistrze wy tu jesteście w dusz usypianiu: stare głowy odurniać, młode oczadzać!... Sam czortby głowę na kolanach kobiecych cicho złożył, ogonek by przez ramię przerzucił, kieliszek by wąchał, pókiby nie zasnął — »O, wymarzony, błogi śnie«. — Ot i szczęście wasze dzisiejsze!

— Kwietyzm, — uzwięźlał to wszystko Wojciech Stanisławowicz lakoniczną abstrakcyą. Mruknął ją sobie w nos.

Ktoś zadzwonił nożem w kielich, a głos w tłumie zagubiony obwieścił biesiadnikom:

— Łaskawie tu obecny i przez nas wszystkich ukochany poeta pan Wawrzyniec Warski przeczyta na powitanie diwy wiersz okolicznościowy.

— Ślicznie! — rozległo się wesołym basem (pułkownik nie zachował miary w winie).

Równocześnie z za wielkiego bukietu w wazonie wyjrzała chyłkiem ukryta dotychczas głowa Niny:

— Gdzie?!... Który? — który? — gdzie?!

U boku pułkownika zatrzymał się tymczasem starszy z tej tu służby, niegolony i noszący się z większą powagą. Stał i czekał cierpliwie, a gdy zwrócono na niego uwagę, pochylił się od ucha, jak człowiek zaufania:

— Ordynans do pana pułkownika, — meldował.

A pułkownik, przechylając się w tył wraz z krzesłem:

— Z armii wielkiego Napoleona? — Hę? Jak to u takich wszystko wysokoparnie być musi: A to prosto: deńszczyk, lub kozak. Niech poczeka na schodach. Proszę zanieść mu tę moją ordę.

Lecz on nie odstępował z miną zatroskaną i szepnął jeszcze ciszej: »To coś bardzo ważnego: kazano natychmiast odszukać. Konia widzę w bramie zostawił. Z sztabu jeneralnego będzie, czy też plackomendantury.« — Pułkownik skoczył jak sprężyną podrzucony i, zapomniawszy nagle o wszystkich tu ludziach, ruszył chrzęstnie ku drzwiom. Człowiek zaufania postępował za nim krok w krok, jakby tajemnicy strzegący.

W zgiełku, jaki panował przy stole, mało kto zauważył

to wyjście hałaśliwe. Zaniepokoił się niem tylko gospodarz i, odrzuciwszy się na poręcz krzesła, szarpał dłonią bak jeden w oczekiwaniu na powrót służącego. Jakoż człowiek zaufania, nie wiadomo którędy wróciwszy, znalazł się wraz nad jego głową.

Starzec, który przy głuchocie swojej w towarzystwie był jakby nieobecny, obserwował uważnie tę całą scenę. A gdy baron szybkim teraz krokiem podszedł do żony i szeptał pochylony, gdy coś nagłego przemknęło się po twarzy wnuki, stary wpił się w nich szklistemi oczami; wreszcie wczepił się w jej rękaw i z niecierpliwością dziecka począł ją targać ku sobie.

— Wojna japońska?!... — bełkotał.

A wnuka, złożywszy swe blade dłonie w tubę, huknęła dziadowi w ucho:

— Wszczęta!

— Aa...?! — wrzasło chryple w gardle starca. I rozdziabiły się zdumieniem szczęki bezzębne. A oddech zaparł się na chwilę. — Aa!... — chwycił go wreszcie z powrotem. I zapadła mu się twarz, zwarła w dziób niedomknięty. Głowa na wyschłej szyi kolebać się poczęła nad piersią.

Zmieszał się nagle gwar ludzki i przycichł w zapatrzeniu niemądrem. A gdy wszedł pułkownik, blady jak ta koperta, którą trzymał w dłoni, te wszystkie oczy zdziwione zwróciły się w jego stronę. On otwierał już było usta w odpowiedzi na te nieme pytania, lecz słowo polskie nie chciało się w tej chwili przecisnąć przez nie: »za eleganckie«, za wykrętne, za »śliczne« wydało mu się jak na

okazyę. Nagle podrzuciło mu się ramię. I przybił jak kułakiem twardym słowem rosyjskiem:

— *Wajnà!*

A gdy usiadł, wydał się wszystkim zupełnie innym człowiekiem. Inaczej spoglądała na niego i służba: stojąc opodal, wyciągała się mimowoli w strunę. Pułkownik tymczasem z surowym marsem twarzy gonił przypomnienie jakiejś tu twarzy, która najbardziej zaniepokojonem wejrzeniem zatrzymała się na nim przed chwilą, już kilkakrotnie tego wieczora mignęła mu przed oczami ta głowa. Wstrzepnął palcami: przypomniał.

I począł zaglądać za ten wazon, z za którego wychyliła się niedawno głowa Niny. Bolesław bladł pod tem czającem się wejrzeniem i przygryzał wargi.

— Pan w moim pułku służył, — ha? — Nas panie wzywają pierwszych. Jutro wyruszyć już wypadnie.

Odpowiedział mu kobiecy okrzyk przerażenia, a po chwili z innych piersi cichsze łez tłumionych zachlupanie krótkie.

Bolesław uśmiechał się jakby nieprzytomny, — nie odpowiadał nic.

Brzydki nieład zapanował tymczasem przy stole wśród gorączkowych rozmów i przekrzykiwań się grup dalekich. Już i telefon dzwonił na pokojach, przynosząc z którejś redakcyi szczegóły wieści. Stateczniejsi panowie chrząchali niecierpliwie, spoglądając na miejsce stołu naczelne, aby im wreszcie wstać pozwolono. Lecz czyje spojrzenie tam się skierowało, ten milkł natychmiast. Niebawem nowa

cisza, tym razem bardziej jeszcze głucha, zalegla wśród biesiadników.

Sędziwiec zapadł się w fotel, kiwała się tylko na piersiach czaszka jego gromniczna. Na stołu biel poza nakrycie i kwiaty wyrzuciła się ziemistą plamą jego ręka zwiędła o przegubach palcy ostrych jak gwoździe.

I kuła twardymi pazurami jakieś rytmy błędne: targała się jak wielki szpon, by za chwilę opaść bezsilnie. Wówczas rozłaziły się jakoś miękko palce brunatno-żółte, długie, niby wypełzłe z trumny robaki.

I kiwało się to truchło na fotelu, natrząsało jakby nad ludźmi.

CZĘŚĆ DRUGA.

Takiego ładnego chłopca zabieracie nam, — dąsała się dama, dopadłszy pułkownika tuż przy drzwiach od przedpokoju.

— W mundurze będzie mu do twarzy, — odparł sprawnie na tresury tutejszej egzamin, jak myślał, ostatni, Bo ukłoniwszy się damie, wymknął się do przedpokoju. Tu zakomenderował twardo, by mu szynel podano.

— Pudłem już zrobili, — mówił do siebie, szamocząc się z rękawami: — *opalaczył sia!*. . . — A tamto? — *chadatajstwo*, cerkwią handlowanie, Niemców sobą nakrywanie? — *nu, i spriwisliniał!*. . . Chwała ci Boże, — mruczał dalej, zapinając impetycznie szynel, — jest w czem duszę przewietrzyć z marazmu. Przewietrzysz, — zanucił prawie, oglądając się niecierpliwie za czapką, — w drugim końcu świata, w ogniu oczyścisz. I zostawisz ją tam pono, — kończył, wstrzepując czapką energicznie.

W szynel opięty, bardziej jakby w sobie zebrany, zmężniały i w dwójnasób zda się wyższy, zatrzymał się tak w nagłej zadumie, w dno swej czapki zapatrzony: stał, jak w cerkwi przez długą chwilę. Wreszcie otrząsnął się i podrzucił głowę.

O skrzydła wrót wyjściowych wsparta, stała — na tem tle szerokiem ogromnie smukła — pani domu, zagradzając mu drogę na progu. Przez służbę widocznie powiadomiona, zjawiła się w porę.

Pułkownik zmieszał się.

— Uprzejmie, — mówił i giął się w grzecznych ukłonach, — przepraszam, — bąkał, — że tak »nieelegancko«, bez pożegnania. . .

Na długiej twarzy pani migotało przed chwilą jakieś nieuchwytne ożywienie: coś jakby rumieńce na policzkach, jakby ruchliwość milcząca na tych wargach opieszałych i ciężkich. Lecz wobec zachowania się pułkownika cień nagły zdmuchnął te promienie z oblicza. Spoglądała na niego przez rzęsy zniecierpliwieniem cierpkiem. I tą wyniosłością światowej kobiety stropiła go zupełnie. Zrozumiał, że »ta ich grzeczność« jest nieco inna; że on w jej złośliwą karykaturę kładzie przedewszystkiem swój własny temperament, gdy rzecz jest zasadniczo zimna. I że służy właśnie jako chłodu zasłona w chwilach, gdy. . .

»Kobietą jest przecie? — przemknęło mu w tej chwili w myślach, — a we krwi ma wszak długie szeregi takich, co wychodzili w pole, — aby nie wracać. W innych szli oni warunkach i z inną wolą; a jednak tamtej krwi instynkt może przebił się u niej echem przeszłości przez cały ten szlam mieszczańskiego trybu. Przebił błędnie: ku twojej obcości, — myślał o sobie, — i twojej sprawie obcej. Chociażeś ty u nich »chadatajem« był i parawanem w potrzebie, choć ci tylko obłudne grzeczności świadczono z wyrachowania, jednak w tej chwili może

ostatniej... To słowo »wojna« działa potężnie na wyobraźnie kobiece... U nas krzyżem, ikoną błogosławią... Z pustemi tu rękami wyszła i z pustem pono sercem, a jednak... W złych obcościach między nami rzecz najlepsza, na jaką stać było, poczęła się w nieświadomości kobiecego instynktu i ugrzęzła w milczeniu dumy«.

— Mam do pana... już tylko prośbę, — zaczęła spokojnie. — Dziad mój, który »myślą ani sercem być z wami nie może,« (powtarzam jego słowa), — radby panu rękę uścisnąć, mówiąc, — (powtarzam po raz drugi jego słowa), — iż »rzecz wojenna to znów całkiem coś innego«. Otóż kwoli tej rzeczy całkiem innej...

Pani mówiła trochę bezładnie i w niezwykłym dla niej tonie niepewności siebie. Widać było, że to polecenie jest jej w tej chwili bardzo nie na rękę.

— Więc może pan łaskawie za złe nie weźmie, ze względu na dziadka wiek, że ośmiela się go prosić i fatygować do siebie.

— Helena Pawłówna nie obrażajcież wy mnie! — wyrwało się nagle pułkownikowi jakby z głębi piersi.

Długa twarz pani wyciągnęła się jeszcze bardziej, a brwi wielkie napięły się ku górze jak łuki.

— Czemże ja to pana obrażam?

— Pani baronowa doprawdy!... A to: »łaskawie«, — a to »wybaczyć«, — a to »fatygować«... Toż to sędziwiec jest, — drachlec! Starczy jedno słowo wasze!

I zerwawszy z siebie szynel, cisnął go kłębem gdzieś na krzesło.

— Gdzież on? — pytał wzburzony.

— Tam, panie, — odpowiadała chłodno, — w dziecinnym pokoju.

— To - to: w dziecinnym pokoju! — powtórzył smętnie w brodę.

Szablą na pasie już opuszczoną rumor wielki po salonie czyniąc, przepychał się przez tłum strojny ku drzwiom dalekim.

Pani pozostała na miejscu u drzwi w niemiłem uczuciu jakowejś niezręczności towarzyskiej, poniechania czegoś, co już z pamięci w tej chwili się wymknęło, czy też zgoła niewiedzy, po co tu właściwie wyszła: wystarczyło posłać któregoś z panów z tą prośbą dziadka. Wrażenie tak błahe, a nurtujące osmętnieniem dziwnem: oto zapatrzyła się w splecione dłonie opuszczonych ramion i zapamiętuje się w tym ruchu: stoi jak w kościele przez długą chwilę, jakby ją ktoś z tyłu nagle kirem zarzucił i głowę jeszcze niżej zwiesić kazał.

Lecz nieuchwytne były zarówno te myśli, jak i uczucia: tonęły wszystkie w nieświadomym smętku — pod to zabłąkanie się kobiecego instynktu w życia rumowisko.

Ocknęło ją dopiero zawstydzenie, gdy pokojowy zjawił się na progu i zwiesił natychmiast głowę jakoś nazbyt respektownie.

Alarmem dla młodych zmysłów, niby bębna łoskotem, wzywającym na gwałt niewiadomo gdzie: tem była

dla Niny wieść spadła pod koniec wieczerzy. »Wojna! — zapalił się w tej głowie świat cały jakby w czerwonych płacht ognia wichrowym łopocie. I oto w zachłyśnięciu nagłem ten w piersiach wstrzymywany spazm wyrwał się płaczem gdzieś w kącie odludnym: »Bolek! — Bolek!«.

On powstał był od stołu w automatycznem sprężeniu. I wykroczył sztywno z pokoju, mijając gwar ludzki błędnemi oczami. Miał to ponure wrażenie, że przed chwilą stało się coś, co pozbawiło go nagle wspólności wszelkiej z tymi tu ludźmi. Niedawno równy tu jeszcze wszystkim, uczuł się nagle tak mizernym, że w samego wstępowała ta korność tępa. Rad był, że prócz dziewczyn nikt prawie jego rozmowy z pułkownikiem w tym nagłym rozgardyaszu przy stole nie zauważył; prosił je też, aby nikomu o tem nie mówiły, zwłaszcza gospodarzom. Każde spojrzenie współczujące pognębiało go jeszcze bardziej, wpędzając myśli w jakieś uparte błąkanie się koło ciała własnego. Widział się gołym, stojącym pod miarą: po kolanach biła go jakaś pochwa dla ich sprężenia, czyjeś ramiona mierzyły mu objętość piersi, czyjeś palce liczyły zęby w ustach. Nagiego pchnięto gdzieś między urzędniki nad księgami. Kazano wreszcie wyjść; zmylił drogę jak pies oszołomiony, sam tu goły pośród tylu czynnych i surowych ludzi. Ktoś zniecierpliwiony popychał go do wyjścia uderzeniem pochwy po nagich pośladkach. Na marmurowej posadzce pałacowego korytarza porzucił był gdzieś pod cokułem jakiegoś posągu garść przyodziewku swego. I tu skórą rozdygotany, — podrywający stopy ziębnące na mar-

murze, ubierał się pośpiesznie w tych podrygach pod barokowym posągiem Marsa.

I tak się znęcał nad sobą przypomnieniem tych chwil życia dziwnych, kiedy wszystko człowiecze opada nagle z nas, jak garść przyodziewku żałosna. Mijał ludzi wciąż z lękiem i pokorą w oczach: czuł się jakby goły w towarzystwie strojnem.

I tak zwlókł się do kobiercowego pokoju.

Miękka kobieca woń perfum wchłonięta w nozdrza spotęgowała tylko to poczucie cielesności, oraz zmysłowego wydelikacenia w zażyciu. I nagle jakaś rzewność bezmierna wzruszeniem bydlęcego egoizmu załkać mu chciała w piersiach nad twardem jarzmem konieczności i biczem nieubłagania, jakie ślepą grozą zawisło nagle nad życiem jego.

I oto znów nagim widzieć się musi w tym hypnotycznym prawie stuporze na progu zwierzęcości, w jakim powstał był od stołu. Na ustach palą go wspomnieniem pocałunki śpiewaczki, na grzbiecie piecze wyciśnięta dziś liczba rzeźnego wołu, — niby dwa stygmaty młodości.

Po chwili poderwało mu głowę to pytanie, które jakby mu w oczy zajrzeć chciało:

»Cóżeś ty z swą młodością uczynił?«

»Patrz, oto twoja pierwsza myśl, gdy tamta wieść przy stole na cię spadła, myśl zagłuszona tkliwem wzruszeniem cielesnego lęku i teraz dopiero dogoniona: Ona to kazała ci z bydlęcą pokorą opuszczonych oczu spoglądać na ludzi wszystkich, ona to przykułać duszę,

do nagości ciała własnego, ona to wreszcie za łatami minionemi oglądać ci się każe. Otoś znalazł wreszcie tę garść przyodziewku, w jaką człowiecza bezsilność zatula się w tych chwilach ponurych obnażeń życia, które zwą się: musem, przemocą, koniecznością. Oto czeka już na cię to jarzmo i klaska już nad tobą bicz nieubłagania. Odziewajże się szybko w godność człowieka ostatnią: w zadumę nad życiem, które oddać trzeba. Otoś się wybił wreszcie z wiewiórczego kołowrotu wspomnień. Myślże teraz wstecz, a nie oglądaj martwą już namiętność wspak! Zrozum dolę swoją! — Tam, o mil setki czeka na cię grób kopany w polu rękami wstrętu, czy litości, jak gnijącemu psu. Przystrójże się godnie w najdumniejszą myśl młodości. I nie dbaj: słuszna, czy złudna! — bodaj to nawet i pstry łachman był, osłonić przecie nagość twoją, a duszę jak tarczą ochroni: ciało tylko oddasz. I obejrzyj no się wstecz; pomyśl: gdzie się zaprzepaścił piuropusz młodości?

Skoczna melodya fortepianu rozegrana kaprysem piosnki znanej wypełniała tymczasem pokoje wszystkie, dobiegając wraz tej mety, gdzie głos śpiewaczki rozbrzmieć miał i zadzwonić ludziom tych piersi światowym tryumfem. Pod gonitwę fortepianowych dźwięków, prześcigających się nawzajem w rozhukach wesela, uderzył w powietrze jak w strunę diwy głos potężny.

.vywlókł go ku drzwiom na progi, jak psa za obrożę, aby raz jeszcze popatrzył, jakie to owoce wydały posiewy młode.

Nie mając sił spojrzeć na śpiewaczkę, utkwił oczami

na długim, w kabłąk pogiętym osobniku, o głowie ptasiej i wargach w tej chwili jak gdyby żujących. Ta twarz w monoklu rzucała błędnie ponad głowy ludzkie jakby złośliwość chytrą, jakby niemy koncept figlarny, lecz zastygły i drętwy na obliczu znużonem: ostatni wyraz, jaki czepia się zwiędłych po miastach masek ludzkich. Słuchał czujnie, melodyą cały wibrujący, jak oper stołecznych bywalec i śpiewu miłośnik. A gdzie się kierował monokl jego błyszczący i, rzekłbyś, zgasłe przy nim drugie torbiaste oko, tam uwijał się psotnie przed ich spojrzeniem, tańczył niby kusa maryonetka diwy palec wskazujący, na pół długości przysłonięty rubinową »markizą« pierścienia. I tak krwawnikiem płonący, migotliwy od brylantów otoczy w ptaszka naśladowaniu wabił ku sobie palec śpiewaczki, ku tej piersi wzdętej i rozdygotanej pod rezonansem potężnego śpiewu:

Miłość ptak to woli polnej,
Nie zsidłany dziki ptak.
Łzom i żalom nie powolny,
Smutkom zawsze czyni wspak.

Tę potworną projekcyę życia w teatr, w teatr dzisiejszy, gdzie rozpętanie młodej woli imituje coś jakby Beardsley'owskiej megery opiumowa lubieżność — powitał Zaremba gwałtownym otrząsem wstrętu.

A śpiew rozlegał się dalej.

Mężatki białe i pulchne, w energiach cielesnych po uczcie tą pieśnią zniecierpliwione, odwracały od młodzieńców bladych swe czary rozmarzeń dwoiste, prężąc wyde-

koltowanych piersi pąki wezbrane tam, skąd dźwiękami swawoli rozdzwaniał się południowego, jak myślały, temperamentu żar. — Paniątko o twarzyczce okrągłej i włosach brunetki opadło teraz w sobie jak kwiat na spiekocie, pogięła się łodyga kibici wiotkiej, a lico, rzekłbyś, skrytością się pokryło, niby lilia przez żuka już zapłodniona i płatkami się tuląca; już nie mówiono przy niej o sztuce i literaturze: sztuka sama oddziaływała w tej chwili bezpośrednio. Zaś ta najdorodniejsza, o lica mlecznej urodzie na tragicznym kirze włosów, ukazywała w zwilgłej purpurze ust do całowania nieskorych perłowych zębów wyszczerzenie aż bolesne: chłonęła w piersi życia luksusem wyjałowione i żmudne egzotycznych namiętności oddechy. — Nawet damy surowe, pomne na toast niedawny, spoglądały na diwę z rezerwą, lecz i respektem, jak na monstrancyę inowierczą; słuchając pieśni swawolnej, splatały ręce suche o niezliczonych ilościach pierścionków i pochylały głowy jak przed kazaniem. — Nieco na uboczu sapał w fotelu ciałem wielkiem Wojciech Stanisławowicz: usztą i winem na twarzy spurpurowiały, wystawiał swój gruby pierst z ciężkim herbowym sygnetem i niby kapelmistrz batutą poddawał takty piosnce Carmeny.

W zawrotach i skrętach kaprysu już piosnki wibracya rozpylała słowa: dzwoniła nuta sama, kaprysiły dźwięki gołe, śpiewały głoski w wyskokach tanecznych:

La-la-la! — sypało się pereł rozpryskiem z piersi śpiewaczki w dźwięki zasobnej.

I te lekkości, bańki mydlane, pustoty wygłosy jak

cymbał brzęczące, móżdżków ptasich radość i ochota, dźwięczały ludziom w uszach niby fanfara m odości: nęciły porywem wyobraźnie krótkie, biły tęsknotą w skroniach marzycielskich. W motyli barwny tan rozpląsały się rojenia kobiece. Sama gnuśność unosiła się w zefiry. Na skrzydłach jątek jednodniowych siepały w tym błędnym promieniu słońca wyrojem niecierpliwym zapały krótkie, siły bezwolne, energie płone: — młodości fanfara święciła swe tryumfy!

Wśród głów słuchaczy wszczęło się tymczasem zamieszanie nagłe: jakiś zgiełk niewyraźny wmieszał się w dźwięki śpiewu, wzbudzał otrząsy i gniewne obzierania się ludzi.

Stojący bliżej okna poczynali sobie zdawać sprawę, że hałas ten pochodzi z ulicy i niesie się zdaleka gwarem zrazu przycichłym, za chwilę jeszcze głośniejszym. W gesty diwy, nie wiedzącej, co ten szmer wśród słuchaczy ma znaczyć, wmieszał się przelotnie pytający ruch oburzenia. Nie przerywała sobie jednak, pragnąc strofę bodaj dokończyć, zwłaszcza, że i akompaniator uderzył odruchowo w mocniejsze akordy. Wpadła tedy i ona we wtór jeszcze większej carmenowej brawury:

Miłość ptak to nie zsidłany,
Dobru sporny, dziki ptak;
Za wolnością jak cygany
W błędnej doli wiedzie szlak.

Pod gest i akcent, zgarniający jakby z powietrza wszystkie impety i żary młodzieńcze w głęboki przegub

swych piersi olbrzymich — urwał się nagle śpiew i opadło ramię diwy. Szastnęła trenem w indygnacyi karcącej surowo publiczność.

Lecz w tejże chwili ktoś w dłonie uderzył, jakby z bicza klasnął.

— Przerwać! — huknął głos basowy.

Pułkownik stał w oknie i roztwierał je gwałtownie. Mroźne powietrze buchnęło na przerażone kobiety, niosąc gwar ulicznego zbiegowiska: męskiego chóru dostrajania się bezładne w pohukach okrzyków monotonnych:

— *Wajnà! Wajnà!*

W tumulcie mundurowych wyrostków gubił się chór bezładny i zmącił rozbrzmiałym nagle głosem orkiestry. Wreszcie zestroił się jakoś: trąb mosiężnym łoskotem rozbrzmiał w hejnał potęgi — hymn znany.

W blasku bijącym z okien parterowych salonu załopotała się nagle w ulicy olbrzymia trójbarwna chorągiew.

— Wstać! — huknął pułkownik instynktownym akcentem rozkazu, lecz zarazem jakby w życzliwem ratowaniu ludzi od popełnienia czegoś nieprzystojnego: »Wstać potrzeba«, — dodawał łagodniej.

Mężczyźni, których to zastało na krzesłach, powstawali bardzo powoli, obzierając się naokół, jakby ustępując sobie nawzajem pierwszeństwa. Kobiety czyniły to początkowo w zdumieniu, że się i damy inkomoduje, potem zrywały się z miejsc w popłochu, jedna za drugą.

W salonie zaległa cisza blada.

— Sasza! — rozległo się u okna i załamało nagle w wzruszeniu. — Sasza! — brzmiało nizko w wołaniu

basowem, starającem się przekrzyczyć tumulty uliczne. Darujcie państwo! — zwrócił się pułkownik z proszącemi dłońmi w pustkę naokoło siebie, gdyż goście wszyscy odsunęli się od okien ku ścianie przeciwległej. — Darujcie, — syn to mój rodzony!

Oschła cisza panowała wśród ludzi z miejsc powstałych.

On zaś cofnął się nieco i, pochyliwszy się bokiem, przyglądał się pod świateł krzyżujące się refleksy jakiemuś zakłębieniu tych tłumów na przeciwległym chodniku.

— To — to! — mruknął — czapki niech zdejmują... Tylko nie bić!... Nie bić tak!... — huknął nagle całym zasobem głosu z piersi. — Zabijecie!

— Poskoczę ja chyba na ulicę, — mówił, cofając się od okna. — Toż i w samej rzeczy, zabić gotowi, — zwrócił się do gości w salonie z wytłumaczeniem, czy też prośbą o doradę, co mu czynić należy. — Ta pierwsza iskra wojenna to piorun w wyobraźnie młode. Nie daj Bóg z tym ogniem igrać!

Nikt nie odpowiadał mu nawet próbą gestu, nawet grymasem na twarzy: — patrzano w inną stronę. Cisza zimna przykuła się milczeniem do ścian.

Wśród kołem pod ścianą stojących gości na krześle pozostał tylko Bolesław, w ramię przez kogoś trącony zdał się nie czuć tego, nie podnosił się z miejsca. Głową w bary wciśniętą i czarną plamą włosów wystawioną na ludzi zdał się tępo zapatrzony w sterczące na wysztywnionych nogach lakierki; ramiona opadły wiotko, wydął się w pogarbieniu gors koszuli jak biała pierś ptaka, poły fra-

kowe rozrzuciły się na boki: tak zawisał na krześle. Ogłuszający rozgwar ulicy niósł mu w uszy jakby szyderczy nakaz władz duszy tu wykorzenionych, które teraz na obcego życia potrzebę i skrzepienie w jego piersi i czoło wstąpić winne i zwać się — męstwem.

Uniósł nieco głowę i spojrzał z pod oka na kilku stojących opodal panów. Po chwili począł się śmiać sztucznie, szerokiemi usty w oba kułaki swoje, cały w pokurcz pogięty na krześle.

Lecz niebawem opadł w sobie i zawisł na krześle jak poprzednio. A gdy powracał do głowy spokój, przy serca głuchym nacisku zatrzymały się znów myśli wszystkie jakby odrętwiałe na progu zwierzęcości: w tej, po raz trzeci, ponuro już powracającej hypnozie, przykuwającej wyobraźnię do nagości ciała własnego. Gołym się poczuł w tej chwili na krześle, w obliczu tych wszystkich ludzi strojnych. »Dla tego ci panowie zasłaniają mnie od kobiet«, — pomyślał dziwacznie i w tejże chwili podniósł rękę do zalanego potem czoła. I tak się cały w jeden kłąb nerwów zamienił, że gdy wśród łoskotu orkiestry i pohuków ulicznego chóru diwa w drugim końcu salonu ruszyła się z miejsca, drgnął nagle kurczowo całem ciałem.

I podrzucił głowę.

Jakoż z kobiet obecnych diwa jedynie zaciekawiła się manifestacyą ulicy. I korzystając z pustki pośrodku salonu, teraz dopiero mająca sposobność do całkowitego rozpostarcia trenu, przekroczyła przed oczami ludzi pawiem białym w całej okazałości swej szaty królewskiej.

I zatrzymała się przy oknie ostatniem, tuż obok drzwi,

wiodących do dalszych pokojów, — sama jedna na przedzie salonu.

Gdy diwa swą ciekawość i uwagę skierowała na szyby ku tumultom zbiegowiska, skłócił to jej zapatrzenie szmer, dochodzący tuż z poza drzwi, przy których stanęła: coś jakby kroki gwałtowne tłumione dywanem, o tempie tak dziwnie niespokojnem, że w instyktownym lęku musiała odwrócić głowę.

W złotym jakby pyle mrocznego za drzwiami wnętrza błysnęła jej w oczach jasno zielona plama sukni w ruchu giętkim, przysłaniająca czarną sylwetkę męską: rzekłbyś, zmaganie się kobiety z kimś, co się gwałtownie rwał za progi. Szamotanie się rozpaczliwe, w tem ustokrotnieniu sił kobiecych w chwili nagłej: na szyi przed chwilą jak gdyby zawisła, teraz chwieje się na nogach odepchnięta brutalnie i odpada jak ptak z rozstawionemi niby skrzydła ramiony i tem rozkrzyżowaniem broniąca wyjścia z pokoju. Lecz oto pada znów całym ciężarem na czyjeś piersi i szyję: prosi, zaklina najwidoczniej.

Przy wrzawie dochodzącej z ulicy działo się wszystko dziwnie cicho; dopiero, gdy te tumulty wraz z muzyką i śpiewem przelały się tłumnie dalej, usłyszała diwa spazmatyczny oddech kobiecego wyczerpania i ten szept wyłkany: »Na litość Boską niech się pan opamięta! Nie! — nie puszczę pana do niej... Niech pan to porzuci, bo i mnie pan okaleczy... Jezus Marya, nie puszczę! Bij, a nie puszczę!... Bolek, nie!...«

Był to już krzyk poprostu wdławiony w gardło: czyjaś ręka w pasyi za szyję ją chwyciła, w obawie by nie pod-

niosła alarmu przed czasem, czy też by drogę sobie utorować. I w tejże chwili rumor zgłuszony: odepchnięta, ostatnim wysiłkiem, w padaniu samem, zagarnęła ramieniem skrzydło drzwi i przytrzasnęła je swym ciężarem, pozostając tam — wewnątrz: w obliczu tej furyi, z którą się zmagała.

Pod diwą ugięły się kolana. — »Czyżby? — nie dowierzała swym oczom. — Więc on rzeczywiście chciał?... I oto skąd przyszła obrona!« — Odchodziła szybko w drugi koniec salonu między mężczyzn, by mieć ich pod ręką w razie, gdyby ten szaleniec tu za nią poskoczył. A w swym odwrocie pośpiesznym zapomniała o trenie: poprzednio w pawim rozkładający się przepychu i biegnący za nią jak fala, teraz oto w wązką smugę się zbił i długim sztywnym ogonem podskakiwał za diwą, śpieszącą podrywnymi kroki z naprzód podaną szyją, postacią jakby wydłużona i cieńsza: uchodziła właśnie jak ta pawa spłoszona.

Nina tymczasem, rozkrzyżowana na drzwiach zamkniętych i dysząca ciężko, nie spuszczała go z oczu czujnych. W tej chwili stał tyłem do niej zwrócony, trąc dłonią czoło, w opuszczonym ręku trzymał wciąż tę krzywą szablę, ledwo u rękojeści wysuniętą ze spłowiałej adamaszkowej pochwy. Zerwał ją był ze ściany, z pośród

tej broni wszelkiej, zawieszonej pod portretem. Właśnie na tę chwilę nadeszła, gdy zaniepokojona jego zachowaniem się w salonie, wymknęła się tuż za nim. Co potem było, ani wie, ani pamiętać nie pragnie. Szamocząc się z nią brutalnie, rzucał jej na głowę, nie wiadomo za co, słowa mściwe, że odrazą przyjmuje go w tej chwili samo zbliżenie się kobiety, że w tamtym oto cielsku i sadle dusza jego plugawić się jeszcze będzie, gdy ciało pod cudzemi polami zgnije. »A do tego nie można dopuścić! W żadnym razie nie można! — bełkotał nieco spokojniej w jakiemś otępieniu surowem. — Wtedy przestaną chichotać nade mną... I bić mnie.«

— Kto?! — krzyknęła.

— Tamci z ulicy.

Ninę ogarnął lęk zimny, i zakręciła się jej głowa w obzieraniu niespokojnem, jakby za tą niesamowitą siłą, która przemawia przez niego urojoną rzeczywistością. Lecz na szczęście tamten zgiełk uliczny cichł i umilkł wreszcie w oddali. A on tyłem się oto obrócił i cucił czoło dłonią.

Machnął ręką: poniechał złej myśli. Szablę chowa gdzieś w kącie otomany: zastawia i przysłania poduszkami z cierpliwym uporem dziecka. »Po co on to robi? — myślała Nina, nie spuszczając z niego oczu.

Teraz oto chodzi po pokoju, o niej jakby zapomniał zupełnie, mijając nie widzi.

— Jak to patrzy! — zaśmiał się głosem nagle dyszkantowym.

— Ja nie spoglądam źle, — próbowała się tłumaczyć

i zapłakała nagle: w siebie, cicho, z całych sił wargi rozdygotane gryząca, by się nie narazić tej sile niesamowitej, która przez jego usta przemówiła nagle brzmieniem zupełnie obcego głosu.

Ale on nie ją miał widocznie na myśli, bo oto stanął przed tą wielką kukłą murzyna w kącie i zaśmiał się po raz drugi.

Obzierała się w swoich ptasich ruchach głowy na każdy jego gest, każdy grymas tak dziwnie nie własny. Zwłaszcza śmiech jego przebiegał ją chłodem po ciele: rzekłbyś, maska, wykrzywiająca się na ukrytej twarzy: widać było przez nią tylko ogromnie czarne żagwienie się oczu i wybiegające z nich iskry niepokoju, jakby ku stu myślom rozwiane.

A on, chodząc po pokoju, chichotał wciąż.

—To bydlę, — wołał teraz, — trzyma wciąż w pogotowiu swój dzban i czarę. Pamiętasz Woydę? Musisz pamiętać?

Mówiąc to wziął do ręki dzban i czarkę. I w tejże chwili cofnął się zdumiony, gdyż Nina bez słowa i gestu osunęła mu się ciężko do nóg i za cofającym się czołgała się prawie z krzykiem prośby w oczach.

Przysiadł na krześle, pochylając się nad jej głową:

— I tyś uwierzyła, że tu w tym dzbanie stoi trucizna przygotowana dla tych, którzy jej zapragną?. . . Niemądra! — śmiał się wciąż nie swoim głosem.

Na chwilę przelotną gaśnie mu oto w oczach ten rozpłomieniony nieład i staje w nich zdumieniem spojrzenie pytające, zwrócone do niej wprawdzie, lecz w tej

chwili chyba nie poznawanej: czepia się oczami życia jakiegobądź, człowieka jaki się nadarzył, chwyta się spojrzeniem cudzej duszy, władnej ładem swoim.

Nina nie rozumiała nic w coraz to zimniejszym lęku, lecz stokrotnie mędrszem w takich razach czuciem wiedziała, co jej czynić należy. »Oderwij mu myśli od chwili! — pchnęło ją coś jakby rozkazem gwałtownym, — w dal! — koniecznie jak najdalej.«

Wciąż na klęczkach, ramionami o jego kolana wsparta, mówiła w nagłej inspiracyi opowiadawczej:

— Pamiętasz Bolku, jakeś do nas po raz pierwszy na wieś przyjechał, i jak ja za tobą, jak cień wszędzie chodziłam, naśladując wszystko, coś ty robił, śmiejąc się zaraz, gdyś ty się roześmiał, dziwiąc się, gdyś ty się zdziwił. Takiem niemądrem dzieckiem byłam. Gdyś w pole lub do ogrodu wychodził, ja zawsze za tobą, a gdyś podskoczył sobie idąc, ja także podskoczyć sobie musiałam, za tobą biegnąca. A gdyś kozikiem co strugał, ja przed tobą w kuczki siedzę, cała w oczach, w niepokoju, w patrzeniu: gdyś cmoknął niecierpliwie, ja cmoknęłam zaraz, gdyś zaklął brzydko, ja klęłam słowo w słowo. A jak ci się tylko przy tem zajęciu cośkolwiek nie udało, zaraz gniewałeś się bardzo — na mnie. A gdy ci się powodziło w struganiu, to sobie ze mnie podrwiwałeś gwizdający. — A potem, gdy skończyły się wakacye, siadłeś na bryczkę, rad, że wracasz do miasta, sam jeden na dużem siedzeniu: mężczyzna taki! Och, jak ja to pamiętam. I pojechałeś.

Póki mówiła, pochylał się nad klęczącą z ogromną

powagą wysiłku, aby skupić się cały na tych wspomnieniach, z których sączyła się cichość jak z południowej godziny na polu. A w miarę słuchania wodził dłonią wpółzamkniętą ponad nią, włosów nawet nie dotykając, jak gdyby chcąc ugłaskać tamtę głowę dziecka, przypominanego coraz to lepiej, coraz to wyraźniej.

— Patrz na mnie! — wołała, — chwytając go za piersi. — Poznajesz? Widzisz? Wspominaj ze mną, wspominaj ciągle! O, ja wszystko teraz tak doskonale pamiętam: każde słowo twoje, każde spojrzenie z przed laty... Patrz! Czujesz mnie? Przypominasz? — uwisała mu z całych sił na szyi. Więc się uśmiechnij. No, drogi! I nie męcz się tak myślą, nie męcz w oczach. O, Boże, Boże mój! — opadły jej na chwilę ramiona.

W oczach jego jakby przez mgłę z trudem przebity, stanął wreszcie uśmiech.

Wówczas ona przewinąwszy się jakoś w tej radości nagłej, zarzuciła nań ramiona tyłem, i tak uwisła na jego szyi, głową o piersi jego wsparta, cała skrętna w ruchu, jak dziecko w psotnej pieszczocie.

Zerwał się z miejsca, obzierając się, jakby za zgubionem w myślach zamierzeniem. Z klęczek nie powstała, uczepiona ramion jego czołgała się wprost za nim.

— Zostaw ty mnie lepiej, — dobył z siebie głucho. wyrwawszy rękę tarł nią jakiś czas czoło, przypominając znów zamiar poniechany, czy też zbierając z takim mozołem myśli rozpierzchliwe. — Bo przecież ja jutro...

Dorwawszy się znów ramion jego ściągnęła go tym

razem z powrotem na kanapę i uwisła mu na szyi, głową na piersiach jego wsparta.

Łopotało się serce przerażeniem coraz to większem tego słowa jednego:

»Jutro!«. . .

Jawiły się za niem jakby w pożarnych płomieni łopocie te obrazy wojny, zrodzone w młodej wyobraźni nie wiadomo gdzie i kiedy.

I na nic już nie bacząca, na wszystko inne oślepła i głucha w tej chwili, przy zamkniętych powiekach pełzała prawie rękami po piersiach jego ku szyi, oplotła ją chwytem tonącej i, odpowiadając jękiem nieomal radosnym na jego ramion zagarnienie mocne, trafiła wargami na wargi.

Z płaczem pomieszał się śmiechu podryw krótki, w szepcie ust całujących zagubiony i jak płacz bezradny.

A potem już tylko czucie czyjegoś spojrzenia na sobie — na tych piersiach, które pod jego dłonią, przy tem chyleniu się na wznak, z sukien dekoltu same się wyrzuciły dyszące.

— Patrzy! — sprężyła się cała.

»Kto?« — pytał niemo tuż po nad nią żar oczu wilgotny, potem tych białek błyskanie, gdy się te oczy zezem obzierały po kątach pokoju.

Wyplątawszy z trudem ramię z jego uścisku, wyrzuciła je w tył, poza siebie w kierunku czarnej kukły, stojącej tam w kącie z swą tacą mosiężną w łapach wielkich.

On!

I wtulała się znów cała w te ramiona, podsuwając powieki trwogą rozdygotane na oślepienie pocałunków.

Senże to był, — myślała — czy omdlenie nieprzytomne?...

Ocknięta ujrzy nad sobą przestrach sam: w tych oczach jego krągłych, w ust rozchyleniu suchem i rąk palących dotykaniu jej czoła i twarzy. Wtedy dopiero i serce ocknięte załopotało w piersiach, jak ptak o pręty klatki bijący. A usta, całe szlochu wielkiego pełne i oniemieniem nad tem, co się stało, rozdygotane, szukały omackiem, gwałtownie, w ramion rozpaczliwym oplocie — ust jego, które teraz oto uchylały się już precz.

—Po coś cucił?... Po co?...

Pod ściany cofnięte koło biesiadników hypnotyzowała wciąż jeszcze ta postać w mundurze, która ich wszystkich krótkim nakazem z miejsca podniosła. I choć się odwracały było od niej oczy zimne i milczały usta, gdy się do nich zwracała, przecie automatyczna uległość jednych, popłoch innych ku niej ciążyć poczynały bezwładnie. Przecięła to niespodziana odporność gospodarza, który ze stanowczą flegmą zamknął okno, rzuciwszy przytem jakieś cierpkie słowo pod adresem pułkownika. Na rybich tedy wargach barona, w jamie włosów dyplomatycznych zawisło zimne milczenie obecnych: — dźwigała się w ludziach godność. A gdy pan domu osunął się na fotel i szarpał chmurnie bak jeden, korni przed chwilą panowie poczęli się rzucać w krzesła z demonstracyjną niedbałością gestów.

Te krzeseł szurania i rozruchy skłóciło szumne wyjście śpiewaczki.

Omotawszy dekolt i szyję białopuszystem »boa«, w ramienia sztucznem wygięciu suknię z tyłu pod stanem zlekka unosząc, piersią wypukła, biodrami wypięta, płynęła znowuż przez salę — cała w essach, w zygzakach,

w arabeskach, w barokowej fanfarze wielkostołecznego szychu. Wykraczał za nią sztywno, na publiczność jakby obrażony, prężący łydki w spodniach nieco przyciasnych, barytonowy divo, już dawno zapomniany przez kobiety. Tedy raz jeden tylko, u progu samego, skinął ludziom głową i mignął po nad nią brylantem prawicy.

W długiej rotundzie na ramionach, na miedziany czub włosów zarzuciwszy z włoska swobodnie zwisającą chustę, zmierzała diwa ku wyjściu, gdy jej towarzysz, szamocąc się z paltem, monologował wciąż w eksplozyach nieustannych. Obejrzała się wreszcie za nim z cierpkim wyrazem znudzenia na wargach. Lecz w tejże chwili cofnęła się w tył: w framudze drzwi najbliższej ujrzała wbity w siebie czarny żar oczu i jakby zębów błysk na twarzy jak kreda białej.

— Bolek! — wyrwało się jej z ust w szeleście sukien nagłym jak w spłoszeniu wielkiego ptaka. Lecz uspokojona obecnością towarzysza, a zwłaszcza bynajmniej nie napastniczym, raczej błędnym wyrazem w oczach Bolesława, opanowała się wnet. Tą bezpieczną odwagą kobiety i aktorki w sobie skrzepiona, pierwsza postąpiła ku niemu.

Z rozedrganych warg padały mu słowa niewyraźne, gdy próbował ująć ją oburącz za pachy. Lecz palce jego nie zdołały ogarnąć nawet przez pół tych ramion grubych: zimne i ślizkie wymknęły mu się z uchwytu jak ryby.

Stało przed nim roztyłe w pysze ciało kobiety, i poczuciem swego zwycięstwa w życiu tak osadziste, że obezwładniać mogło wszelki odruch cudzej pasyi swą postawą i tchnieniem: — tak się paraliżuje impet fizyczny

wobec pierzyny. Ogromem piersi obnażonych wzgardliwa, białe i jak pień grube ramię przed się wystawiwszy, królowała nad nim, niby karcący majestat kobiecego ciała.

— Precz!

Zatrzaskał mu w uszach jedwabny szelest wleczonego trenu. Zamknęła skrzydła rotundy, — zatuliła się w płaszcz majestatu.

Od progu odwróciła się jednak, pełna wzgardy w oczach.

— Och, te tęsknoty tu wasze! — parsknęła, — w których dusza lata całe drzemie, by ocknięta, przekonać się, że cel swój już dawno zgubiła, rozkruszyła na miał »marzeniem«... Jak ja was tu znam! Tu wcale niema uczuć męskich. Tu jest tylko sentymentalizm ckliwy, patos bolejący i tuż, tuż za nim mściwy, szargający cynizm: wszystko starcze! I jakże tu kobiety nie mają być jak najbardziej parafiańsko wysztucznione? Gęsi o geście królewien — to na całą Europę specyalność waszego tu chowu. Klempy o ptasich móżdżkach na koturnach matron — tym widokiem można się tu tylko nacieszyć. Albo te feministki wśród nich, zagadujące publicznie złe sumienia swoje! Albo te starsze damy tutejsze: O! oo!-oo! Trzeba się foką urodzić, aby módz się pławić w tej zimnej atmosferze. I lawirując nieustannie między ckliwością a cynizmem mężczyzn dbać tylko o to, aby być res-pek-to-wa-ną! — kończyła przeciągle, rozstawiając szeroko skrzydła rotundy.

— Och, i te wasze tu namiętności! — targnęła się za chwilę, — w które nie wrasta żadna dalsza chęć, nie roz-

płomienia się żadna ambicya, żaden czyn: namiętności stały się tu wewnętrzne. Tfu!... I cóż dziwnego, że gdy je wir obcego, pogodniejszego życia porwie, unurza napewno. Wy już tylko własnem powietrzem oddychać możecie, jak te odmieńce, te płazy podziemne — i jak one krwawicie na słońcu, które wszystkie inne stworzenia ożywia... Ból i ból w miłości! — zatrzęsło się piersiowym śmiechem jej ciało potężne. — Och, jak ja was tu znam! A pod bólem nizkość — i niesyte potem zemsty znęcanie się nad życiem, i wypaskudzanie się każdemu w jego najcichszą pogodę. O, jakimże zadawnionym wstrętem przejmuje mnie te to bagno smutku północne, chłonące w siebie najbujniejsze zadatki życia... Boże, jak ja tu tonęłam, jak ja tu beznadziejnie tonęłam!... To samo, co tu między wami uczyniłoby ze mnie dziewkę waszą, niosło mnie tam na świecie wzwyż. Bo taką jest tam cena dusznej pogody, radosności życia, żywiołu, które nie wiadomo kiedy i jak przetapiają się tam na wolę i energię.

Roztrzęsły się te jej piersi wielkie w skrzydłach rotundy: poniosło wymowę kobiecą tam, gdzie się ona zwykle kończy, — w szczerość bezwzględną.

— Tam na świecie, — mówiła, patrząc nań wyniośle, — tam na świecie szanują mnie kochankowie moi. A każdy jest dla ludzi kimś, — ja zaś patrzałam na to stawanie się każdego z nich... Przyjeżdżam tu po latach — (zamachała rękami koło oczu) — och, te odżyłe zmory me dziewczęce! Patrzę, rozpytuję: — każdy jest najdoskonalej niczem, ale za to »tęskni«, lub w szla-

chetnej pamięci lat tylu szarga wspomnienie mściwym cynizmem. A ja tu przecie roztrwoniłam swą młodość najcenniejszą!... Ile smętku, goryczy, znużenia sobą, zmarnowania najpogodniejszych impulsów życia — we wszystkich tu spojrzeniach waszych... Brr! — otrząsła się cała i zatuliła w rotundę, jakby przed mgłą północną wskroś przenikającą.

— I patrz, — mówiła ujmując go niespodzianie za rękę, w tak nagłem kobiecem złagodnieniu po upuście szczerości, — dokąd cię ten smutek zawiódł? Chciałeś się mścić nad czemś, co już dzisiaj jest dla ciebie zgoła obojętne, co już dawno zwiędło w marzeniu. Czy to nie najlepszy dowód, że wszystkie wasze namiętności są już trupie, że nawet tą najpotężniejszą z człowieczych: zemstą — i nią nawet nie kieruje serce. Wy tu jesteście antypodami ludzi, mających jeszcze jakieś rzetelne, z natury własnej czerpane impulsy... I pomyśl tylko: za chwilę tamta dziewczyna! Tak oto wyzuty ze wszelkiej ochoty, z natury nieomal własnej, jużeś się stawał wampirem cudzej pogody i natury. I tak to u was wkoło idzie, — oto klątwa smętu waszego, — w błędne koło.

I aż sama zwiesiła głowę pod myślami temi.

— No, powiedzże choć słowo! — rzuciła nagle w rozchyleniu powiek i twarzy całej wydłużeniem niespokojnem: — stał wciąż bez ruchu z tym żarem oczu błędnym, suchem rozchyleniem zębów i drgawkach na twarzy bladej.

Zaszumiał mu znów w uszach tren wleczony. Dreptał przy nim z cylindrem na tyle głowy i zezem białek

w stronę Bolesława diwy towarzysz nieodstępny. I tego ogona, rzekłbyś, uczepiony, nim jakby automatycznie targnięty, wypsnął się skokiem za progi.

Twarz w dłoniach ukrywszy, przylgnął czołem do framugi, szukając w sobie daremnie jakiegoś śladu buntu, żalu, czy nienawiści. Bezwola głucha, oszołomienie tępe przywierało go wprost do tych drzwi zamkniętych, za któremi trzaskał szelestem po schodach diwy tren szumny. To tryumfujące nad życiem mądre ciało kobiety, które głosi oto zdaleka swą pychę ogonem, pozostawiło mu w swem zwycięstwie odrętwienie myśli wszelkich i dławiącą, jak czad, materyalność swej aury, pętającą wszelki odruch duszy.

I stał tak wciąż, gubiąc powoli myśl, gdzie się znajduje i co czyni; tężał, krzepł, — uparło się ciało w ruchu zastygłym, a myśl i wola człowieka jakby wyrwać się chciały z czoła, które ściskał oburącz. Zaś ten gest kurczowy rodził w tępym odruchu łzy bierne, zgoła omijające świadomość: ciało samo litowało się nad sobą, strojąc duszę zmyloną na swój ton bezradny.

Nagle ujrzał przypomnieniem, poczuł nieomal na sobie jakieś sowie oczy o żółtym blasku: przez źrenice jakby widne złowróżbne żagwienie się mózgu tamtej somnambuli, z którą mówił tu na początku. »I pan jest taki sam!« powiadała mu ta czarownica. — »Jakiż to? — pytał wówczas, — trawiony zimną gorączką wielkomiejską? spalony przez innych ogniem własnym?...«

Myśl gorączkowa podsunęła mu wnet potem drugie zapatrzenie się w niego: tej twarzy w monoklu z jej

złośliwą chytrością i niemym konceptem figlarnym, lecz jakby zastygłym i drętwym na obliczu znużonem — w ten ostatni wyraz jaki się czepia zwiędłych po miastach masek człowieczych. I oto wszystkie oblicza tych ludzi, zasłuchanych niedawno w śpiew, zlały mu się w wyobraźni w jedną larwę dusznego bezwładu, budzonego w uśmiech rozkoszny wiewem niby egzotycznych namiętności, gdy rozpętanie młodego życia imituje przed nią opiumowa lubieżność megery wielkomiejskiej.

A w kontraście do tej maski błysło mu w otrząsie wspomnień Niny oblicze najmłodsze i ten jej uśmiech nieuchwytny słonecznego milczenia.

Głuche, tępe przerażenie nad tem, co się między nimi stało, zmąciło mu znów myśli wszystkie.

»Tak to u was wkoło idzie! — Słyszał jakby powtarzane słowa śpiewaczki. — W błędne koło, — bez wyjścia...

Gdy oto bokiem zachwyciły oczy barwę munduru.

»*Wojna!*...« — huknęło mu w uszy przypomnieniem nagłem w łoskocie surmy mosiężnej i tego hymnu podmuchach w muzyce gromów rytmicznych.

Natarczywe, choć ostrożne kołatanie we drzwi z zewnątrz ocknęło go zaledwie przez pół, budząc jedynie wysiłek ku oryentacyi: ktoś dobijał się do drzwi, starając

się to uczynić widocznie jak najciszej i unikając hałasu dzwonka. Zanim niepewną ręką sięgnął ku zasuwie, odepchnęło go ramię pułkownika, bardziej skore. Cofnął się, okrągłemi oczami przerażenia widząc, jak przez próg przestępuje ktoś, z pod czyjego kapelusza spływa krew, nasiąka w chustę, przyciskaną gwałtownie do czoła, krzepnie w ciemne strupy na brodzie szpakowatej i zlewa się w obrzydliwie świeżą, chlupiącą plamę na okryciu; wargi ma obrzękłe w tej chwili i sine jak stal, a ten siniec rozlewa się wokół ust na twarz.

— Nic to! — mruczy wchodząc, — na nogach stoję. To znaczy nie trzeba gwałtu wszczynać. Wody tylko. I odprowadźcie mnie gdzieś na ubocze; — do biblioteki choćby, tam nikt szukać nie będzie. Pan mnie nie poznaje? — zwraca się do pułkownika, — Komierowski, brat Leny.

— Ja tak i przewidziałem, — odpowiedziano chmurnie, — że tam na ulicy coś złego się stanie.

— Bili? — wybełkotał Bolesław, nałażąc gorsem koszuli frakowej na tę jego plamę krwawą na okryciu.

— Biłem się, — odmruknął, odsuwając go ramieniem od siebie.

A potem ponuro, przy tych ust sinych nie opanowanych jeszcze drgawkach:

— Miałem broń, — sięgnął z trudem do tylnej kieszeni, by po szamotaniu się krótkiem wytargnąć z niej rewolwer, — ale to dzieci przecie.

Zwisło mu ramię z bronią, zacięły się usta na chwilę.

— Obnosili oni ten okrzyk »wojna!« po ulicach, sami nie wiedząc, co czynią: jak odczarowanie temu życiu, jak

odklęcie duszom. I nie pora mi było myśleć: kto się raduje, czy szczerze i komu na grozę? — porwałem okrycie i wybiegłem przed dom, nozdrzami zasłuchany... »Radośniej, weselejby nasi!...« — tylko tyle pomyśleć zdążyłem. — Wtedy oni do mnie za kapelusza nie zdjęcie...

— To-to, — żuł pułkownik pod wiechą siwego wąsa, patrząc nań wciąż chmurnie. — W ogień dusz młodych zaleźli wy, panie Komierowski. Poparzyło.

Bolesław ujął był rannego pod ramię, aby uprowadzić w dalsze pokoje, niebawem jednak zgubił w myślach zamiar i utknął na miejscu wraz z swą troską zapomnianą. Nozdrza, chłonące krwi zapach, rozdymać mu się poczęły, gdy gorączkowe oczy pasły się widokiem krwi, zwłaszcza tą jej najgęstszą i jakby chlupiącą plamą na palcie, gdzie ściekała z rannej głowy. I te zwierzęce, grube podrażnienia zmysłów domacały się w nim duszy, targały omdlałą i bezwolną wszystkich nerwów wstrząsem, sięgając bezładnym niepokojem aż na dno samozachowawczego instynktu. I zatrzymały się oczy uparcie na broni w zwisłym kułaku Komierowskiego, niby na jasnym błysku w tym labiryncie przypomnień skłębionych. Rozwidniła mu się twarz w uśmiechu pewności siebie i wzgardliwej wyższości nad ludźmi, by wnet potem wykrzywić się w chytrym chichocie. A do czego przylegały oczy swym żarem niespokojnym, ku temu wyciągała się dłoń sama w chciwem dygotaniu palców.

Gdy spadła na nią ręka pułkownika, chwytając kleszczowo w nadgarstku.

Pod przenikliwem spojrzeniem obcego człowieka spadł z warg natychmiast ów uśmiech chytry, a z twarzy całej to poczucie wyższości nad ludźmi w urągliwem dla samego siebie oprzytomnieniu z niedorzeczności wszczynań własnych. Mrozem przebiegała go ta badawczość oczu bystrych, sumujących nieubłaganie wszystkie grymasy jego twarzy nie tylko już nie powściągane, lecz wyrażające uczucia wprost przeciwne wysilonym intencyom woli. Gdyby go ktoś w tej chwili o zbrodnię posądził, odegrałby twarzą, jakby pod musem niesamowitym, w najsubtelniejszem wyrafinowaniu mimiki zmieszanie i popłoch zaskoczonego znienacka sumienia zbrodniarza. Popsuł się mechanizm maski człowieczego czucia; własne oblicze stało się dlań potwornym zdrajcą dusznego bezwładu: biernem, a wysubtelnionem do nieprawdopodobieństwa zwierciadlanem narzędziem każdej zewnętrznej sugestyi.

— No, ten gotów nam się i pomieszać! — wygłosił pułkownik z niespodzianem ożywieniem, jakby podniecony w swej ciekawości »człowieka« widokiem dusznego rozkładu i swem szybkiem oryentowaniem się w nim. — Za gwałtowny był ten męski mus nagłości wojennej dla tej słabizny!... Na plac boju przyślą nam pewno nie mało takich; osobliwie z tych tu stron, gdzie na słabizny urodzaj dziś taki sławny.

Blada jak płótno i potem zalana twarz Bolesława spoglądała już tylko stuporem bezwładnego lęku.

— Wszystko co zechcesz wmówisz przecie w człowieka jednem spojrzeniem zaledwie, — ciągnął dalej puł-

kownik, nie spuszczając z niego oczu badawczych. — W duszy ni na kopiejkę odporności na cobądź. Więc sołdat to, dlatego właśnie, nienajgorszy, — mimo wszystko... A tamto rwanie się do rewolweru znamienne jest przecie! Uu, nie dobre! Ciekawe, przeciekawe, jak każdego z takich do broni czy noża nieodpornie wtedy ciągnie. A bo taki wie na co? po co? na jaką potrzebę? Ciągnie, — i tyle!... Więc znowuż: materyał to wojenny nienajgorszy.

Bujna, zuchowata, roziskrzona w oczach pewność siebie rozświetliła mu wprost twarz całą w tej medytacyi nad kruchością duszy człowieczej.

— A takich na wojnie każdej mało? — pytał zadumy swej. — Którzy giną, którzy dalej idą; najgorszych tylko pociągami całymi odsyłamy precz. W ogniu na nic taki: — o! boi się. (Pułkownik gestami rąk przy twarzy imitował raczej zażenowanie.) — Boi się!... Ale gdy przyjdzie na bagnety, oko w oko, o własną skórę: — uch! nie daj Bóg, jak się taki bije! — Jakbym go widział z ruskim sztykiem w dłoni na szańce po surowowsku idącym.

Twardo nakazał służbie, żeby go ubrała w palto.

— Do jutra, w koszarach! — rzucił na pożegnanie.

Patrząc za odchodzącym, począł się uśmiechać jadowicie pod wąsem krzaczastym.

— Mięso armatnie?... Bardzo to zaszczytny koniec dla takiego, który był przez całe życie mięsem dla kobiet.

Nagle zwrócił się na pięcie w stronę drzwi do salonu.

— Miałbym ja ochotę chwycić cię paniczu w garście

obie i szwyrnąć tam, na środek: między te kobiety wasze. Dokończają przecie, dogryzają resztek waszych tu sił!

Komierowski krwawą swą chustę wciąż do czoła cisnąc, patrzał chmurnie za odchodzącym i wnet potem przeniósł takie spojrzenie na pułkownika, że mu ono zmyliło nagle kierunek zainteresowań.

— A wam, staremu, panie Komierowki, wstyd w takie bojowania uliczne leźć.

— Takie i bojowanie nasze! — odmruknął, patrząc mu nieufnie w oczy.

Lecz pułkownik przeniósł podniecenie swej przenikliwości i na niego wraz z bystrym błyskiem siwych oczu:

— Ot, co ja wam powiem, panie Michale... Tfu! i »Michale«, powiedziałem, — odmachnął się jak od zmory, ledwo powściągnąwszy rękę od przeżegnania się szybkiego. — Ot, co ja wam powiedzieć chciał, panie Komierowski: chodźcie wy z nami ochotnikiem na tę wojnę. Czujęż ja człowieka i w was, wiem, gdzie duszy trzeba. Nu i śmieję się! Polityki tam macie inne, — swoje. Napluć i na politykę. Będziecie tam na polu bitwy, czy nie będziecie, polityki to nie zmieni, ni naszej, ni waszej. A zdrowia dusznego przybędzie — nie tylko wam; wierzcie!... Lepiej takie ot rany w ciemne kąty własnego domu nieść i z niemi się kryć? I truć duszę

wszystkiem, co skryte, tajne, mściwe; całe piekło pognębieńców w siebie brać? I jełczeć duchem, a gnuśnieć ciałem? Tak li — ha? Nie brak i u nas takich! Zresztą poznali na Sybirze... Nie ta was dusza wiodła. Ale na niej, wszystko jedno, zakończyli, na naszej-to, choć lewej. I pod ziemię zaleźli na życie całe, jak kret. A i oczy, patrz, krecie się stały: zimne, wygasłe, słońcu nienawistne. Nie bójś, kto tą strawą duszę swą karmić zaczął, niech lata tylko poczeka: nic innego w siebie już przyjmować nie będzie, albo wszystko w duszy na żółć nienawiści przerabiać pocznie. I wierzcie mi, panie Komierowski, — pułkownik uderzał się dłonią w piersi, — na takiej duszy gorzej w końcu swoi wyjdą, niż wrodzy. A dla niej jeden już tylko ratunek: dać tej nienawiści choćby sztuczne ujście, ale nagłe, gwałtowne, okrutne! Żyw wyjdzie: życie słoneczne do piersi przyciśnie; umrze: innym coś ze swego wyzwolenia zostawi, — z oddechu szerszego. A zwie się ten ratunek: Wojna!

— Patrzeć ja na was takiego nie mogę! — wybuchnął po krótkiem milczeniu. — Toż to wszystko nie wasze, nie wasze! I to bielmo krecie na oczach i ten ciężar gnuśności na ramionach. Z Sybiru wy bo może od tych naszych przywieźli i pod ziemią hodujecie. A natura całkiem przecie inna.

Rzucał ramionami, parskał przez chwilę, wreszcie:

— No, to już na stryja Michała, czort bierz, lepsza dola przyszła!

— Pewnie, — odmruknięto. — A pan skąd o stryju?!...

— Zdarzyło się słyszeć. Chodźcież wy z nami na tę wojnę! — A ot dziadek wasz: ten się dyplomatów nie pytał: gdzie się bili, wszędzie lazł.

— I czegoś przytem chciał, czegoś się spodziewał.

Ale pułkownik nie słyszał, bo wyrzucając oto ramiona w górę, wołał:

— I sześćdziesiątże lat człowiek po Europie nic innego nie robił!... A patrzcież: i sfrancuział przecie na stare lata. Pytam się tedy: czemuby wam nie zruszczeć? No, i rzuca się! Ależ, dobry człowieku, wy i tak już przecie przez pół... Prosto i otwarcie w duszę nam iść nie chcieli, mierziło czuć odrębność, a i gwałt był w tem; więc fatygowali się aż takim kołem wolności: przez Sybir, podziemia krecie i nęk dwudziestokilkoletni. Takby i wiedzieć powinni, jak z wami trzeba! Ryby pod wodą uporem zawsze idące, jak te pstrągi: — do źródeł chcą. Niechaj! Minie czas, każdej rybie jurny, nie postrzegą nawet, jak samych zniesie — w morze. Bo morze to dla nas wszystkich słowiańskie, choć się pstrągiem miotaj, pod wodę idąc!... A z pstrągów najbardziej uparty to wy, panie Komierowski: miota się i miota! czy w Wiśle, czy w Obii a Jeniseju; zaś rzeka ta każda w morze niesie i niesie. Toż widzę ja »człowieka!« Nie bójś, czuć my umiemy dusze ludzkie... Po prawdzie powiedziawszy tego wam tu wszystkim nie dostaje: niema w ludziach tego widzenia i bliźniego i siebie samego po najskrytszych zakamarkach duszy. U nas tego za to aż do omierzłości!

I w gwałtownym przeskoku myśli machnął wzgardliwie ramieniem.

— Zresztą, tfu! czort! napluć na to. Ryją ludzie po swoich i cudzych duszach, bo dzieła męskiego niema. Ot, raz jeszcze: chodźcie wy z nami na tę wojnę, panie Komierowski!

Ale ranny opadł był tymczasem w sił zmaganiu i, cofając się do pokojów, uwisł prawie ramieniem na framudze drzwi. Zwrócony twarzą do pułkownika, nie śpieszył się z odpowiedzią jak człowiek osłabły:

— A lepsza dola stryja Michała, panie?...

— Niech spoczywa cicho.

Ledwo drzwi zamknęły się za nim, skrzyżowały pułkownikowi zadumę inne myśli: spojrzał bokiem w stronę pokoju, w którym minął był tak niedawno Ninę i Bolesława, zmieszanych ogromnie.

»Ślepe dusze mają tu kobiety, — mówił po chwili do siebie, — i zmylone instynkty; już im największa słabość mężczyzn najtkliwsze uczucia rodzi... A ty przecie z tych tu lepszych: — życiu rada tymczasem, przerada! Odważne bywają takie, harde w sobie i nienawidzieć umiejące: wojennemu człowiekowi rodzona kobieta! Rozślimaczą cię tu oni, rozbabrzą duszę, mierzawce niedołężni; rozstroją, rozdygoczą one nerwy kobiece, jak to trzeba zmysłom ludzi słabych.

— Żal! — mruknął twardo. — Święci w niebie może

się modlą wtedy, gdy się bujność natury przed niedołęstwem sił korzy, ale sam czort tego widoku nie zniesie... Tak i nie zniesie! — przybił w powietrzu kułakiem. — Zmylone instynkty kobiece, korne przed afektacyą ludzi słabych, zerwać się mogą zbyt łatwo za żywiołem sił spętanych — w zło czynne...

»Żal! — mruknął raz jeszcze i zwiesił głowę.

— »Chodźcie wy z nami na tę wojnę, panie Komierowski!« — powtórzyło mu się w tej chwili jakoś samo, bez woli, w chwilowem znużeniu myśli. — »A ten drugi? — przypominał znów bezładnie Bolesława Zarembę i odymał wargi, — on ich dzisiejszy, moderny!...« »Gdzie te... — zmąciły się siwe oczy pułkownika jak snem: mgłą wspomnień zasłonięte zdały się patrzeć gdzieś błędnie przed siebie. »Gdzie te dwory dzisiaj! Gdzie te lasy!...

Żachnął się i otrząsał z siebie to rozmarzenie półsenne.

— Komu wróżył, a sam w cudze dusze zalazł z ciekawości za »człowiekiem«! — A co w nich jeszcze z tych dawnych, dobrych, instynktów: z tej żyźnieradosti lekkomyślnej, z tej ochoty czortowskiej — (pułkownik strzelał nerwowo z palców) — wszystko to... Aj, aj, panie Michale!... wszystko to dzisiaj... (pułkownik wciąż strzelał z palców).

Gdy rozległo się nagle mocne, a dwukrotne targnięcie dzwonka, — i wnet potem władne zakołatanie do drzwi.

— Acha! — pułkownik schwycił pod powiekę zrozumienie rzeczy: »Tak i było do przewidzenia, że tamto zajście na ulicy sprowadzi tu rychło i tych gości.«

Jak człowiek mający każdej chwili zawsze wszystko na oku i nie potrzebujący rozglądać się w chwili nagłej, schylił się zupełnie spokojnie, z nonszalancyą i, podjąwszy z ziemi zakrwawiony kapelusz Komierowskiego, rzucił go za uchylone drzwi. Poczem wyjął chustkę, poślinił i wysoko na odrzwiach ścierał drobny ślad krwi, jaki tam pozostawiła wsparta dłoń Komierowskiego.

Do przedpokoju wpadł starszy z tutejszej służby, ów brodaty »człowiek zaufania« pana domu. Tuż za nim zjawił się i wzburzony baron.

— Na litość Boską, pułkowniku! — żandarmi.

— No, na tem ja się już sam rozumiem. To nie kombinacya finansowa.

A ujrzawszy, jak rybie wargi gospodarza dygocą, roztwierając się dziwnie miękko w jamie baków dyplomatycznych, rozbłysnął jakąś radosną nagle ciekawością na twarzy całej: »Szczupak! szczupak!« — omal że nie ucieszył się głośno. — »Ot i jenerał sam! — dodawał wnet w myślach, — ot i głównokomandujuszczy ichniej tu dziś egzystencyi: tej omiękłości i zniedołężnienia życia, tego królowania kobiet i całej tej mierzawszczyny!«

Zapatrzony z dziwną nagle pasyą w jego nos biały i tłusty, w te baki sztywne jak z blachy, omal że nie parsknął mu w twarz:

»Burżuj!«

Kołatano tymczasem do drzwi coraz to gwałtowniej.

— Ci panowie drzwi rozwalą, — bąknął baron i postąpił krok, aby samemu je uchylić.

— To-to! Panowie żandarmy i barońskie drzwi wyważyć gotowi, gdy trzeba.

— Aj, aj, panie baronie! — pogroził mu psotnie palcem.

By wnet potem wypchnąć go na pokoje, na znak, że woli sam tu czoło stawić i sprawę łagodzić. Poczem sięgnął flegmatycznie po szynel, rzucony poprzednio kłębem na krzesło.

I wówczas dopiero zwrócił się do barońskiego »człowieka zaufania«, stojącego sztywno z zakrzepłą twarzą i brodą.

— Otwórz.

Nina tymczasem, wciśnięta w róg kanapy i obojętna na Wandy tkliwość i rąk uściski, spoglądała przed się w upartym bezruchu i ogłuszeniu zupełnem na wszystko, co się wokół dzieje. Patrząc przed się, nie widziała nic zgoła, szepczącej Wandy nie słyszała wcale; zadumana, miała w sobie nirwaniczną obojętność na wszystko: gdyby ją płomienie pożaru ogarnęły w tej chwili, dałaby się ich uściskom bez drgnienia.

Te momenty fascynacyi grozy, opadające wobec wrażeń nazbyt gwałtownych stworzenia właśnie najruchliwsze, w instynkty najzasobniejsze, — wszystkie dusze wiewiórcze, — są jakby kresem ich wrażliwości, z woli natury tylko pogodnej: granicą ostatnią przyjmowania jakichkolwiek pobudzeń z zewnątrz. Pozostaje już tylko:

— albo chyżym spadem rzucić się na schwał, może w tym karkołomnym skoku podwinie się jaki uchwyt ratunku, a wtedy: w śmig, w zwrot, w zakłębienie — z gałęzi na gałąź, z wierzchołka na czub, z konaru na pień — gdzieś w gąszczy zacisznej przypaść, z łapkami przy uszach czujnych przeczekać bicie tego serca,

które pęknąć chciało i... poskoczyć dalej w światy ciekawe;

— albo, pozostawszy na gałęzi pod fascynacyą grozy, dać temu sercu ścichnąć, stanąć w bezoddechu otwartym, gdy wyciągając z kłęba swe cielsko coraz to dłuższe, pełzać pocznie ku zdobyczy, przykutej jego wzrokiem do gałęzi — wąż smutku leniwy, potwór życia najstraszniejszy!...

Bo powaga nieszczęścia jest jak smutek leniwy, a smęt taki, co nam miesiące i lata wypełnić sobą zamierza, jest jak śmierć sama powoli na nas idąca.

Uciec!...

I Nina sama nie wiedziała, jakie to myśli »skądciś« jej się pojawiły i, przepadając »gdzieś«, zerwały ją nagle z miejsca w sprężeniu ramion upartem: postanowienie »przyszło samo«. Jakie to mianowicie postanowienie — nie wiedziała zresztą dobrze.

— Nie płacz! — tupnęła na Wandę.

Było bo w tem i upokorzenie i obelga już poprostu: ta »poczciwa« Wanda płacząca za nią, która to wszak sama czynić powinna. I znowuż wydała się jej Wanda, niby ta zakapturzona nad chorą zakonnica, która na to tylko współczuje i płacze, aby spleść rychło ręce obie i, opuściwszy powieki, opowiedzieć, jak to święta Brygida, córka królewska, była jeszcze ładniejsza, tańczyła jeszcze piękniej, a jednak, cała się cierpieniom ludzkim oddawszy, i miłość nawet...

— O, nie, nie! dajcie mi pokój ze »świętemi«, — rzuciła opryskliwie tym myślom w odpowiedź.

I jęła chodzić po pokoju. A że krok plątał się mimo wszystko, był jakby niezdecydowany i co chwila w opieszałość opaść gotowy, więc podjęła suknię bocznym chwytem, możliwie wysoko: ściągnęła fałdy w garść dla większego reljefu bioder, czyniąc to wszystko po części »Wandzie na złość«, tym »świętościom« w odpowiedź, po części zaś dla skrzepienia, — by uczuć się, wszystkim smętkom spornie: hardą, mocną, pewną siebie. I tak w biodrach rozkołysana, w brawury kobiecej kroku i geście przechadzała się po miękkim dywanie jakby na czających się stopach.

— Bój się Boga, Nino, co ty gwiżdżesz?!

— A ty skąd to znasz? — odpowiedziała opryskliwie, pokazując gniewnie czubek języka.

I zawstydziły się obie.

Stąd nawrót smutku jeszcze gorszy niż przedtem. Wanda doczekała się wreszcie: oto łzy wielkie zakręciły się wirem gwałtownym w oczach Niny; porwała się tedy z miejsca, by ją ramionami ogarnąć. Lecz Nina żachnęła się jej w rękach, chwytając kurczowo za oba ramiona.

— Ach, zostaw mnie! Bo jabym w tej chwili coś złego chciała komu zrobić!

— Komuż to?... — rozchyliły się szeroko fijoletowe oczy Wandy. — I za co?...

— Ach, wszystko jedno komu! Wszystko jedno za co! Zostaw mnie. Ty wcale nie jesteś kobietą. Ja nie umiem myśleć potulnie.

Przez pokój przeszło w pośpiechu kilku młodych

panów: po dwuch, po trzech, zaszeptanych gorączkowo. Wanda usłyszała jakieś słowo i zbladła nagle. — »Gdzie są?!« — zagadnęła poufale jednego z przechodzących. »W przedpokoju«, — brzmiała prędka i przyciszona odpowiedź.

Same nie spostrzegły, jak je pociągnął za sobą ten tajemniczy rozruch szeptów i kroków.

Znalazły się w bibliotece.

Grupa młodych ludzi w ciemnym kącie niewyraźna, zatarta mrokiem, rozkołysana głowami w szmer oczekiwania; wyciągały się jakieś palce ku drzwiom, za któremi słychać było mowę obcą, tak jaskrawie odcinającą się rozgłośnym akcentem spokoju i pewności siebie od tego tu trzepotania się ciszy.

To kontrastowe napięcie chwili uderzyło w czujne instynkty Niny, zanim się zoryentować zdołała, o co idzie. Pytającej rozszerzyły się nozdrza:

— Co takiego?!... Co? — co się stało?

Zanim jej odpowiedziano, spostrzegła, że ta grupa zaszeptana przysłania sobą kogoś, siedzącego na krześle. Ujrzała misę przed nim trzymaną, gąbkę w niej wielką i jak rubin w tej chwili czerwoną. Ktoś stał opodal z flaszką lekarstwa; nieskończony wąż białej szmaty owijał się ostrożnie koło tej głowy pochylonej. Owijał się niezgrabnie: zsuwał się raz po raz i wikłał opatrunek.

Coś pchnęło Ninę naprzód w nagłem zakrzątaniu się rąk bezczynnych:

Ja!... Ja!... Ja!

Było w tym impecie tyle uporu, narzucającego się

ludziom w chwili, gdy nikt o pierwszeństwo spierać się nie myślał, że stało się jakoś tak, iż szpula bandaża znalazła się rychło w rękach Niny, a biała szmata owijała się koło rannej głowy łagodniej i troskliwiej niż przedtem.

— Dobrze tak? — pochyliła się nad uchem twarzy nie widzianej.

Odmruknięto basem.

— A wy nie przypatrujcie się tak, bo jemu przykro, — zwróciła się z nakazem do ludzi, którzy przed chwilą dopuścić ją raczyli.

Jakoż cofnięto się natychmiast.

Z dołu ponad głową ranną wyciągnęła się olbrzymia, żylasta łapa i, namacawszy gdzieś po nad swojem czołem rękę Niny zakrzątaną, ukryła ją w swoim kułaku niemą podzięką.

Załatwiwszy się rychło, odwróciła się ku ludziom, niecierpliwa odpowiedzi, której dotychczas jej nie udzielono. Ta natarczywość pomocy i zaciekawień, ta drobnych rąk kocia krzętność, gładkiego oblicza powab, oczu rozbieganie łyskliwe i postaci całej szelestna zwinność: cały ten nerw i dryg kobiecego niestatku, wniesiony w ponurą chwilę niebezpieczeństwa, usposabiał ludzi milcząco i chmurnie. Nina poczuła na sobie spojrzenia niechętne. Dobywszy wreszcie z czyichś ust opryskliwych, co za goście są w przedpokoju, krzyknęła sprężeniem się postaci całej, by w nagły zwrot poskoczyć ku drzwiom na stopach miękkich. Dopadła oczami do dziurki od klucza. Ktoś ją gniewnie za ramię powstrzymywał. Szarpnęła się całem ciałem.

— Ja chcę zobaczyć!

— Ciszej! — ofuknięto ją. — »Ja!« — przedrzeźniał ktoś cierpki.

Przykucnięta nad zamkiem, dłońmi do drzwi przylepiona, wibrowała cała niebezpieczeństwem chwili: »Już odchodzą!«, — szepnęła z ulgą oddechu. — »Już idą!« — zatrzepotała się dłońmi jak skrzydłami, nie odrywając oczu ani na chwilę. — »Kłaniają się po wojskowemu pułkownikowi. Jeszcze raz. Bardzo grzecznie!«

Lecz, gdy się na pokój odwróciła, sprostowała się znów prężnie, a okrzyk zdumienia zawisł na ustach wpół otwartych:

Widzi w ogromie barów szerokich bokiem jak u byka pochylony łeb: głowę brodatą, graniastą, o wielkiej szopie szpakowatych włosów nad białą opaską czoła i długie z podełba pociągnięcie spojrzenia; oczy, jak zmatowana stal o przygasłym blasku i zastygłym, sinym tonie. — Więc tak wygląda ten, któremu opatrywała przed chwilą czoło? — wisiało wciąż zdumieniem na jej wargach. W rozgarze wyobraźni snuły się właśnie jakieś postacie zagadkowego życia, niby tropiona w ostępie zwierzyna, i oto wystąpił jakby z uroczyska leśnego — ten, gdy zdala oddalali się w pobrzęku ostróg — tamci.

Lecz ta omroczna zasłona wyobraźni z przed oczu opadła rychło; — okazało się, że wcale nie jest taki olbrzymi, wcale nie ma takiej graniastej znów głowy i, choć przypatruje się bacznie, ma raczej zdziwienie, jeśli nie w zgasłych oczach, to w wyrazie twarzy.

— Dlaczego mnie się tak przestraszyła? — pyta łagod-

nie. — Czy ja tak zdziczał, że stał się strachem na dziewczęta? — No, nie na to mówię! — odmachnął się łapą od jej zmieszania. — Prosto powiedziawszy, przypomnieliście mi kogoś z przed lat dawnych, — bardzo już dawnych!... I jaka podobna!... Więc dlatego zatrzymałem się zdziwiony. Mnieby krzyknąć, a nie wam.

Przetarł łapą twarz i wyciągnął do niej kułak otwarty.

— No, i niema o czem, — urywał sobie widocznie w myślach wspomnienia te dawne.

Przysiadł na kanapie, spoczął tak, że aż sprężyny zadzwoniły pod nim. I jął się rozglądać po obecnych.

Po chwili trzepnął się dłonią po kolanie.

— Toż oni was z gromady ludzkiej, jak magnes stalowe opiłki — samem zbliżeniem się — wszystkich tu powyciągali. A śmiać się niema czego! — fuknął na nich twardo.

Sapał ciężkim oddechem w brodę i niezadowolony mruczał w nią coś do siebie.

Wszyscy witali się tu niedbale, raczej uśmiechami tylko; dziwili się wciąż temu, jak to, nie zmawiając się, zeszli się tu wszyscy razem, wreszcie zagadali poważnie o tem, jak wielkiem złudzeniem były nadzieje, jakoby z tych sfer dało się »coś wyciągnąć.« — »Czem dla nich chwila dziejowa!...« Hrabia zrozumiawszy z trudem wielkim, o co zgłaszają się do jego fortuny, stał się jadowicie złośliwy. — Nabab z Ukrainy bał się wprost rozmawiać i opuścił coprędzej zebranie, w którem roją się takie tajemnicze szatany. — Szlachcic z Litwy, Wojciech Stanisławowicz, zbladł jak chusta i wytrzeszcza

oczy; po chwili wpadł w apoplektyczną furyę i, miotając się ciałem wielkiem, wrzeszczał na całe gardło: »znowuż nas zgubić chcecie!« — Baron nakoniec, okupujący się każdej opinii, dał odczepnego. — A zresztą nie warto było wprost mówić. Można »splunąć na nich« i wracać do domu.

Zawrzała niebawem wśród nich dysputa gwałtowna, użarliwiająca nagle niedbałe przedtem słowa i ruchy. Urwało się to jednak rychło pod złośliwymi pomruki basowego głosu, lekceważącego widocznie wszelkie rozprawy. A gdy się ten gwar uciszać począł, zastępować go jęła zwykłym trybem dobrotliwie zgodna, szerokoustna gawęda ludzi, którzy w chwilach ciszy obozowej żyją wspomnieniami. Lecz i teraz gdy Komierowski się odezwał, wszyscy milkli wnet, jego widocznie najchętniej słuchając.

Pod tą sugestyą oczekiwań zaczął było wspominać niedbale.

». . . . więc kiedy nas przyprowadzili na ten etap« — wpadło w Niny zadumę znienacka i ze środka zdania: słuch jej, jakby na ten jeden głos tylko nastrojony, teraz dopiero się ocknął. Poszły za nim i oczy.

Patrzała uważnie, jak kończył papierosa, jak ćmił na pół schowanego w kułak, jak wreszcie niechlujnym gestem odrzucił ogarek gdzieś na środek pokoju.

— Więc kiedy nas przyprowadzili na ten etap, — mówił spokojnie, z spojrzeniem skupionem, jak gdyby widząc w tej chwili te obrazy dawne, opowiadane niespodzianie czystszą mową, — kiedy stanęła ta chmura kurzu ołowiana, gdy przycichły te dudy otępienia, ten szczęk kajdan monotonny, wszczął się blekot owczy przy ciasnych wrotach. Roiło to się bezładnie, rozłaziło z kupy, ustępując tylko przed kolbą zamachniętą, właśnie, jak przed psa doskokiem. Nie chciały leźć owce na legowisko: ospa była na etapie... Ale co mnie, co moim ospa w takiej doli! — Więc kiedy się tamci rzucili mimo wszystko na żarcie, na swe pomyje herbaciane, na kurzenie cuchnącego śmiecia w papierosie i, kiedy za tą rozkoszą życia wraca troska o zdrowie: i złe, ponure pomruki podrażnionych nad miarę zwierząt rozlegają się w ich celi wspólnej, jam się w mej samotnej na pryczę powalił, jakby na tę ospę czekający.

Tuż obok za ścianą zbrodzień jakiś dolę swą opowiadał, — zawsze jednakową. Póki w przewinie, póty sam, — człowieka rad słyszę; gdy w karze, owca becząca, jak wszystkie inne. Tu, na pustym wydmuchu połowy świata zgubił swą namiętność: »Gdzież ona to — zbrodni mej przyczyną?« I tak się w duszę swą zapatrzy, zbłąkaną teraz w ogromie tego świata i bezkresie ludzkich niedoli.

A wicher na tym wydmuchu skowyczy mi za oknami ciąg dalszy:

»Koj bracie duszę największym smutkiem odpowiedzialności niczyjej: wszystkim twardo, wszystkim ciężko,

wszystkim dola jednaka. Spojrzyj: nizko wloką się chmury ołowiane nad tą ziemi połową; — nie wzwyż tu duszy, lecz w dal i szerz monotonną — w bezkres życia i niedoli ludzkiej z wiatru skoleniem. Na długi ich tu ton duszę nastrój, jak tego wichru skowyty, na tużenie, na »tasku« za dolę »człowieka», — na tę osmętnicę wielką, która młode ich siły najbujniejsze na Golgotę wlecze, Barabasza wmiast siebie na wolność prosi, ze swego krzyża obu łotrów rozgrzesza i do tego po lewicy najtkliwiej właśnie lgnie, gdyż on jest najbardziej »człowiekiem«. I wyjże teraz bracie z pod krzyża swego na tę krzywdy ojczyznę, wyj, bodajby za tem stadem wilków na stepie odludnym — za ciepłem gromady«.

I zwidzić się może: uświęca się zmora tych dusz. Więzienie chromem się staje, w pstre kopuły się nakrywa, w żółte krzyże jeży, a czady i wyziewy tej gnojnej trzody ludzkiej biją jakby z kadzielnic pomrokiem srebrzystym; kolebią się w tej oćmie brody czerwone; w skłócone rozdzwony cerkiewne brzęczą kajdany; a głos starczego gdzieś w kącie pokutnika huka jak sowa naprzykrzona: *Hospodi pomiłuj!*

Święci się leniwego fatum panichida bizantyjska, — ponure rozgrzeszenie odpowiedzialności niczyjej. Za wielką jest ta ojczyzna ziemi połowy, żaden wicher jej z końca w koniec nie przebieży; jakżeby wola ludzka ogarnąć ją mogła? Wszystkim twardo, wszystkim ciężko, wszystkim dola jednaka; wszystko się wzajem zbydlęca w swem człowieczeństwie bolesnem i leczy odrętwieniem wspólnem.— Moja dusza, twoja dusza, granicy tu niema, jak niema

granicy światu . . . białemu. — A nad tym żółwiem ziemi Bóg Wschodu dusze wszystkie aż na dno ostatnie przeziera i w każdej widzi tylko żałosną nędzę »człowieka«. *Hospodi pomiłuj!*

A ja wtedy dopiero pojąłem, jak te dusze są w czuciu swojem — nie moje! Mój świat zamknięty, jak lasów, czy gór horyzontem, widnokręgiem umiłowań i nienawiści w piersi mi się wciska: moim się staje.

Zaś ta odśrodkowość dusz ich, ta »taska« i absolucya zarazem przesyłana bezkresom ziemi rodzimej zaciętym mnie w czuciach znajduje; co ich na połowę ziemi rozprasza, mnie w siebie zbiera ponuro.

Rzucać się na pryczy poczynam. A gdy łbem hardym o ścianę uderzę odrętwieniu na ulgę, kajdany warkną jak pies czujny.

A w tym drętwym spokoju, zdobytym pod naciskiem konieczności, wiadomo, jak nie wiele trzeba, by z człowieka strunę napiętą uczynić. Dało się słyszeć głuche rojenie u kryminalnych, potem uderzenia razów ciężkie, skowyt bitego i chór pomruku ponury: »Ospa«!

Sam nie wiem, jak się to stało, że urwałem nogę od pryczy i walę nią we drzwi. W otworze ukazuje się twarz ociężałością dobroduszna, a koniecznością sprawowanej służby tępa. »Bariń, miej ty litość nad sobą. Wszystkim tu źle, ludzie my wszyscy złej doli, wszystkim ciężko«. »Wont«! krzyknę, — niech ci będzie okrutnie, czy smętnie na niemrawej duszy, mnie być nie musi. Nie jednej my doli! I nie jednej woli! . .

W tem miejscu opowiadania ktoś szarpnął się ner-

wowo, otrząsnąwszy z twarzy binokle, ujął Komierowskiego za łokieć. I przy tym chłodzie spojrzenia, jakie tu przewiewa nieraz między poufałymi gesty, rzekł cierpko:

— Te słowa do żołnierza mają chyba to powiadać, że w bezsilności człowiek staje się nietylko sobie szkodny, ale i wobec cudzego współczucia nikczemny?

Lecz Komierowski, jeszcze poufalej, odepchnął go mocno łokciem, nie dał sobie przerywać:

— A tamci ludzie własnych nerwów już przecie nie mają, przerasta ich jeden wspólny i nad miarę uraźliwy. Jednego ukłuj, drugi, zda się, krzyknie zdaleka, choć sobie zadanej urazy odczuć nie raczy. Do tego się dochodzi w tej szkole cierpienia. Więc to moje kołatanie we drzwi wystarczyło, aby ich ocknąć z tumanu melancholii. Zadrgał wspólny nerw. Oto w drugiej, w trzeciej, w czwartej celi walą we drzwi co sił. Tam w końcu korytarza chłopisko było krępe, ale i mocne, — jarosławskie. Drzwi trzasły. A i moje były jeno nie bardziej oporne, bom przez wywalone skoczył wprost na wartę, właśnie w chwili, gdy jęcząc: »Bariń, miej litość!« już go w błogiem przymrużeniu oka brał na cel. Więc go tą nogą od pryczy jak obuchem. Runął.

Tak się to zaczęło. Jak chcecie? — z niczego.

W poruszeniu ogólnem słuchaczy czuć było ponurą nieaprobatę. Ale Komierowskiego porwały już przypomnienia.

— Więc ja z tym karabinem przyskakuję do nich. »Mam jeden!« — krzyknę. W tejże chwili przez uchylone drzwi wsuwa się bagnet, więc ja go swoim — w dół!

i oburącz za lufę. I zamiast targnąć, jak on się spodziewał, właśnie ku niemu! I tak go własną kolbą w brzuch. »Mam dwa« — krzyknę. — Ten Jarosławiec, on jeden tylko, swe ramiona długie jakoś skośnie rozstawił, rzekłbyś do tańca. »Dawaj« — woła. I obu nam mięśnie same zagrały w jakieś rytmy szaleńczej otuchy. Co znaczy rzecz taka: broń!... Podczas gdy nasi wszyscy mają takie okrągłe oczy, że to tak znienacka, w przebudzeniu z melancholii i bez żadnych widoków. Ale wiadomo: dla takich chwila nagła to także fatum, taki ogon wrażliwców, chwili nieodpornych, najbardziej potem pcha tych, co tę chwilę wywołali, im narzucili.

Otóż to! — Ale bójże się Boga: powód?! A przytem ci towarzysze twoi? Ty żeś ich przecie wszystkich na bagnety, jak na rożen nastawił, kobiet pewno nie pożałowawszy.

— Toć siłą ich nie wiodłem! Sami się zacięli.

— Tam były i kobiety? — przerwał z zipnięciem głębokiego oddechu głos Niny.

Pochylił głowę w milczeniu.

Wandy postać wiotka prężyła się na krześle, z piersi wybijał się oddech w uderzeniach wysiłku; spiekłe, gruźlicze rumieńce stanęły przed oczu błyskiem. Siliła się wyobraźnią znaleźć tam: i stawała ciałem wątłem — w duchu gotowa.

— Powód? — mruczał tymczasem Komierowski w brodę, jakby teraz dopiero stawiając sobie to pytanie. — Był i powód! Siedliskiem ospy był ten etap: katorżnicy chcieli wyruszać natychmiast. Powód? Powodów

jest zawsze za wiele. Baby je wypłaczą łzami, statystycy, jak ty, cyframi. A cel?... Powodem jest zawsze dusza, skutkiem zawsze ofiara z ciała, korzyści zbierają zawsze dożywotni kajdaniarze. Oni to nazywają celem.

— A sterem takich działań jest zawsze ten ogon wrażliwców, pociągniętych chwilą; ogon, a nie głowa — dorzucił jadowicie wciąż tenże swarliwy osobnik.

By za chwilę podnieść w palcach binokle wraz z dalszą repliką:

— Nie powody, nie cel, nie lud!... W co ty właściwie wierzysz dziś jeszcze?

Podrzucił głowę:

— Zawsze w tych, którzy z całej swej natury tak bardzo muszą, że się o powodzenie z losem nie targują! dla których dostatecznym powodem jest własna dusza. Tacy zostawiają i siebie i cel swój na podrożu dla podjęcia lub podeptania przez innych.

— Nie bacząc nawet, czy tem korzyść, czy klęskę przyniosą... »innym«?

— Może w głębi duszy nie bacząc i na to, — odmruknął z głuchą zaciętością. — Zaś siedliska zarazy są nie tylko na dalekich traktach, a pada ona nie tylko ospą na ciała, lecz zniemożeniem na dusze: ta ospa czuć obcych.

Odmachnął się ręką od dalszych replik, zbierał w myślach rozproszone przez ludzi obrazy.

— A no: wyprostowałem się jednak, znalazłem siebie bodaj za cenę zguby... Zaś tamci, nasi, którym w pierwszej chwili lęk oczy rozszerzył, rzucili się otwierać cele, a potem za pierwszą myślą i uczuciem chcieli porwać do

czynu, zaagitować — kryminalnych, oczywista. Tam też i nas pchnęli z moim Jarosławcem. Powitano nas rykiem. Imamy się ich rozkuwać. Aliści ten bogomolnik z kąta nie tylko na sobie ruszyć ich nie da, ale rozczapirza ramiona nad tym tłumem i huka: »Ludzie! wam dusze w sobie z grzechu rozkuwać, a one to serdeczne...« I całuje przecie to ścierwo własne kajdany. A tym sobakom tego tylko brakło: żeby im kto ich psią trwogę sumieniem nazwał. Tu nie było czasu na perswazye. Więc ja pod pierwszy strzał tego pokutnika. Pożałowałem przecie kuli: »zgnij zdrajcą!...« A oni się tego słowa tyleż nieomal co kuli boją — te psie dusze, gdy w gromadzie. I znowuż ku nam mieć się poczęli. Więc ja im: »Ku czemu was matki na ten świat miotnęły, pewno nie wie żadna, ledwie która z chichotem wspomni, dlaczego to się stało. Wy za to wiecie do ostatka, na coście się rodzili: psom najparszywszym lepsza dola przypadła. Sprawcież tedy matkom waszym tę psotę, że się kiedyś zwiedzą, iż rodziły — omal nie splunąłem w gębę najbliższą — bohaterów!« — I dacie wiarę: właśnie ta ostatnia, ta najbardziej nieludzka pogarda kłoni ich ku mnie ostatecznie: — umiem ja przemawiać do dusz sobaczych. Lecz oto we drzwiach staje oficer i dwuch ze straży. W tej nagłej ciszy napięcia słyszymy mowę... łagodną: o tem, jak to się ludzie gubią, jak to i jego służba ciężka, jak wszystkim na świecie dola twarda i jednaka; — a wszak do inteligentnych ludzi mówi. Sołdatów tymczasem coraz więcej w izbie: po jednemu, po dwuch... Zaś »inteligencya« tyle nam w onej chwili powiedzieć tylko mogła: że kto za broń chwycił, temu już nie do rozpraw, a jeśli

do takich przemawiają, to tylko by za łeb pochylony łatwiej chwycić. Więc mu przerywam na początku: »Mój panie, nas wszystkich przysłano tu pono za to, żeśmy się nikogo słuchać nie chcieli. Więc nie pochlebiaj pan sobie lepszym skutkiem swej pięknej wymowy...«

Ten i ów ze słuchaczy żachnął się tak, że aż się z krzesłem odrzucił, słuchając z nerwową już odrazą tej zadzierzystej brawury opętańca.

Lecz równocześnie z tym ich odruchem zaklaskały raz w raz czyjeś ręce. I wszyscy, ilu ich tu było, zwrócili się w jednakowem zdumieniu ku Ninie, zapatrzeni w te dłonie, oklaskiem jeszcze zwarte przed rozgorzałą twarzą. Z pod jej powiek dotychczas wciąż przymkniętych, a teraz jakby siłą nagle rozerwanych, wybłyskały ku ludziom małe jak grochy, złe, niespokojne oczy.

Komierowski aż się uniósł nieco, zapatrzony i kułakiem zgarniający w usta brodę swą i wąsy.

Z przeciwnej strony zawisło na nim jeszcze jedno spojrzenie. Młodzieniec o zapadłych piersiach i suchej kościstej twarzy, który z taką niechęcią spoglądał był na Ninę, przylgnął teraz do Komierowskiego anemicznym lękiem sił wątłych. Przerażeniem łatwej do gorączki i już zafascynowanej wyobraźni widział się sam w tym zbuntowanym kłębie bezsilnych pod wystawionych bagnetów grozą. Dostrajał się do chwili, dociągał w piersi wątłej struny woli: na torturach imaginacyi z rozpaczliwą zaciętością doszukiwał się w sobie tężyzny. Przelotnie mącił się żar jego oczu w bezwiednie chytrym zezie gdzieś na boki, by z tem więk-

szą kornością zawieszać duszę niemocną na ponurem spojrzeniu Komierowskiego.

I rzecz dziwna, Komierowski to właśnie tchnienie gorączki i sapliwe oddechy wzburzonych słuchaczy chwytał w rozszerzone nagle nozdrza. Pamięć goniąca dalsze obrazy opowieści, rozżarzając zmatowane dotychczas oczy, wykrzywiała mu twarz w uśmiech kosy, chytro-melancholijny, niby współczucia nadmiernego pełen, a nękiem i udręką życia samego tak dziwnie podniecony. Wyobraźnia ponura otępiała w piekle, zdała się teraz dopiero odżywać w całej pełni pod zalatującą wonią okrucieństwa. Maska jakaś obca zasunęła się na tę twarz. Oto ramię wyrzucone zda się gestem uprzedzać dalszy tok opowieści, a usta zawołają, zasyczą, czy też świsną w tej chwili: »Ech! i... zaczęło się!« — Zdało się dalej, że dokończy toku już nie dotychczasową, czystą mową, lecz swą zwykłą, na pół pomieszaną z obcą gwarą, że z niej właśnie teraz barw i akcentów czerpać będzie, że bagatelizując w naracyi rzeczy straszne, podkreśli jakiś potworny w nich drobiażdżek, podkreśli go z lubością, że dokończy opowieści już nie swoją, dawną duszą, lecz tą późniejszą — nabytą.

Mówił dalej.

I zapierały się oddechy w piersiach słuchaczy; ten i ów obliczem precz się odwracał; łzy nie rzucały się nawet do oczu kobiecych, ledwie wargi ich rozdygotane chlupnęły

czasem w spaźmie połkniętym; coś jakby wilgoć piwnic średniowiecznych otrząsało skórę niejednemu.

A gdy się opowieść skończyła, zahukane wyobraźnie słuchaczy błąkały się w ciszy własnym już rozpędem po wszystkich nękach, okrucieństwach i torturach życia, świadcząc swej uczuć władzy krzywdę nieobliczalną. Niejeden złapał się tu duszą jak w samotrzask: rozpalonemu do biała współczuciu sądzono stopić się z tego rodzaju afektami, a wyobraźni z ich bolesną potrzebą — we wszystkich potem dziedzinach życia.

Cisza panowała głucha; przetapiały się dusze w ogniu obcym.

Cisza była niema, jak bezsilność, jak smętu dno ostatnie.

Podryw towarzyski profesora i gorączkowe zajęcie się jego panią domu zgłuszyła rychło gorycz wrażeń, jakiemi się tu nasycił. Rozmów męskich słuchał już milczący, patrząc ludziom w oczy badawczo nad szkłami okularów; dla kobiet stawał się przykry z swym monotonnym uśmieszkiem, ukrytym w włosach twarzy, w przesadnej, lecz krótkiej uprzejmości najwyraźniej akcentowanego roztargnienia. Wracała mu na oblicze maska tej swoistej próżności — na poły maga, na poły biurokraty, — jaką po uniwersytetach zdobywa się wraz z togą. Spostrzeżono to rychło i poniechano w odęciu. Kobiety zwłaszcza skwitowały go czemprędzej przesadną w jego pobliżu trzpiotowatością.

Znalazł się tedy sam. Obraz pani o długiej twarzy i włosach jak bursztyn, prześwietlony, powracał mimo wszystko i naprzykrzał się godności. Profesor przysiadł gdzieś w kącie i grabił palcami brodę okazałą.

Gospodarz złowił czujnem okiem to osowienie gościa pożądanego, chociażby w tym właśnie grymasie, jako ornament powagi w salonie. Pozostawił go tedy czas jakiś, by zdobił kąt przez siebie obrany. Dopiero w obawie jego

ucieczki, zagadał o jakichś sztychach, nabytych niedawno, o swym księgozbiorze, zaciągnął do biblioteki i zahaczył na dłuższy czas o półki z staremi książkami.

Co załatwiwszy, wymknął się pan domu gdzieindziej.

Dymiąc cygarem z włosów twarzy, sięgał profesor po co raz to inną księgę, by ruchem mile połechtanej pewności siebie z powrotem odstawiać rzeczy znane, zaś grymasem zaciekawienia i jakby nieufności witać druki jeszcze nie spotykane. I w tem zajęciu pomrukiwał sobie przyjemnie.

Obfity księgozbiór gospodarza zasobny był w najrzadsze druki rakowskie, oliwskie, brzeskie, drohomilskie, mohylowskie, pochodzące zgoła ze wszystkich tych kątów i kresów Rzeczypospolitej, gdzie dawniej pracowały tłocznie drukarskie, a dziś kozy się pasą, lub żeruje ciemne mrowie ludzkie.

Radowały go osobliwie wczesne druki krakowskie, gdzie na tłocznię przenosiła się jakby z foliałów mniszą ręką pisanych cicha żarliwość średniowieczna: księgi te budowane były karta za kartą w pietyzmie szczegółów — jak tum gotycki. Tu i ówdzie gotyk jeszcze ociężały, w ozdobach i tytułach romańszczyzna nawet, lecz nad wszystkiem jakby nowe tchnienie, znoszące dawnej szwabachy natłoki, oraz ciosaną sztywność i rebusowość pisma rzymskiego, — tchnienie powietrzności, perspektywy miłej oku architektoniki unosiło się nad całością: zwiastująca się dopiero z Zachodu płomienna lekkość Odrodzenia. I tak oto z najlepszego ducha przeszłości poczęta, przyszłością już idącą nieświadomie owiana, w przyszłości dalekie świadomie wiodąca *triumphans* zdała mu się dziś je-

szcze księga taka każda; a co zbożniejsze: z karty tytułowej historycznej pieczęci wiało dumą miejsca, które ducha powszechnego dojrzeniem, oraz piersi wolnych osłoną tym dziełom człowieczeństwa stawać się dozwoliło.

Napieściwszy tak oczy jak i palce starych książek kształtem, papieru lekkością i pergaminową mocą, liter stylowością intuicyjną, ozdób, oraz inicyałów inwencyą bogatą, temi wrażeniami w sobie dźwignięty, aż do pogodnego rozbłysku całej twarzy, skrzepiony przytem cygara smakiem i wonią przeszedł powoli do kart treści.

Gdyż oto wpadały mu do rąk białe kruki, o których istnieniu wiedzieć mógł tylko: książki, które do skarbnicy europejskiego ducha przeszedłszy, wyginęły doszczętnie w miejscach swego urodzenia. Wygarnęła ich stąd miotła szwedzka, tępiły cichaczem ognie jezuickie, rozwiewały po świecie zawieruchy wieku ostatniego; a czego szczury nie dogryzły po strychach zbarbaryzowanych dworów litewskich, to wyłowiła stamtąd w światy nęta cen wysokich, jakie za te szlacheckie i klasztorne śmiecie płacą antykwarze europejscy. Właściciel ich dzisiejszy nabywał te książki, jak wskazywały adnotacye, w Londynie, Lipsku, Petersburgu i Sztokholmie.

Lecz i te kilka ziarn, zebranych z tak bardzo po świecie rozwianego spichrza, ten kram rzadkości bibliofilskich posiadał na sobie mimo wszystko, — jakby to miał każdy inny, lepszy, czy gorszy zbiór taki, — ponury stygmat zatracania się nieustannego ziaren siewnych.

W tę ciszę kościelną dolatywały zdala bezładnie po-

mieszane echa salonowego gwaru. Nagle wpadł tu fircyk jakiś w foldze ruchów rozchwiejnych, poszastał się między półkami, sam nie wiedzący, po co go tu zniosło, i wyskoczył niebawem.

Wyrywając książki z półek na traf, zabłąkał się profesor niebawem w tym lesie. Oto minął rychło pisarzy Wieku Złotego, w tak zwanym Baroku natknął się na pyszne wydawnictwa oliwskie, zaczem pociągnięty zewnętrznym luksusem wydawnictw groelowskich i puławskich, wstąpił myślą w senatorskie koło postaci o posągowym geście i jasnem spojrzeniu wieku Oświecenia, — na tę nową falę światowego przypływu, która szczytu swego nie sięgnąwszy runęła w dziejów odmęty, by odwieczną współpracę ducha u warsztatu ludzkości i tradycyjny kontakt z jego po świecie mistrzami przekazać oręża współdziałaniu po Europie.

»Oto myślał, — przerzucając pożółkłe karty, — »Dekady« wędrownego wojska ostatnich rycerzy bez ziemi, wiodących ze sobą po Europie nowej jeszcze i truwerów swoich. Śpiewacy obozowi, zamienieni w rozbiciu ostatniem w bardów pielgrzymstwa, pozostawili po gościńcach Europy księgi polskie z pod tłoczni cudzoziemskich wszystkich miast zachodu.

Przewijały mu się nieustannie pod ręką te rozsiewy pielgrzymstwa.

»A gdy za sił rozbiciem, — dumał nad nimi, — przyszło i woli rozprószenie wśród skłóconej bez wodzów gromady, gdy na Wschodzie pozostał już tylko kadłub narodu obezwładniony, a po stolicach Zachodu swarzyły się jego głowy bezczynne, gdy ogniwa wspólnoty duchowej prys-

kać nawet już poczęły w narodzie, z bardów wyłonili się w Europie nowej jeszcze i druidzi ostatni, »wieszcze« narodu swego.

»A jeżeli teraz oto, — przypominał w tej chwili, — wzniosą w Paryżu pomnik jednemu z nich, staną może najlepsi narodu obcego przed tumem tej odgadywanej zaledwie poezyi, jakby przed druidową świątynią Carnac'u, podziwiając chyba tylko wiary ogrom, który ją zbudował i symboliczne dale naw tej świątnicy otwartej, wiodących od ołtarza krwawych ofiar ludzkich w stronę wschodzącego na wiosnę słońca. I przypomną może tej świątnicy kapłanów, druidów celtyckich, słowa, spisane w kodeksie króla Hoela: »Trzy są rzeczy niezbędne: miecz, księga i harfa«. Oto miecz, wyszczerbiony w potrzebie własnej, rozprysnął w obronie wolności ludów Zachodu; harfa zagrała dla świata całego pod ręką Szopena; księga, acz pieczęcią niezrozumiałej mowy dla obcych zamknięta, jest przecie dla nich wyczuwalnie Zakonem duszy narodu, Arką jego przymierza z ludzkością.

I może niejeden z tak zadumanych przypomni swych czasów *Wiosnę*, oraz to słowo »mesyanizm«, które dla jednego narodu, będąc przemijającą doktryną książek, stało się dla drugiego cmentarzem jego ofiar. Może przypomni te dziesiątki tysięcy mogił polskich po wszystkich pobojowiskach wolności Francyi, Niemiec, Włoch i Węgier i zapyta: jakie to szaleństwo czyniło, według słów Niemca jednego: »tę szlachtę sztabem jeneralnym sankilotów całego świata?« Odpowiedzieć mu może tylko potęga władzy duchowej druidów w Europie ostatnich »wieszczów«

narodu, ona tylko odrzec im potrafi »czyj to ich porwał wichr i czyje ramię...«

Lecz gdy w tem zadumaniu swem bibliotecznem, sumujący mimowoli książek fata i dzieje, stanął tak oto w progu dni dzisiejszych, wziął niespodzianie w duszę krzyżowanie się myśli spornych:

»Jestże to naprawdę błogosławieństwem dla narodu, że najwyższy ton jego twórczości i ostatnie wobec świata czyny dokonały się czasu trafem przez ducha romantyzmu i mistyki? Czy nie kieruje to najlepszych wciąż jeszcze ku przeszłości, czyniąc z nich prędzej czy później puhaczy po ruinach, odwracających na pół ślepe oczy odrazy od życia, każdemu dniu dzisiejszemu nienawistnie? Czy nie sprawia to, że właśnie najlepsi nie są zdolni do zachwycenia w piersi tchu rzeczywistości i rozgrzania w nim serca w tempo dzielne? Czy to, co było w najlepszych czasu swego, gdy ziemia własna z pod nóg im się usuwała, wybiegiem w gwiazdy: dla wywyższenia sił w ludziach, — czy to wszystko, nie rozsiawszy się koleją wieku całego w pospolitość, nie stało się w obliczu znieruchomiałego życia mimowolnym rozsadnikiem omamów, obłudy przed sobą — zastoju? Kostniałoż tak Bizancyum: dusz karmem przez wieki, pod klątwą — niezmiennie jednym. Oblicze najłaskawszego Boga stawało się w surowości swojej coraz to okrutniejsze i coraz to mniej mające wspólnego z życiem ludzi«.

»Czyżby druidzi nasi — nawracało w zadumie, uświadomili sobie coś więcej ponadto, co przekazali i tę tajem-

nicę swych jasnowidzeń przemilczeli, jak to druidzi czynić zwykli?

I czy przemilczeli całkowicie?

Czemże jest tych wierzeń mickiewiczowska Vulgata: potrzeba ofiary z najlepszych dla odkupienia ducha w innych, — potrzeba Legionu? — Czem tej religii ezoteryzm: rozwoju konieczność w śmierciach nieustannych, a ekstatycznemu oku widnych, niby ruch aniołów na jakubowej drabinie w przeradzaniach się ducha w coraz to wyższe formy? Czem wobec zatrwożeń nad przyszłością, groźba tej metampsychozy: cofnięcia, pognębienia w niże życia najgłębsze każdej formy, która w czasów niepowstrzymanym obrocie nowego ducha z siebie nie wysili?...

Wóz życia ugrzązł w piachach, a duszom karm w istocie wciąż tenże: z przed wieka! I jedno wciąż źródło sił idealnych, które ma ich w aniołów zamieniać, — w aniołów ruchu i ofiary. Bo pod tą błahą i nikczemną powierzchnią życia ten nurt żyje po duszach lepszych. W sentymentalnej wrażliwości wyobraźni egzaltowanych pokutują wciąż jeszcze wszystkie upiory i widma romantyzmu, a ponad tym sabatem chęci niższych — wciąż jeszcze ów ton najwyższy owych czasów: potrzeba ofiary z najlepszych dla odkupienia ducha w innych«.

»Ową swiątynię Carnac'u stawiała rasa o takiej sile wiary, że na lat tysiące przedtem przypowieść Chrystusową wypowiadała ramionami czynu: przenosiła najdosłowniej góry granitowe w szczere pola, ustawiając je nawą pięciokrotną w utęsknionym kierunku wschodzącego słońca, aby tą drogą rok rocznie wstępujący życia i pogody Bóg spo-

glądał na gładzisko płaskie w skał półkręgu: na ociekły rzeźną krwią ołtarz ofiar ludzkich — dla Niego, dla Słońca!... Spłynęła na tym ołtarzu krew rasy co najlepsza; — smutne cherłaki duszą i ciałem pozostały tylko. Zalała fala obca«.

Zgasło cygaro w ustach profesora, a popioły jego zimne osypały się na brodę. Znikło z twarzy pogodne niedawno rozpromienienie wobec starych książek kształtu, starego papieru lekkości, starych liter stylu. Zaduma ciężka osiadła na czole w brózd rozciągliwych napięciu. I tylko oczu wybłyski, niby iskry gniewu w starciach myśli krzesane, mówiły, że ducha przygniata ołowiana chmura rzeczywistości dzisiejszej.

I ołowiane fale bezkresnego morza obcości pospolitej, zalewającej życie zewsząd.

A w tej zadumie jakaś książka stara pozostała mu jeszcze w ręku, założona palcami opuszczonej dłoni. Odstawił na półki, — z czcią, czy niechęcią, sam w tej chwili nie wiedział, — tę zmumifikowaną żagiew wygasłego ogniska, jakby w trwodze przedewszystkiem, by mu się ona w pył i prochy nie rozsypała.

»*Vitae lampadae traditae*«, — przypomniały mu się cierpko Lukrecyuszowe słowa, — życia pochodnie przez pokolenia sobie oddane.

Życia? — powtórzył głośno, rozglądając się po tej su-

rowej i sztywnej omartwicy czasów, po półek spiętrzeniach katakumbowych pod bibliotecznymi pyły. —

Lampka elektryczna u pułapu mrugnęła, jak gdyby na tychże przewodnikach gaszono światło w innych pokojach. Zabłąkany w labirynt półek i tem wrażeniem zewnętrznem z zadumy ocknięty, jak w równym trabie koni rusza lekko z przed bramy powóz ostatni. Rozjechali się już wszyscy. Pozostał on sam tylko, zapomniany przez ludzi w tym labiryncie książek.

Docucał się szybko, przecierał zerwane z czoła okulary. A przed oślepionemi na chwilę oczy stanęło w nagłym natłoku obrazów to życie całe, jakie tu dziś oglądał: zgiełkliwe, rojne i pienne na powierzchni zaledwie, a pod tą musującą powłoką bezwładem jakby tknięte.

I cały ten wir ludzkich tu obcowań wydał mu się zamętem ogromnego znużenia, wyczerpania wszystkich podniet gromadzkiego życia, stłoczonego w ramy za ciasne, kłębowiskiem sztucznych niepokojów i na zimno tworzonych podrażnień, sprowadzoną z obcych stolic gorączką wielkomiejską bez ognia tej gorączkowej woli, która tamte życie przepala: bezcelowem, wewnętrznem żagwieniem sił płonnych. — »Każde Bizancyum, — mówił w duchu, — w starszem pokoleniu mumifikowało się tylko, rozkładało zaś właśnie w młodem, właśnie w tem, które mu użyczało pozornego ruchu na powierzchni«.

Gdy nowe mrugnięcie i błysk lampki elektrycznej znagliły go do skierowania się ku wyjściu krętą drogą półek. Lecz w tejże chwili światło u pułapu zgasło; znalazł się jak wśród murów ciemnych. Posuwając się omackiem, zwrócił

mimowoli krótkowzroczne oczy ku górze, gdzie wyświetlały się w ciemni — na pierwsze wejrzenie, rzekłbyś, lamp mlecznych szereg — popiersia białe. Miał te oblicza w pamięci wyryte z podobizn po książkach jeszcze młodzieńczych.

Ponad zatartemi oćmą księgami spoglądała przeszłość sama swym czynem i słowem wiekowym, które książki nieraz mijając, tą czy inną drogą, odcisnęły się przecie znamieniem niezniszczalnem na duszy każdej, jak się drzewa przeszłość na swem ziarnie najlichszem niewidną przyszłością odciska.

Nad spichrzem ksiąg zatopionych w ciemni płoną mlecznym szeregiem lampy dziwne o człowieczych twarzach.

»Druidów widma białe«, — pomyślał mimowoli.

I stanęła mu znów w wyobraźni ta świątynia Carnac'u, zbudowana z gór, przeniesionych wiarą. Oto wśród tych złomów o kształtach mamucich i nieciosów potwornych stoją niby białe kolumny druidzi brodaci: i ci z mieczem, i ci z księgą, i ci harfiani. A tą drogą wiary, w którą słońce wiosenne zawsze zawraca idą bez końca życia młode, idą pod nóż — *Wiośnie* na okup, słońcu na ofiarę, dla podźwignięcia dusz, powstałych z błotnej topieli pognębienia.

Wypadł z rozchylonych ust profesora zimny ogarek cygara, a grudy jego rozpylne osypały go całego niby pozapustnym popiołem. W salonach przyległych zalegała cisza pustki i dosytu.

Na twarzy w niepamięć już się rozwiało to uśmiechnięte niedawno zadowolenie wobec starych foliałów kształtu,

starego papieru lekkości, starych liter stylu i rzadkich książek ciekawego wnętrza. Na swej zadumy bibliotecznej koniec, książek po ciemku nie widzący, nie dbał już o nie w myślach. Przed oczami duszy stała mu Arka tysiącoletniej mowy narodu, a w niej *Księga* na harfie.

I tej harfianej księgi zakon nieodwołany.

Otrząsł się przecie i, odpędziwszy widma z przed oczu, a ponure myśli z czoła, szukał wyjścia z labiryntu półek. A gdy się wreszcie za ich kręte ściany wydostał, perłowy świt docucił mu oczu; a słuch, ciszą w sobie skupiony, rozproszył świergot nagły za oknami. Wstawał ranek. Oto promień pierwszy już się przez szyby przebijał, w wir i kłębienie się rącze, rzucając smugą świetlną pyły biblioteczne. A gdy za tym ich niestatkiem w słońca pozłocie skierowały się oczy w głąb pokoju, zatrzymał się mimo woli.

Na skórzanej poduszce przy kanapie napół klęcząca, głowę nad splecione ramiona ledwo dźwignąwszy, dumała tutaj najmłodsza z widzianych dziś kobiet: rzekłbyś, zapamiętała się oto w przydługim pacierzu, zmylonym pod koniec myślą nie dobrą.

»Owóż i życie!« — pomyślał pod te świegotne za oknem rozgłosy radosnego nieładu i pod to rącze, zwichrzonego niestatku pełne, kłębienie się słonecznego wiru wokół tej głowy dziewczęcej.

Wyszedł wreszcie. I znów w ciemność wstąpił. Zasłony

na oknach były tu jeszcze nie podniesione, a światła pogaszono w żyrandolach. Woń perfum pomieszanych, kurz i duchota jakby od potu ludzkiego zawisały tu w powietrzu pod jedynej świecy i gromniczne jakby płomienie.

Usłyszał z drugiego końca wielkiego salonu utykania czyjeś nierówne, ciężkie, w podrywach sapliwych, a zanim rozejrzeć się zdołał, spostrzegł na ścianie przeciwległej cień wielki w ramienia i gestu wyolbrzymieniu upiornem. Pod świecy żółte mruganie miotał się ten cień na ścianie jak strzyga, a gdy ramię z kijem wyrzuciło się ku górze, sięgała ich sylweta wydłużona aż hen na pułap. Lecz oto zsunął się nagle ten cień z sufitu, zmalał na ścianie, zczerniał jeszcze bardziej i oto wyrył się nagle orlim profilem zgrzybiałej głowy, zwiędłej w dziób niedomknięty. Słychać kroki kulawe i pomruki starczej ze sobą gawędy. Coś, jakby klaskanie tego dzioba, czy też syk urągliwy.

Głuchy, w swoim świecie przeszłości i dumań jak małż zamknięty, tem wałęsaniem się po nocy i nagłem ożywieniem na odludziu, jak kot tajemniczy — strzygą i upiorem przeszłości snuł się starzec w postypowej głuszy rojnego niedawno salonu.

Oto stoi okrakiem pośrodku pokoju, o kij naprzód wystawiony oburącz wsparty, grzbietem pogarbiony, głową hardy i ptasim jej profilem na cieniu zacięty. I kuje laską z uporem dzięcioła w dywan głuszący.

— Przyszło i na was! — słychać w tym sykliwym bełkocie. — Przyszło! Wojna *to* zawsze rozpoczyna... Po całej ziemi waszej pójdzie!

Nad tą ptasią głową dygoczącą na suchej szyi chwiał

się wciąż u sufitu krąg światła, zaś postać całą opływała otocza żółta, w rozbłyskach i dogasaniach świecy nieustannie mrugająca, rzekłbyś, tej duszy uparte kołatanie się w ciele starczem.

»Owóż i życie!« — powtórzyło się profesorowi mechanicznie, jak to ludziom książkowym zwykły nawracać takie konstatacye bierne wobec rzeczywistości. — Ledwo wychylonemu z półek bibliotecznych błędnika, pomieszały mu się wrażenia: to dogasanie powolne świetlnego dysku nad sędziwca czołem i tamten wir słoneczny nad głową najmłodszej tu dziewczyny wydały mu się niby dwie pochodnie sił żywotnych na obu krańcach zgnuśniałego tu życia...

Zły na swych kroków skrzypienie, cofał się ostrożnie w drzwi najbliższe.

Aliści i tu zatrzymał się na samym progu. Zorzą miejskiego świtu podpylną, ceglastą obrysowana, widniała tu w oknie postać męska jak na ekranie płomiennym. Ociężała i wielka, tyłem do szyb zwrócona, z twarzą pod ten blask na wejrzenie zatartą, spoglądała tylko przed się głową graniastą i skośną opaską czoła; zaś na tym bandażu, — profesor zerwał na czoło okulary i rozchylił mimowoli usta, — zasychała skrzepem przesiąkłym plama krwi.

Mówił coś w głąb pokoju. Słuchały go z ciemnego kąta pod piecem oczy wielkie: na nizkiem krześle, chustą i łokciami w sobie zebrana, zawisała spojrzeniem na jego wargach postać kobiety, wyzierająca z swego zatulenia twarzyczką kostną o zapadłych skroniach i gładkiej firance

włosów. Znużenie nieprzespanej nocy barwiło policzki ostrym rumieńcem gruźliczym.

— Te nasze nadzieje dzisiejsze na nich tutaj! — parskano pod oknem. — A jakże! Sypną pieniędzmi, majątki oddadzą, dlatego tylko, że się kilku zapaleńcom roi nowa era z tej wojny alarmem. Zwłaszcza oni się tu przejmą czemkolwiek! ...Zaś naszym doktrynerom przez rok tylko coś powtarzaj, na drugi rok przysięgną na to, jak na artykuł swej wiary. Z wojną się to zacznie. Zaraz! — parskał. — Samo się zrobi. Nerwami się zrobi. Robotnicy. No właśnie! no właśnie! — sarkał urągliwie. — Te studenty wagabundy i ambitne po czwartakach niedouki czują tylko tę zapalną nerwicę tłumu miejskiego, — sami z tychże! »Dusza ludu« — bo to się u nich duszą nazywa! . . . Pamiętacie, jak to Jędrzej Niemsta z Kęt przyszedł do nas po raz pierwszy, jak we drzwiach niepotrzebnie z wsiowego nawyku łeb chylił i nogę podnosił, niby próg chałupy przestępując, i jak w ten nasz szwargot zagadywania wszystkiego wygłosił od progu, samemu sobie tem przyjściem do nas uroczysty i jakby namaszczalnie spokojny: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«. — I tylko krawczyna jeden jąkliwy porwał się było z miejsca, zapatrzony w tę chłopską sukmanę, krztusił się, krztusił językiem w gębie i wyrzucił nagle w ogniu twarzy całej: »Na wieki wieków Amen«. — Tak się te dwie »dusze« odrębne powitały przy nas. I właśnie z ich to zahaczenia się czuciem szedł jakby spokój w ogniu, ład w alarmie i wytrzymałość kamieni. Krzepiły się przytem i nasze dusze, ale już

instynkty nam to zdziaływały, nerwom na podtrzymanie idące, — nie serca, nie głowy.

Twarz w kącie zatulona słuchała go kobiecem zasłuchaniem wiary: każde słowo uderzało zda się w te piersi i przepływało wskroś przez ciało nikłe. Te jego rozmyślania twarde, które w siebie brała, czy też poranka świeżość wstrząsały nią raz po raz jak osiną.

W tem pobiesiadnem ociężeniu samego powietrza, gdzie z cygarowymi dymy i potraw zapachem mieszały się jeszcze kobiet perfumy i poty, echa ich pogwarków lubieżnych i szelestów jedwabnych, w tę godzinę świtu zjawiły mu się, niby niewychmielonej głowie, wyrosłe z pod ziemi postypowe upiory.

Wymiotła pustka dosytu taneczne i biesiadne pary. Pozostało tych czworo.

I pulsy skroni powtórzyły mu nagłem przypomnieniem myśli niedawnych:

»*Vitae lampadae traditae*«.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Z klęczek nie powstająca, zasłuchana mimowoli w to zerwanie się ptasiego świergotu na dworzu, nie odrywała Nina rąk od twarzy, bojąc się jakby ujrzeć dzień jasny. Gdy w rojnym przed chwilą salonie głucha cisza zapanowała przed świtem, a wszystko, rzekłbyś, w nory snu się pochowało, dysze w niej oto i zipie zło popełnione jak nietoperz zaskoczony słońcem. Blado i niewyraźnie przypominało się jej wszystko, co się poza tem dziś tu działo: to wojny obwieszczenie, pochody i rozhuki na ulicach, ów ranny, któremu opatrywała głowę, goście z przedpokoju, widziani przez dziurkę od klucza, potem opowieść jakaś straszna i jej spłonienie, tak dla niej samej niespodziane, a które tamtych ludzi tak zastanowiło: — nagły wir rzeczy wielkich i obcych, w których zatopiła tak skutecznie odpychane przypomnienia, aż do tej chwili samotności, w której zło popełnione za gardło ją chwyciło i zatrzymało wspomnienia na jednej tylko chwili.

Niedawna rysa swawoli, ciekawości i zuchwałego porywu naprzemian wcinała się w tej chwili w znużone oblicze rysą twardą, wyczuwalną jak ból. Dłonie ścierały

uparcie z twarzy jakby lepki wstręt do siebie, gdy nieustanne przypominanie jednej chwili ubiegłego wieczora chłodem przerażeń przebiegało przez całe ciało. Zaś ta smuga światła, która przez kurze i zaduchy tej nocy kładła się jej na głowie, niby ciepłej dłoni dotknięcie, rodziła w niej głuche poczucie, że z tego wiru i roju ludzkiego tyle tylko pozostało: ciężkość jej serca i głowy bezradność.

Usłyszawszy szelest sukien, zerwała się z kolan: na pół przytomna, słońcem oślepiona, zatoczyła się jak pijana.

Po długiej dopiero chwili oryentuje się, że to Lena, która ją tu dziś u siebie przenocować miała, stoi przy niej, głaszcze ją po głowie i rozpytuje o powody łez zastygłych w oczach.

Odęła się wobec tej tkliwości niedbałej i łaskawej pobłażliwości gestu: odczuła w tem instyktownie ową, rychło przez mężatki nabywaną, mądrość cielesną z jej sceptyczną pobłażliwością dla szamotań się dziewczęcych. A jednak dosytni spokój jej źrzałych kształtów udzielał się jakby przez dłoń głaszczącą. W cielesnym wiewie kobiecej doli upraszczała się jakoś spokojnie cała zagadka życia, a przygnębienie jej niedawne zamieniło się w niepokój rzewny i bezradność zahukaną, rade przytulić się bierną myślą do cudzego bodaj szczęścia.

Lena wskazała jej pokój dzisiejszego noclegu i wiodła tymczasem na krótką pogawędkę do swojej alkowy.

Lecz w progu zatrzymały się obie zdumione.

W mgłą jakby zasnutej poświacie ampli stała Ola owinięta w swą rotundę. Na podniesionym kołnierzu i twarzy bladej, niby w podwójnej ramie w ton zatartej bieli, pul-

sowały te jej żółte oczy swym niepokojem ciągłym. I zatrzymały obie kobiety w progu niemem pytaniem przerażenia. A postrzegając, że witało ją tu tylko zdumienie, stała się wraz cierpką.

— Jak myślisz, Leno, — rzekła, zamykając powieki jakoś boleśnie, — jak myślisz: gdyby tak gdzieindziej na świecie, u innego narodu, wśród innych kobiet?... Przecież wieść taka dobywa kobietom z serca... no, to ostatnie!

— O czem ty mówisz?

— O wojnie.

— Ach, tak!

— Więc ty nie pomyślałaś nawet o tem, — mówiła, nie otwierając wciąż oczu, — że oni idą, będą szli tygodnie, miesiące, lata może pod twojemi oknami w przemarszach głuchych — na niepowroty.

Nina zipnęła gwałtownie.

— Kto taki? — pytała Lena cierpko.

— No: mężowie, bracia, kochankowie...

— Tak się to mówić zwykło w takich razach uroczystych. Tylko cała wzniosłość tego nie jest chyba po naszej stronie. Będą szli niemo i tępo. Cóż innego dać im mogą kobiety? Zaś mężowie nasi? — zaśmiała się — jeśli któremu z nich branka rzeczywiście grozi, — poczęła machać niedbale ręką, — wykręcą się, wyszachrują z tego »ambarasu«, na to, by tąże kartą fatalną zagrać może wnet na swoje zyski i dochody w szczęku broni cudzej.

Tu Nina podniosła na nią oczy zdumione.

— Mówisz tak, jak gdybyś chciała...

— Być wdową po niewczesnym bohaterze, dać się spa-

lić na stosie wraz z jego koniem i być pochowaną we trójkę pod takim wielkim kurhanem. Uspokój się, moja droga: nie marzę o tem. Chcę tylko powiedzieć, że nasi mężowie, tak bardzo zresztą słusznie, roztropni i wykrętni w wojnie pokojowej dają nam wesołą naukę giętkości. Nie zmarnowaną. Oj, nie!

Rzuciła się niedbale na łóżko. Z dalszych półsłówek raczej i przemilczeń Oli dowiedziały się rychło obie, że ów młody muzyk, który jej tu szukał, otrzymał był przed kilkoma dniami jakieś wezwanie wojskowe, do którego nie przywiązywał zbytniej wagi: wynikało tedy, że i on będzie musiał iść na wojnę. I bodajże jego spodziewała się ona zastać tu jeszcze. Obie kobiety, wiedząc o tym panu Tańskim, z którym wyszła, i od którego prawdopodobnie powraca, spojrzały na nią z błyskiem przerażonego zdumienia za to dziwne przeplatanie się uczuć jednego wieczora. Pod tym ich wzrokiem zatuliła się cała drżąca i przybladła jeszcze bardziej, a wąziutkie dłonie, wysunąwszy się z ukrycia rotundy, sięgnęły jak macki drżące skroni obu. Trzepotało się w niej serce, a ta nerwów dygotka nasycać wnet jęła atmosferę samą. Jej oczy ogromne zdawały się wciąż dziwić, że wszystko naokół jest tak spokojne, jak gdyby nic nie zaszło: jasnem było, że zwichrzone w sobie istnienie chwyta się całą siłą wyobraźni wici zdarzenia wielkiego w nadziejach, że oto świat się odwróci, życie przeinaczy, dusza z sobą uładzi i odnowi się w czemś nieokreślonem.

Jej przyjaciółka tymczasem, cała na wznak wyciągnięta,

pogoniła swoje myśli. Założywszy pod głowę ramiona obnażone aż po pachy, zapatrzyła się gdzieś błędnie.

— Ha-ha! ten pułkownik! — roześmiała się krótko. — Widzisz, ja zaczęłam już było rapsod wojenny i uderzyłam czołem — w śmieszność... Ale co ty tak na mnie patrzysz, Nino? Oczy zaokrąglone takie, pytające, i te łzy wciąż jeszcze na nich zastygłe. No, ciupa, — co tobie? Chodź tu do mnie, przysiądź się.

— Ja ciebie wcale nie rozumiem!

— I nie trzeba ci tego, dziecko, bynajmniej do szczęścia.

— Tylko smutno mi strasznie. I za siebie, i za Olę, i za ciebie...

— To sobie popłacz troszkę. Tutaj! — mówiła, pochylając jej głowę ku poduszkom.

Jakoż Nina nie kazała sobie tego powtarzać po raz drugi, bo ledwie pieściwych puchów czołem tknąwszy, wybuchnęła spazmem w łzy zasobnym, rozdygotanym bezradnie, wypłakującym sowicie w poduszki cały rozstrój duszy dzisiejszy.

— Patrz, twoje »nerwy«! — zwróciła się Lena z wymówką do Oli. I bynajmniej nie starając się uspakajać tamtej, muskała ją po głowie, jak gdyby mówiąc: »Wypłacz się, wypłacz!« I tak ją głaszcząc, nie przerywała sobie rozmowy; podnosiła tylko głos wobec tamtych spazmów.

— Nie wiem, jakby tam było gdzieindziej na świecie, wśród innych kobiet, wiem tylko, jak u nas być musi. Właśnie tak! I gdyby mnie wraz z tobą zebrało się również na łzy, opłakiwałybyśmy pono przedewszystkiem sie-

bie... No, dosyć! — zwróciła się surowo do Niny, potrząsając jej ramieniem. Dosyć już!

Tedy i Nina zdecydowała niebawem, że już dosyć i wyciągniętą w tył ręką prosiła o chustkę do otarcia łez.

Zaś Ola, przeniósłszy się tymczasem bezszelestnie jak cień w kąt łóżka, u ich nóg wyświecała swe oczy żółte jak ta sowa, i zahukała nagle głucho.

— Inne byłybyśmy wszystkie!... inne!... inne!

Aczkolwiek brakło w tem wszelkiego »gdyby«, Lena nawiązała to łatwo z tokiem poprzednim:

— Mocniejsze, prawdziwsze! — dorzuciła.

I równocześnie widząc obzieranie się Niny, zwróciła się do niej łagodnie. »Tam, duszko, jest zwierciadło, idź, popraw się po płaczu«.

— One są, naprzykład, mocniejsze i prawdziwsze przed sobą, — hukała tamta swoje.

— O, la! la! la! — odmachnęła się oburącz.

— Jakie tu u ciebie wszystko eleganckie! — odezwała się Nina śpiewnie na pokoju z przed lustra.

Roześmiały się mimowoli.

— Nie drwijcie ze mnie!... Ja tak sobie tylko: dla oderwania myśli.

— Masz racyę, duszo! My wszystkie odrywamy tak nieustannie myśli od siebie, i nie tylko od siebie, ale i od tych objektów płci męskiej — ku rzeczom i zwierciadłom. Stąd Oli »przykłady« powiadają o nas, że jesteśmy eleganckie... Siadajże tutaj, a raczej ułóż się wygodnie.

Lecz ona tę ciekawość, przeniesioną w oczach z przed zwierciadła i luksusu otoczenia całego, przeniosła zezem

badawczym na strojność negliżu swej przyjaciółki, na jego barwę jakby stosowaną z mgławo-fioletowem światłem w pokoju, na te jej ramiona jak śnieg białe, zarzucone pod szopę włosów, w tym półmroku jak gdyby świecącą. Pręży się oto niedbale, pod lekką materyą swego stroju zarysem potężnych kształtów prawie widna i na puchach zapadłych jak rzeźba twarda i wypukła. Zapatrzona ku górze dyszy leniwie torsem jak z marmuru kutym, a rozchylonym aż po brodawki nieomal. — A mimo to wszystko wydała jej się teraz właśnie jakby mało cielesną: nazbyt już wyniosłą, czy surową w swych kształtach dużych. I przypomniał jej się niespodzianie jej dziad, ów major sędziwy przy stole, poczem brat ponury, który lat dwadzieścia był na onych »niepowrotach«. — Złośliwa myśl podsunęła w tej chwili sztywne baki barona z rybim grymasem warg. I w tejże chwili w otrząsie nagłym zbudziła w pamięci dziś tu słyszaną opowieść o samobójstwie Woydy, tuż w sąsiednim pokoju. Spoglądała na przyjaciółkę z chmurną już nieufnością.

Ta druga tymczasem nie odmykała powiek, goniąc pod niemi swe udręki dzisiejsze. Jej nerwów dygotka wibrowala w niej wciąż nierównym tętnem pulsów, szły te tajemnicze prądy nerwów przez światło czy powietrze, uderzając w zopieszałe i puchem zagrzane ciała tamtych kobiet.

— A oni tymczasem idą, — rozległo się znów głucho, — po chałupach, poddaszach, »czwartakach« zbierają się na swe niepowroty. A niejeden z nich nie wytrzyma

może na sobie tego: »po co?« — obcym ludziom w miedze pod ich kule iść nie zechce i będzie wolał sam...

— Na litość boską, pani, — zamilknąć proszę!

Z Niny to piersi wyrwał się niespodzianie ten zgoła obcy głos: o cały ton niższy, piersiowo głębszy i jakby o długie kobiece lata dojrzalszy.

— Aa?! — pochyliła się nad nią Lena. — Więc i ty, biedna? Ton był aż za wiele mówiący.

Przewinęła się pod jej ręką i ukryła twarz w poduszkach.

— Hm!... Nie pytam nawet za kim. Mam smętne wrażenie, że tylko nerwów i wyobraźni winna ci była oszczędzać Ola. W przeciwnym razie nie byłabyś chyba teraz tutaj, między nami; lecz tam! — gdziebądź, przy nim. A potem: bodaj za nim.

— Za markietankę, — wtrąciła Ola tak niespodzianie trzeźwą objekcyą po niedawnym koturnie płaczki wojennej.

Na te słowa podjęła się Lena prężnie i opuściwszy nogi przysiadła na łóżku.

— Choćby za psa, jeśli nie można inaczej, — rzekła spokojnie, lecz z takim zaciskiem szczęk, że każdy wyraz przebijał się powoli i twardo.

To nieoczekiwane jej wystąpienie stropiło ogromnie dziewczyny obie.

— I psu nie pozwolą.

— Ale kobiecie, gdy się zatnie na swojem, wzbronić nie mogą i krzyżem naznaczyć muszą — czerwonym.

— Oo!...

— Matka moja szła za ojcem w tamteż kraje jak pies — za jego nogą skutą.

— To jest co innego! — broniła się Ola ze zwieszoną głową. — Bo zgodzisz się, że te akcesorya oraz insygnia »siostrzane« dla... No, przecież chyba rozumiesz? A przytem sama mówiłaś: bierni, niemi i tępi w musie. Jakąż siłę uczuć w nas to niecić może?...

— To też Bóg litościwy odebrał nam dzisiejszym tę władzę kochania. I dał nam wzamian ciekawość, imaginacyę, egzaltacyę i nerwy; a w nadmiernej hojności jeszcze i roztropność samozachowawczą, — jej giętkości uczą nas mężczyźni... O, ja o sobie przedewszystkiem mówię, — dorzuciła szorstko; lecz spostrzegłszy, że ta jej szczerość wgnębia znów Olę w jej nerwowe zatulenie, pocałowała ją na uspokojenie.

— No, my między sobą możemy być chyba zupełnie szczere... Patrz no lepiej, jak to Nina na nas spogląda, uwięziwszy płacz w zagryzionych ustach, — bo oczy nie mają czasu: oczy łowią słowa na cudzych wargach, a myśl mota i mota je koło swojej zatajonej udręki. — No, co ty, ciupa, tak ciągle?

— Nic.

— Tak cichutko? Ot co ja wam powiem na pocieszenie. Dawnymi czasy, w szczęku broni i burzach namiętności rozpaczały kobiety po kościołach gotyckich: »Przebacz nam, Panie, bośmy kochały tak bardzo!« A Bóg tych kobiet kochających bywał nielitościwy: ile stąd rzewnych ballad i legend w wierszach pięknych, którymi żywiły się po zamkach wyobraźnie kobiet, własne jak woń kwiatów. Nam dzisiejszym wypada wzdychać po alkowach: »Przebacz nam, Boże, bośmy tak bardzo nerwowe«. I ten Bóg

kobiet nerwowych okazał się . . . dobroduszny. Wynikają stąd zaledwie brr! szpetne ballady plotek, któremi żywi się cuchnąca jak rynsztoki wyobraźnia tłumów miejskich. — Tego się strzeżcie, dziewczęta moje: zamykajcie okna od ulicy!

Nina leżała znów twarzą w poduszkach i ściskała oburącz skronie.

— Czy do Boga dobrodusznego trzeba się modlić nerwami?

— Nie, sprytem mężów naszych.

— Och, wszystko to jest bluźnierstwo słów, śmiechu, i ciekawości, i beztroski, — i przerażenia może jeszcze: wszystko, co ja dziś złego zrobiłam! Ja chyba nawet myślą nie zgrzeszyłam, bo myśl . . .

— Śpi tymczasem.

— A złe postępki nasze, — wtrąciła Ola głucho, — to tylko bluźnierstwo uczuciom, bo zmysły. . .

— Drzemią jeszcze.

Tu Niną wstrząsnął ów gwałtowny chłód przerażenia, powracający zawsze ze wspomnieniem tamtej jednej chwili. I poderwawszy z poduszek postawił na klęczkach.

— Więc po co?! Więc skąd?! Więc dlaczego tamto się stało?! Przecież to wszystko jest takie okropne, że . . .

— I dyabeł nie zrozumie, i Bóg nie spamięta.

Nina łkała pod tłumikiem dłoni. Ola zatulała się w sobie, zwierała jak ukwiał, a ręce wąziutkie na chudych ramionkach sięgały skroni bolesnych niby macki drżące.

Przyciągnęła je do siebie i ogarnęła obie w ramiona:

— No, cicho, dzieciaki! Cicho, biedniutkie moje. By-

wają wprawdzie przezorniejsze od was, ale nie koniecznie lepsze. Zaś te naprawdę lepsze... Pocieszcie się: takie są smętki czasów dla tych, którym losy nie zapewniły wyrostu i wypasu jałówek. Tylko jedno, Olo: nam bardzo nie do twarzy z rapsodami wojennymi; nam wypadałoby raczej składać gałązki oliwne dobrodusznemu bożkowi pokoju... zastoju! — dorzuciła, opadając ciężko na poduszki.

I wtedy dopiero schwyciła się za głowę.

Zamilkły na dłużej w okopach zewsząd pościąganych poduszek rozłożone na wielkiem łożu Leny jak na dywanie. Czasami któraś unosiła głowę, lecz słowa niepewne spadały z powrotem w pierś i zadumę. Tylko Oli nerwy napięte nie wytrzymały na sobie ciężaru milczenia.

Z histerycznym uporem powracając po kolistych bezdrożach wyobraźni wciąż do jednej myśli, jęła powtarzać swoje:

— A oni tymczasem idą. W tejże chwili: tam na czwartaku, — gdzie ów muzyk. Wiem! Widzę poprostu! — mówiła, przymykając powieki. — Gotuje się w drogę, uprząta przeszłość ubogą pośród rupieci sprzętów lichych. W śmietnik nadziei, wszczynań zaledwie, pamiątek może jakichś — rozpadło się w tej chwili życie całe przed tą bladą twarzą, na której przeznaczenie wypisuje w tej chwili czarny krzyż zatracenia. Za co? Jezus Marya, za co?... I po co?

A gdy te cienkie i drżące palce nacisnęły skronie rozbolałe, wówczas rozchylały się oczy pod tym bólem sobie sprawionym. I spoglądały swym żółtym blaskiem jak pijane: rzekłbyś, niedocucone z oglądanych dali w napół świadomą rzeczywistość.

Lena podjęła się przezornie i zbliżywszy się do niej chwyciła ją mocno za ramię.

— Poniechaj tych myśli, mówiła surowo, kładąc jej zarazem dłoń chłodną na czole. — Tyś nam tu gotowa jeszcze jakim atakiem zakończyć... I co ty tam widzisz ciągle pod tą powieką drgającą?

— Wciąż to samo, od chwili tamtej wieści.

— Mianowicie?

— Krew.

Lena otrząsła się głową.

— Wszędzie! — szeptała tamta, leżąc pod jej ręką na poduszkach z oczami wciąż przymkniętemi; wargi drżały kurczowo, twarz bladła jak chusta, a każde słowo zdawało się sprawiać mękę. — Wszędzie! — powtarzała mimo to. — Na ulicach, gdy szłam: kałuże czerwone, gęste... Na murach chlupnięte plamy... Przyjdzie krew daleka... Bryzgnie na mury... Wszędzie!... Lata!... Będą!...

— Co ty bredzisz?!... Przestań mi natychmiast!... Tybyś w tej chwili i wróżką być mogła, — bagatelizowała umyślnie tonem tem niedbalszym, im bardziej niesamowitą wydała jej się w tej chwili ta dziewczyna. — Tylko naokoło takich wieszczeń musiałyby się chyba odbywać dzikie poszczęki mieczów i tarcz.

— Zawsze jednakowo dzicy.

— Mężczyźni, gdy zbrojni? Być może. I kto wie, może i my zawsze jednakie wtedy czujnością niepokoju, przeczuciem. Może to, o czem tu mówiłaś niedawno: to ostatnie na dnie kobiecego serca jest właśnie tem, co w tej chwili odczuwasz ty. Tylko że na to trzeba mieć serce zwichrzone, zburzone rozterką do tego dna ostatniego. Roztargano ci duszę za ciało w taką aż potworność przeczuleń. Rzuconoć biedną w te miękkie, gadzie łapy nerwicy. Nie daj się tej zmorze. Bo to naprawdę zmora jest. Wiedzie Bóg wie gdzie. Aż myślom strach.

Ten prąd opanowania siebie, jaki płynął z pełni zdrowia i sił jej mocnych kształtów przez dłoń na tamto czoło rozbolałe jął się jakby zmagać z nerwową dygotką, która uderzała nieomal iskrami z tamtej głowy. Jakoż jej sił żywotnych sprzęgłość i uładzenie wewnętrzne zwyciężyły rychło niesamowitą zmorę histeryi. Ola jęła obie jej ręce przyciskać sobie do czoła, oczu, kłaść je na płask na ciemię. Pozwalała na to z obojętnym niesmakiem, rozumiejąc instynktownie, że jakiekolwiek skrzepienie wstąpić może w takie galaretki jedynie w przepływie sił cudzych: że na te kalectwa duszne okład dłoni mocnej jest jedynym kataplazmem.

Jakoż tamta ukoiła się niebawem tych swoich sił rozprzęgłych poddaństwem, uciszyła się oczywiście na swój sposób: w znużenie raczej, niźli ład.

Wtedy w Lenie wziął górę niesmak: stała się twardą.

— Abyś nam tu nie powracała wciąż do tych samych spraw dręczących twe sumienie, wolę ci sama dokończyć wszczętych rapsodów. Z onem tępem »za co?« i ponurem

»po co?« powlecze się przed tamtą bladą twarzą i twego oblicza widzenie... na otuchę! Ile warte cele, tyleż i otuchy, mówiono mi niegdyś. Myślę, że my wszystkie mamy do rozdania tyleż otuchy serdecznej, ile ty w tym wypadku. I równie prawdziwej. Ale na nasze usprawiedliwienie: na równie dzielne i samodzielne ich cele.

Przerwała sobie, by przejść się przez pokój i poprawić zarazem włosów nieład. Lecz krok jej stawał się przytem coraz to powolniejszy w myśli napływie. Przysiadła na krawędzi łóżka i, prężąc ku dołowi splecione ręce, zadumą z lekka rozkołysana, mówiła głębszym tonem przypomnień:

— Ile warte ich cele, tyleż i nasze dla nich otuchy. Kto działa pod musem, tego przekleństwem jest, że pielęgnuje w sercu fałszywe ukojenia, jak ten, co działa nierzetelnie. Tak mi mówiono. I aż do końca! Bo gdy życie się przerwie, skłamane sercem widmo oczy mu zamyka i całuje usta biedne... Zresztą nie moje to myśli, ani słowa nawet nie moje, tylko na pamięć prawie wyuczone w przypomnieniach nocy bezsennych. Ktoś, kogo zapomnieć nie mogę...

A wobec czujnego zapatrzenia się przyjaciółek, powtórzyła ostatnie słowa z wyzywającym prawie naciskiem:

— Ktoś, kogo zapomnieć nie mogę... chciał mi dać w duszę tę wiarę, że wartość życia i śmierci naszej stoi w łączności dalekich bożych przeznaczeń od siły uczuć i głębi namiętności naszych: że one się wzajem w niebo wznoszą i krzyżują w kole żywotnego ruchu. A zdarza się w dziejach, — mówił, — że zatrzymuje się to koło w nie-

mocy... Tak powiadał. Pamiętam wszystko!... A gdy to koło gdziekolwiek w gromadzie ludzkiej stanie, wówczas wzorzystość życia naszego, choć dla oczu pospolitych zda się taką, jak wszędzie na świecie, to przecie każda tej tkaniny niteczka jest barwiona w obłudzie przed sobą, w kłamie serdecznym. A wtedy, — mówił, — wam kobietom wysychają krynice: wszystkie my wtedy jednakie, nad mętnemi źródłami sztucznych swych uczuć, lichego ich życia i żałosnej ich śmierci.

Takie mi smutne nauki dawał. Więc zasłuchana całem zatrwożeniem duszy pytałam: jakie moce zdołają odeklnąć uczuć nieprawdziwość, życia fałsz i bezruch jego? Powiadał:

»Było niegdyś przed tysiącami lat istnienie ludzi tak zastygłe między życiem i śmiercią, że po dziś dzień zostały nam te żywe w śmierci mumie. A ta zamra dusz zmusiła wtedy najmędrszych po raz pierwszy w dziejach świata do myślenia nad tajemnicą ruchu człowieczego życia. Co umyślili, było wtedy klątwą zakryte. Tylko w egipskiej gdzieś grobnicy rozmyślań takich pozostawili dziwny obraz: zamordowanego boga, z którego serca wyrastają kłosy siewne: odnowa życia... A potem, — mówił, — po dalszych tysiącach lat, gdy życie wyczerpane z sił swoich stanęło znowuż w bezruchu dusz, jawił się ludziom Bóg inny, — zamordowany na krzyżu, — jawił się człowiekiem. Więc odtąd nie było to już tajemnicą sił ducha, lecz wiedzeniem o niej: wiarą! — Tak mówił. — A gdy po nowych tysiącach lat u innego znów narodu ruch życia stawał i stawał ciągle, a Boga nie było, wówczas ludzie z wiarą ową targali, targali raz po raz koło

bezruchu śmiercią swoją. Wtedy była wielka prawdziwość uczuć ludzkich i pogodna ważkość życia i śmierci: był ruch!...

A wówczas krynice nasze kobiece poiły uczuć i namiętności potęgą«.

Tak powiadał. Taką mi studnię na piachu życia mego kopał. A nie dla mnie tylko. I tak zatrudnionego...

Zacięła się w przydechu tak głębokim, że zdawało się dziewczynom, że ten żal głęboki chyba w żyły jej się z piersi rozpłynął, gdy mimo wszystko spokojna, kończyła po chwili.

— Tak zatrudnionego w onej studni ja sama przysypałam piachem mego życia.

Odeszła w głąb pokoju, dokąd nie dochodziło ani światło ampli, ani dogonić jej nie mogły zaognione słuchaniem oczy dziewczyn. W mrocznej oddali znaczna była tylko wyświetlającą się plamą na poły rozpadłych włosów, z któremi porały się ramiona białe. Pochwyciła z kąta jakąś chustę ciemną i otuliła się nią cała, jakby powstydziwszy się nagle tych włosów obfitości, tych ramion nagich, tego tchnienia ciała od piersi nieprzysłoniętej i swego stroju barwności.

I tak wsiąkła w oćmę pokoju, sama w cień zatarta.

By po chwili podjąć znowu w tym musie pod wspomnień nawałem.

— I onego wieczora ja to właśnie, ja sama, jak ten skłamany sercem wid otuchy zamknęłam mu oczy i ucałowałam usta zimne, — zadrgało krótko w ponurem przypomnieniu warg.

Tem dziwniejszym i jakby rozczarowanie niosącym wydał się dziewczynom po długiem milczeniu głos jej jakby w sobie zacięty i hardy:

Zresztą ja nie dam pogiąć się nawet i upiorom. Im gorszą się czuję, tem bardziej upartą być muszę: ot, tym kobiecym ratunkiem siebie samej przed sobę. I myślę wtedy: może wszystkiemu było winno to, że ja się rodziłam na taką, która raczej jak pies za skutą nogą pójdzie, niźli ptakiem za cudzemi skrzydłami poleci. I nie spadnie, nie spadnie nazbyt rychło w życia fałsz, już potem, — bardziej niźli kiedykolwiek, — nieunikniony. Bo mi te drogi gwiezdne każdy dzień życiem uśmiechnięty gasi. Mój dyabeł trzeźwości szepcze mi wtedy do ucha: »A te wysyłania rojeń na gwiazdy nie dziejąż się one także dla tego, że życie stoi zatrzymane? Tam drogi wolne! Osobliwie dla tych, co są właśnie jak te mumie na wspak: martwi w życiu powszechnem tem niedołęstwem swojem własnem. Zaś, co górnie pomyślane, to ładnie powiedziane, co ich do łez szczęścia roztkliwia, maż to naprawdę dawać życiu... siłę i hart? A tak roją oni przecie. Czy aby te nici ich właśnie najbardziej wzorzystych tkanin nie są barwione w kłamie wobec życia? I czy ta ich krynica nas... dzieci bezruchu, — nie poiła nazbyt długo — najtragiczniejszym kłamem serca? Osobliwie nas, kobiety? Czy ta nieprawdziwość nasza i życia okolnego nie pochodzi i stąd? Romantyczne my tu wciąż jeszcze bywamy, gdy się zdarzy, że duszą ocknięte; — och, i jak bardzo zapóźnione wobec świata całego! I w jak żałosnej karykaturze tego, co było niegdyś! I w jak koniecznej może? Zwietrzała siła wina

starego w jad bezwiedny dla dusz... Myślę czasami: czy to nie było jemu trucizną właściwą, którą on zgotował, a ja mu podałam?

Lecz w tejże chwili załamał się jej głos w niepewności: zmilkła. By po długiej chwili podjąć głucho, w zatłumieniu:

— Bluźnię pamięci potwornie! Odrzucam na niego jak kamienie, ledwie na wspak obrócone, najgorętsze dary jego słowa. I tyle tylko mocy w mem kobiecem myśleniu.

Tamte obie z trudem ogarniały już jej myśli; z tem większem skupieniem słuchały tego głosu, dochodzącego z ciemni pokoju. Dziwnym aż do niepokoju stawał się dla nich ten targający się w biegunowych sprzecznościach spowiedny ton duszy, jakby wycofanej tam, w ciemnię — z tych tu luksusowych ram jej kobiecego ciała. Słuchały:

— Bluźnię. Purpurę marzenia, złupioną z ofiary, obracam na nice rozsądku i stroję w nią cielesną trzeźwość kobiety. Każdym postępkiem moim za dnia to czynię. A w samotności stoję pod pręgierzem jego spojrzenia, w którem zamieszkało me sumienie. I pytam, — ot jak teraz: — »prawdaż to, że jabym poszła za cudzą taczką?« Odpowie: »brat twój był tam lat dwadzieścia; myślałaśże o nim wiele?« — »Dzieckiem z tą myślą wzrosłam; nie znałam prawie przed powrotem. Zresztą: bratże to? A ja jak kobieta pytam. I nie żebym czynić to chciała, lecz abym wiedziała, jaką jestem! Czy poszłabym za kimś — kochająca?« — »Czem? — odpowie mi: — ciekawością, wyobraźnią, egzaltacyą, wspomnień mętem, ciała ogniem? Niedaleko zawiodą, — one zawsze prowadzą tylko w koło

bez wyjścia. Wszystkie wy dziś jednakie w tem zaklętem kole uczuć sztucznych, lichego ich życia i śmierci żałosnej«... Tak się oto błąkam teraz ślepa tam, gdzie mnie porzucił: w szukaniu prawdziwości swojej. I pytam jak wtedy, w grób rzucam pytanie dawne: jakie moce zdołają odeklnąć ten zalęgły fałsz uczuć i życia, oraz ich niemoc? — Odpowie mi: Oto dałem ci, kobiecie, sumienie ruchu. Może z jakich serc pogrobnych wyrosną siewne kłosy odnowy życia oraz ich ziarna słodkie jak w wolnych duszach — prawda uczuć.

Zamilkła.

Teraz dopiero stłumiło się przyśpieszonym oddechem zasłuchanie dziewczyn. Ola podjęła się, zawsze bezszelestna jak ćma, i, idąc cieniem w głąb pokoju, szeptała z przerażeniem:

— Więc my tymczasem, jak urzeczone, jak przeklęte?

— W serce bierz, a nie rozpytuj. Och, i nie budź mnie!

Jakoż stała się niebawem jakby inną, bo odezwała się głosem szorstkim:

— Toż ja wam opowiadam o kobiecie, w której dusza już nie śpi, — która się już stała: z życia i ducha, jakie wokół niej są, — która jest, jak każda z nas, swoją spółczesnością, swoją gromadą nawskroś: w rojeniach i żądzach nawet! Moje z nim sny na jawie inne w tonie być nie mogły: właśnie im bardziej ja byłam kobietą! Ciągle, ciągle jeszcze jest na dnie ostatniem serc naszych coś, co trwogą ruszonego sumienia wiedzie nas w koło plemienne... Ja ciebie odrazu odgadłam, Olo!... Tylko tym wróżbowym wyczuleniom naszym, które targają mężczyzn opieszałe

ramiona, potrzeba i skrzydeł cudzych i cudzego ducha. Bełkoce w nas duch niedołężny i wiją nami jak gadem bezskrzydłym żądze nasze.

— Ach, pocoś budziła! — żachnęła się po chwili opryskliwie jakby przed zbliżającym się już napływem innych myśli. — My otrząsamy się i same nazbyt rychło z tych krótkich chwil ze sobą; myśli wnet skakać nam poczynają po rzeczach i zwierciadłach.

Nina, która z miejsca się nie ruszając baczyła tem czujniej, spostrzegła niebawem, jak w głębi pokoju zatulona dotychczas postać rozwidniła się nagle. W swym stroju jasnym zbliżała się ku niej Lena, podnosząc znów ramiona ku włosom jakby dla przeciągnięcia się po tem odurzeniu niedawnem. A wstąpiwszy w światło, mrużyła powieki i uśmiechała się cierpko.

— Takie to winy moje wobec niego były, — zwracała się jakby przez pół tylko do swych przyjaciółek, bo więcej ze sobą wciąż jeszcze mówiąc. — Takie przewiny! Ciężkie, widocznie, skoro mi one tak duszę na pół roztargały w swarze nieustannym ze sobą i tych wyrzutach ciągłych. Takie winy... Że kochałam tem gwałtowniej, z tem większym uporem i niesytością, im bardziej pijana powracałam z marzenia; że życiu, czy memu dyabłu trzeźwości na pokutę tem gorszą czuć się wprost *chciałam,* im szlachetniejszą wydawałam się sobie lub komu. O, ten ogień w nas przez nich wszystkich tylko całe życie w nas podniecany, a przez jednego potem, zwanego mężem, tylko oszukiwany!... Wiem co mówię: właśnie brutalną być teraz chcę! Powiem wam więcej: nie pojmuję dziś dobrze swego stanu

podówczas, ale pod koniec omal... omal nie był równocześnie — ktoś trzeci! Pogardzałam sobą chwilami aż do odrazy, tem rozpaczliwiej garnęłam się do Woydy i... ha-ha! »szanowałam« męża, jak to kobiety zawsze wtedy, a zarazem wydawał mi się on chwilami w tem nie podejrzewaniu niczego — żałośnie głupim. Otwarło się całe piekło przede mną — za sprawą jego, Woydy! Niepokój duszy kobiecej ruszony marzycielstwem i pierwszem ustąpieniem rozpętał najczarniejsze zło kobiecego ciała.

— Ach, i nie dbam o wasze w tej chwili rozczarowania, — rzuciła ku dziewczynom, — i odstrychnięcia się pytające. — Patrzcież, wy jeszcze kobiety w sobie czuć nie umiecie, byłoż to leźć przed czasem w jej zło. Toż ja wam dziewczęta głupie, które nabroiły nie wiadomo czemu, toż ja wam opowiadam o kobiecie, w której myśli już nie śpią, a zmysły już nie drzemią: ja wam mówię o dusz naszych przepołowieniu, gdy ocknięte. O tych spadach z ekstazy białej w mściwość życia nad nami: otóż ja nie jestem właśnie tak szlachetna ani wniebowzięta, jak się komu i sobie do łez roztkliwienia niedawno wydawałam. Dyabeł mój wie coś o tem. On rad słucha chichotu mego... Podobno nadmierna żarliwość wiary, o krok jeden od świętości, wiodła nieraz na sabaty słabiznę dusz kobiecych. A dyabły jak złośliwe małpy powdrapywały się na wieże najpobożniejszych na świecie kościołów gotyckich, obsiadły je wkrąg i wychylają swe złe mordy z za każdego węgła. Zaś tam, gdzie się wieżyca tylko dlatego urywa, że Boga nie dosięgła, tam właśnie w kamień po dziś dzień zaklęte — przeklęte — sprawują dyabły orgie z mniszkami, rozpętane

tem właśnie urągowiskiem nad słabizną dusz ludzkich. I tem może jeszcze, że ich żarliwość pobożnych tam, w górnych ukryciach, nie dojrzy, ani się nimi zaciekawi. Na razie.

Urwała, by po chwili podjąć znów tym tonem zgłuszonym:

— A w nas, dziś, wszystko to jest z duszy kobiecej przepołowienia, rozdarcia: na ten romantyzm spóźniony, na jego męt wiekowy, — a w drugiej połowie duszy na tę niemoc i zakłamanie uczuć w zastoju. A czepia się to właśnie natur najbujniejszych, w których rojenia zaogniają się do białego żaru... Dobrze, licho dobrze, gdy nawyki i próżności dostatku, dzieci, pan mąż roztropny, podsuwający nieustannie tak zwane »obowiązki« kobiece potrafi się uporać z bujną w nas naturą.

A jeśli nie?

Klątwa ciąży na tych z nas, które się rodziły z dawnych sił bogactwem... Po pas w piachach, stłumione, zakłamane, o sobie nie wiedzące... I przerażone w osłupienie, gdy z jakiej roztarganej do cna duszy kobiecej błyśnie dnem serca ostatniem: krew... I zasłuchane jak te czajki u wyschłych swych źródeł w grzmot burzy dalekiej.

Takie my dziś tu jesteśmy: rodzone dla silnych, niewolnice roztropnych, fascynowane przez słabych, a wplecione w to koło niemocy i bezruchu życia.

Opadła znów na wznak w poduszki. A z tym opadem w puchy niżyły się wraz i myśli. Błysło jej, że po tych

zwierzeniach winna się jakoś usprawiedliwić ze swojej zewnętrznej sytuacyi.

— Och, — mówiła tedy, — nic żałośniejszego nad to, co ma próżność kobieca kupiła na targowisku szczęścia. Nie tylko że był bogatym mój pan mąż... Choć i to także!... Głównie jednak, że był na widoku, na czele niemal wszystkiego, co się tu dzieje i za zezwoleniem dziać może. Rządzenia, wpływów mi się chciało, skoro już niema takich, którzy władają. A mój pan mąż wysoko mierzy. I także roi w zagadkowy dla mnie sposób. Jak go ta wiadomość o wojnie radośnie wzburzyła! Jak mu się rozbłysły oczy! A pierwszym przecie odruchem do mnie przyszedł. Ceni, jak to powiadają... A jednak ta dwoistość ich uczuć, gdy są bardzo próżni! Wiecie, jak mnie raz nazwał pan małżonek wśród swoich tam kamratów? — że jestem doskonałym »*Paradepferd*«. Mój pan przy dobrem cygarze i winie wyraża się szczęśliwiej po niemiecku... Paraduję tedy pod siodłem mieszczańskiem na oczach zwierciadeł i ludzi w spokoju dosytu, w równowadze próżności na piachach mego życia.

— I ty to mówisz?

— Pytasz mnie, Olo? Bo już sama nie wiem, czy z kim, czy ze sobą rozmawiam. Właśnie ja, bo cenę osiągniętej harmonii znam dobrze.

Spoglądała chmurnie ku górze, w tę banię u sufitu, sączącą chłodną, ckliwie fioletową zadymkę światła.

— Wszystko to obrzydliwość jest, do czego nas życie i cnota uprawnia, oddając młodość naszą na leniwą konsumcyę cudzego nawyku. Przenieść taki pokój i mnie na

łożu do innego lokalu, — a mężowski *cachet* całego meblunku pozwalałby to uczynić, — byłoby wtedy mniej dostojnie, ale za to wymowniej. No, i — zabawniej trochę.

I dorzuciła wnet jakby gdzieś poza siebie przez poręcz łóżka:

— Ciesz się, mój dyable: nie tylko pomyślałam, ale powiedziałam głośno najbardziej ukrytą myśl mojej pokutnej dziś cnotliwości.

Tu Nina odezwała się niespodzianie. Usławszy sobie było tymczasem całe gniazdo z poduszek na bardzo pilne zasłuchanie, a uwagą niemocną motająca raczej rwane wciąż nici swoich myśli, — teraz wreszcie jęła coś mówić w sufit zapatrzona. Bąkała na pół łzawym, czy też sennym głosem:

— Tam jest taki wielki, czarny murzyn: wiesz? Straszny taki. Ten, co wtedy wieczorem: wiesz? I tacę ma taką mosiężną.

— Więc co z tego, ciupa? — przerwano jej zdumieniem tę bezładną dygresyę.

— Nic, — odpowiedziała stropiona i pogoniła już w milczeniu swe myśli jakoś bardzo niejasne.

Tedy i Lena powróciła do swoich, lecz zanim nawiązała wątek, Nina odezwała się znowuż.

— Powiedz mi: twój brat miał podobno niegdyś jakąś panienkę?...

— W poręś odezwała się z nią! Dziwna rzecz: jak takie słuchanie instynktem czujnym zawsze w porę ze swojem się wyrwie! Skąd ci to ona na myśl przyszła? I kto ci o niej opowiadał?

— On sam.

— Także! Miał też o czem! . . . Ona poszła, jak to powiadają, na złe drogi. Na bardzo złe drogi. Przez niego do tych jego spraw wciągnięta i zapalona, — a smarkaczami byli wtedy oboje, — razem z nim też i »wpadła«. Zaś po jego zesłaniu w bardzo niedługim czasie . . . spadła, — odrazu na oficerów.

Nina pochwyciła to spóźnionem uchem, pochłonięta widocznie bardziej swemi myślami, które zdążyły już odbiedz w inną stronę.

— Jakich tam oficerów? — pytała roztargniona.

— No, chyba tu nie o barwę munduru idzie?

— Ach Boże! — zdziwiła się zdawkowo, bo w nagłym znów przeskoku myśli za czysto zewnętrzną, dźwiękową asocyacyą pilno jej było opowiedzieć:

— A wiesz, widziałam ich dziś przez dziurkę od klucza!

I jęła opowiadać, jak to było.

Tedy Niny bezładne myślenie i skoki jej uwagi już widocznie znużonej tem wszystkiem, co tu dziś słyszała, rozbiły kobietom zupełnie nastrój. Oto w nowym przeskoku myśli niszczyła go już zupełnie opowieściami rzeczy błahych, w tem dziecinnem prawie rozgadaniu się w progu przedsennego znużenia.

Miała ciepłe policzki, przymrużone szklące się oczy i miły dźwięk z lekka zaspanego głosu.

— Och, Boże, — przeskoczyła znów myślą, — jaka panna Ola jest teraz strasznie ładna! Twarz niby popiołem przysypana, a z oczu idą takie ognie złote . . . Niech pani na mnie tak nie patrzy!

Osunęła się na poduszki i zakrywała dłońmi; by za chwilę wyjrzeć z pod nich ciekawie:

— Uch, jak strasznie!

— Dajże pokój, — krzywiła się Lena na to dzieciństwo.

— Kiedy ja tak pasyami lubię drażnić siebie wszystkiem, co straszne!... groźne!... niebezpieczne! — opowiadała jak samej sobie bajkę przedsenną.

Na to popielne oblicze Oli skierowała Lena czujną uwagę, jakby w obawie nowego ataku. Lecz pod jej wzrokiem przelały się jakby w tamtych oczach te płomienie złote w nagłe zaćmienie źrenic, — właśnie jak u sowy: zamknęły się powieki, nie wytrzymała na sobie mocnego spojrzenia.

Zwróciła się tedy ku tej drugiej, ciemnej głowie, bacząc na jej rozszerzone znużeniem, czarne, pulsujące źrenice: małe jak grochy, złe, niespokojne oczy.

— Cóż wy się stajecie tak przedsennie niesamowite, jak te koty?...

Niebawem wszakże zmorzył i ją smęt nagły, w którym rozwiewały się początkowo myśli wszystkie, by uczynić miejsce przypływowi wspomnień, w obrazach tak jaskrawych, że aż serce tłuc się w piersiach poczęło.

Niepokój dziwny zatrzepotał się nad nią.

I tak oto w pierwszej chwili wyczerpania innych zapanowała natychmiast olina zmora: jej zwichrzonego życia tętno nierówne i pulsów dygotka, nie wyczuwając oporu cudzej woli, brały w upiorne posiadanie atmosferę całą.

Tymczasem te jej nerwy, wyprzedzające słuch przez ściany, kazały jej się obzierać po za siebie niespokojnie.

I odgadywać wraz, czem może naprawdę zaniepokoić rozjątrzoną wyobraźnię Niny, ukrywającą się bezwiednie w skokach znużonej myśli. Odgadując to, obejrzała się raz jeszcze i rzekła z wyrafinowaną flegmą udręczenia:

— A teraz wejdzie murzyn.

Nina wmig zeskoczyła z łóżka i, zapatrzona w głąb ciemną, cofała się tyłem za poręcz.

— Nie, moja pani! nie! O, bo pani nic nie wie. Ja się *jego* naprawdę boję... Leno, nie daj mnie! — doskoczyła do niej i przypadła do kolan.

I w tejże chwili wydała zdławiony w gardle krzyk trwogi.

Portyera w głębi rozchyliła się w postuku pierścieni na gzymsie. W ramie otwartej stanął baron: biały koszulą do pasa; szelki na ramionach i trójkąty baków znaczyły się mocno na tej bieli.

I wraz zniknął za zasłoną.

— *Pardon! Mille fois pardon!* — wołał w zmieszaniu po francusku.

Na spokojną twarz Leny rzuciły się krwawe ponsy. Zagryzała usta; nie przemogła się jednak i odrzuciła podrażniona w tymże języku, w jakim do niej przemówiono:

— *Oo! — vos bretelles alors!...*

Jak gdyby ten jeden, tak pospolity szczegół mężowskiego negliżu, przepełniał ostatnią, błahą kroplą czarę zawstydzenia i gniewu.

A z za portyery rozległo się w brutalnem niepohamowaniu:

— Skądże u dyabła mogłem był wiedzieć! O tej porze!

Dziewczyny ogarnął popłoch: poczuły tchnienie wła-

dzy pana. Całowały zdawkowo Lenę, aby pomknąć się co rychło ku drzwiom: prawo przynależności czyniło je instynktownie kornemi.

Pochwyciła je za ręce.

— Na litość Boską, przecież nie pójdziecie tak natychmiast!

A uprzedzając nowe uderzenie rumieńca, ukryła twarz w dłoniach.

I tak stała oparta o poręcz swego łoża: negliżem barwna, ramionami i piersią goła.

By po ciężkiej chwili odezwać się z pod dłoni:

— Oto jest tymczasem jedyna istotna prawda kobiecego życia.

Przedsenna trwoga rozjątrzonej wyobraźni na myśl o zjawieniu się »murzyna« ocknęły w niej czujność wpół uśpioną. Nie mogąc teraz oto trafić do przeznaczonego dla się pokoju, błąkała się po mieszkaniu ciemnem; zaś to drażnienie już serca samego, które tłuc się poczynało w piersiach, przyniosło jej nieobjętą trwogę przed złem w myślach, z którego rodzą się upiory wyobraźni. Leny popłoch przed chwilą i jej słowa ostatnie brzmiały jej teraz w uszach jak zgrzytliwe pęknięcie tej struny, na której wygrywała swym przyjaciołkom jakieś niedobre rozmarzenia. Struna pękła w fałsz, stokroć gorszy niźli ten w opowiadaniu rozumiany.

Błąkająca się wciąż wśród ciemnych pokojów i tem coraz bardziej podniecona w wyobraźni, odczuwała głucho niepoimnemi myślami, że wśród tych tu ludzi przybywa wciąż tego niepokoju przed złem w myślach i czuciach. Rozpoczęło się to, — pamięta, — od rozkołysania zmysłów atmosferą dosytu, od tego niestatku ciekawości drażnionej, a skończyło tak rychło bezwiednem rojeniem o rozkoszy: wówczas przy stole, gdy oczom przymrużonym zawistnie

wydało się, że wszystkie te rozszeptane kobiety kosztowały wszak najsłodszych owoców życia. A ledwo tamci wszyscy od stołu wstali... Powrócił znów ten gwałtowny otrząs chłodu, który starczył za wspomnienia tamtej jednej chwili... Utajone krople marzenia o rozkoszy były w tej zabawie ludzi po salonach i przy stołach biesiadnych. Lecz tam oto, w Leny alkowie, przed puchowym ołtarzem jej białego ciała — domieszane jest już do rozkoszy zażycia coś więcej: bo wino ducha, tutaj zaprzepaszczonego! Dawniej słyszana opowieść o samobójstwie Woydy stanęła jej upiornie przed oczami.

Uchyliwszy drzwi najbliższych, wydała krótki krzyk i rzuciła się w tył.

Tam w głębi na tle portyery stał *on* z swą twarzą czarną i białopołyskliwemi ślepiami, — *on*, który wówczas podawał było Woydzie truciznę, *on*, który dziś tu patrzał na jej grzech.

»To jest ten bożek pokoju, ...zastoju — pomyślało jej się nagle, — któremu Lena radziła szyderczo składać objaty«.

Szarpnąwszy drzwi najbliższe, dostała się do biblioteki, skąd ją niedawno zabrała była Lena do siebie. Światło poranka, jakie przez rozchylone okna padało tu, sprawiło, że uczuła się znowuż, jak ten nietoperz zabłąkany w słońce, w którym dyszy oto i zipie całe gnuśne zło nocy zatajone po czuciach, myślach, przypomnieniach i wyobraźni...

A gdy wstąpiła w tę smugę światła pod oknem otrząsła się w jego cieple od stóp do głowy, sama w tej chwili, jak ta zmora ocknięta. Z dłońmi na oczach osunęła się na ko-

lana, — do pacierza zdawało się jej, — czyniła to już po raz drugi w swej bezradności dzisiejszej.

Słońca muskanie ukojne niosło spokój w młodą głowę i potrzebę uładzenia myśli, objęcia zeznań swoich.

Jęła tedy mimowoli wspominać wszystkie swe przeżycia dzisiejsze.

Tamtych mężczyzn krzątania się przymilne za jej spódnicy szelestem, śmiech z niej wyłechtywany pustoty gamą lub niecierpliwym chichotem po kątach. »Błahaś!« mówiło jej zwierciadło samo powtarzanem spojrzeniem wszystkich tych ludzi, którzy bawili się jej młodości niestatkiem aż do spazmu nieomal jej nerwów drażnionych. I tylko jeden człowiek hardość życia młodego w niej budził, — człowiek obcy, szabli pobrzękiem od innych w przypomnieniu wyróżniony. Bo gdy za innymi oglądała się pamięć, widziała z kolei tamtych panów powagę karcianą, ich narady obywatelskie, polonezy posuwiste, toasty biesiadne — a wszystko jak polonez jeden: szumne, uroczyste, wielce-szanowne... I oto ruda głowa aktorki błogosławiona przez najczcigodniejsze ręce za to, że wszystkich tych ludzi istnienie przypomina światu swoją sławą rozgłośną. Zaczem oklaski wielkiego roztkliwienia, kieliszków brzęki, wina upojenie, kobiet poszepty i pogwarki, ich obnażonych biustów przydechy głębokie i najsenniejszego walca rozkołysanie lubieżne... I nagle obcego słowa w te wszystkie głowy uderzenie: »*Wajnà!*« I jej, najmłodszej tu między nimi, pierwszy krzyk. Tuż obok siedział on z bladem przerażeniem na twarzy, za rękę przez nią kurczowo ściskany. Wszyscy niebawem powstawali w zamęcie; oni oboje z miejsc się nie

ruszali, jak te dzieci alarmem w osłupienie ocknięte i zapatrzone tępo w ludzi starszych. Zaś tam, naprzeciw: starczej ręki miotanie się dziwne i tej głowy sędziwej kołysanie urągliwe.

A potem, ledwo tamci wszyscy po pokojach się rozeszli, w jej rozkołysane zmysły i targniętą wyobraźnię rzucona żagiew; — potem tamta chwila, która przypominała się tylko mrozem przerażenia.

To jedno pozostało w pamięci: jego dusza słaba roztargana tu już w niwecz i ciało bezduszne wywlekane na wojnę daleką. I ona sama powalona pod spojrzeniem tej kukły murzyna... Podczas, gdy za oknem grzmiała równocześnie jakaś surma mosiężna i śpiew jak wicher: — tak się młode obce życie hardo obwoływało tam...

Zaś potem, sama nie wie, jak trafiła za progi: w te labirynty półek z książkami, niby ściany katakumb, w pyłu i pleśni woń i ponure jak w grabarni ociążenie piersi. Na czole rozpalonem Wandy dłoń chłodna, a przed oczami ta głowa graniasta pod bandażem, ta wiecha włosów, które osiwiały hen, daleko. I opowieść tamta... I to milczenie wraz z płaczem uparcie w piersiach trzymane: — do pyłu i pleśni starych książek domieszany, ostry, całą duszę jakby oczadzający zapach krwi!...

A potem — to co u Leny było: — Oli oczy straszne i jej bełkoty wtedy. Dalej, zapadłe mimo wszystko na dno duszy słowa Woydy, powtarzane ustami Leny. Wreszcie tej struny pęknięcie zgrzytliwe w fałsz kobiecy, niosący już tylko przypomnienie tych dyabłów, co poobsiadały wieże kościołów.

Dłonie bezradne poczęły znów ściskać czoło i twarz całą. A ta rysa niestatku na policzkach dała się znów wyczuwać na obliczu jak ból: nadmiar życia wrył się w twarz młodą stygmatem męki nieomal...

Z gardłem ściśniętem, w swych myślach zbłąkana rychło zupełnie, wciskała głowę bezradną w splecione ramiona.

Aż póki nie poczuła na nich czyichś potrącań gwałtownych. Podniósłszy oczy, ujrzała nad sobą starca wspartego szeroko na kijach i głowę jego suchą, wychyloną zdziwieniem na długiej szyi. Nad coplami wąsów, w dziobie twarzy zgrzybiałej żarzyły się źrenice drobne na szarych, zamąconych starością białkach, niby żużle w popiele A spoglądały te oczy tak przenikająco, że mimowoli przysłoniła się od nich dłonią.

— Co ci?! — mruknął krótko i trącił ją swym kijem. — Czemuś tu? Mów!

Zamierzała powstać z klęczek, lecz w zachwianiu się nagłem sięgnęła jego kolan i uwisła na nich. I już sama nie wiedząc, co i dlaczego to czyni: — chyliła głowę jeszcze niżej...

— Co ty?!

Przez nią w swych ruchach obezwładniony i w zdumieniu jakby stężały, stał tak cierpliwie czas jakiś. Po długiej dopiero chwili znów ją kijem trącił: usuwał od siebie. Przysiadł z trudem na kanapie i w swą żylastą rękę ujął ją z tyłu za głowę tak mocno, że trzymał ją nieruchomo przed oczami. I znów sama nie wiedziała, dlaczego tak przytakiwać musi całem wejrzeniem coraz to bledszej twa-

rzy. Zagniewały się brwi jego: pytał jeszcze chmurniej; wówczas z pod jej powiek opadłych toczyć się poczęły łzy ciche.

Puścił wreszcie jej głowę z zacisku twardych palców, uchylił włosów na skroniach, patrzał badawczo na czoło otwarte.

— Tak! — odezwał się wreszcie. I tą zadumą wlepionego spojrzenia przylgnął do jej czoła.

Zapamiętał się w myślach starczych pod sapliwe rozchylenie ust.

Po długiej dopiero chwili podniósł kij i, grożąc nim jakby poza siebie, ku pokojom:

— Tam na stołach, — mówił głucho, — pozostały niedopite kieliszki, resztki potraw i kwiaty powiędłe, po salonach zaduch i czad. A tu — ty! niby ten kielich nadpity, kwiat pomięty, jak ta żywa resztka, osad i męt tego ich życia... Boję się, że ten osad i męt młodością tu się nazywa!

Rozkiwała mu się głowa, słowa mrukliwe już się do własnej zadumy tylko zwracały:

— Boję się ja, że w tym męcie i osadzie sumienie ruszone tego życia będzie!... Gnuśność wszystkich zło w myślach i czuciach warzy: młodość w siły najzasobniejsza na swe biedne dole i czyny je weźmie i — rozniesie, rozwlecze po życiu.

Ocknął się z zadumy i żachnął, teraz dopiero spostrzegłszy, że dziewczyna, słów jego nie wiele słuchająca, przypadła tymczasem do jego ręki.

— A jakże! — parsknął, tknąwszy ją twardym palcem

w głowę. — Takiej głowinie każde słowo surowe teraz jak to księdza fukanie, — i tyle jej pewno trzeba na ulgę duszy... Nie ksiądz ja! — sarkał, — nie do kobiecych mi dziś przewin i kajań się. Czego innego pytałem się oczu i czoła twego. Wartości życia samego patrzałem: jaką to czarę wypełnili oni mętem swoim? I nie jedna mi twoja głowa dziś na myślach, a gromady ich całe... Bo dzwon mi dziś w głuche uszy uderzył, dzwon! — chylił się ku niej krzykliwie z kiwaniem ręki koło swego ucha, — dzwon na czasy, które idą. I te nagłe myśli o życiu, o przyszłości, o was młodych postawiły, patrz, uparciej na odrętwiałe nogi, zapaliły ostatnie może jasne płomienie w tej głowie starej.

Urwało się na chwilę w oddechu ciężkim.

— A staremu nikt tu ucha nie użycza; mumią żywą uczynili, sługom w opiekę, gościom na nieme respektowanie oddali. Sam ja tu, po nocach żywy, jak ten ich upiór postypowy, gdy mnie śmierci lęk lub myśli udręka uwstrętniają łoże. Saam! — huczał jej nad uchem.

A jej się zdawało, że te oczy uwypuklają się jakoś dziwnie w tej chwili, wystawiają mętnemi białkami i, zaskoczone zadumą, patrzą zezem, jakby nie widzące w roztargnieniu myśli.

— Chciał boży przypadek, by się śmierci starczej trwoga takiej ot jętki o młode życie zadumą pytała... I kto wie: może my mamy wiele do pomówienia, do zrozumienia: my oboje. Bo, widzisz, — kładł jej twardą rękę na głowie, — jest dusza gromadom ludzkim wspólna, która i takie nawet dwa bieguny życia jednem czuciem wiąże. A je-

dnej to duszy koleje: i ten ludzi dzisiejszy obyczaj i mego długowiecznego życia utrudzona daremność.

Rozkiwała się staremu szyja, a słowa głuche w dal odeszły. Mówił już zupełnie niewyraźnie, sobie tylko, przy miękkich, jakby żujących, ruchach warg. A w miarę tej mrukliwej gawędy ze sobą dygotała coraz bardziej ręka na kiju rozkołysanym.

— Wiesz ty, — pochylił się do niej nagle twarzą, — jakie jest w złem życiu tych ludzi zło najgorsze? — Duszy w każdym zaprzepaszczanie. Bo za tem idzie niechybnie — zdrada tej wspólnej.

— Taak! — wyszeptał jej w usta prawie i ledwo w tył się nie cofnąwszy, trzymał ją tak pod zezem oczu zawsze zadumanych. — Zdrada.

Ręka z kijem wyrzuciła się znów w tył, na pokoje wskazując.

— A to jest tej zdrady nora i ognisko: cały ten ludzi obyczaj dzisiejszy!

Wmyślił się widocznie w rzeczy nazbyt wzburzające siły niedołężne, bo niespokojnym ruchem rąk obu począł odpędzać je od nabrzmiałych skroni i posiniałej w tej chwili twarzy.

»Helena!« — zaplątało się jakoś dwukrotnie imię wnuki na wargi drżące.

Lecz tym starczym instynktem samozachowawczym odpędzał się od myśli dokuczliwych jak od roju; a że nie ustępowały, postanowił wstać: gestem usuwał ją od siebie, by prostować z trudem nogi, podnosić się na swe kije.

— Wiem ja, — mruczał, szamocąc się z niedołęstwem

swojem w postuku kijów niecierpliwym, — pół-ślepy, pół-głuchy, pół-żywy, wiem ja, co się tu po kątach i zaciszach dzieje. Co przy stole było, małom wiedział ogłuchły w sobie. Ale co tam na ulicy niebawem było, tam widział ślepy i słyszał głuchy. — I to wiem, — wskazał kijem na krwawą misę w kącie. I jacy tu goście zaglądali potem do przedpokoju. I wasze tu milczenie po opowieści wnuka słyszałem głuchy. Może to ja wam tu poniosłem tę ciszę długą: tam w głębi, za półkami zjawiony. Bo takim upiorem milczenia wałęsa mną śmierć leniwa po ciszach i zadumach, tak szpieguje mną pozostawionego życia treść.

I znowuż zadumały się te jego oczy, obiegające zezem błędnym otoczenie całe.

— I dziwna rzecz, że tutaj, zawsze tutaj tylko! jakby do tej komnaty ukrywała się zawsze, mimowoli, resztka ducha w życiu tych ludzi... Gdy się ten Woyda przed dwoma laty truł z amorów, tum go zdybał przed tem. Tutaj! — zakuł laską w ziemię. — Stamtąd, z alkowy wylazł, pod ścianą stanął, rozdygotany na twarzy bladej, mdły, ze zwisłemi ramiony: ruina woli męskiej! A oczami gorączki wodził po tych półkach, po biustach nad niemi, jakby się przed tymi tam rachował z życia swego. Wtedy przystąpiłem do niego i zdjąłem mu te ręce z twarzy. Wrzasnął gębą niemą, cały w bladym strachu, jakbym z za grobu do niego przystąpił... Prawieć! — odparłem, — prawie! Już mnie śmierć leniwa widmem między wami czyni i widma władzę daje; każe mi się błąkać po nocach bezsennych, przed zatraceńcami marą stawać... Który chcesz przede mną co ukryć, w ucho mi to wrzeszcz, w ślepia

mi z tem leź: pewno ukryjesz. I ty. I Helena także. Bo widzieć i słyszeć nie chcę! Bo gardzę! Tak, miotaj się, miotaj — honorem! A mnie w tej wzgardzie ciebie, biedny, więcej żal od rodzonej wnuki: za to ducha zaprzepaszczanie, za siebie i innych: za przyłożenie ręki do zdrady posiewu... I innych! — rozumiesz? Coć lepszego Bóg w piersi dał, nie dla ciebie to samego. I nie dla kobiety!... Bądź spokojny: za barona się nie stawię; i za kobietę nie, choć wnuka... Tak oto wszyscy wszystko — ukryć możecie przede mną. Bo wiedzieć nie chcę! Ale o czem usta wasze już milczą, o czem dusze w sobie jeszcze nie wiedzą, że w zatratę idą: tego nie ukryjesz — żaden! Bom jest, jak z uchylonej trumny spojrzenie na życie, jak patrzące sumienie naszej duszy wspólnej...

Coś odsunęło ją na klęczkach, a w piersiach zaparł się oddech. Z tego żółtego czoła nad nią, białych copli wąsów i rozgaru oczu osadzonych gdzieś głęboko w tej ptasiej czaszce — spoglądała na nią groza sama. A dalsze koleje Woydy tegoż wieczora stanęły jej tak jaskrawie w myślach, że ręce zatrzepotały się jakoś bezładnie koło głowy oszołomionej.

Ten jej odruch zdał się i starego naprowadzać na przypomnienia dalsze, bo mówił niebawem z głową zwieszoną:

— Tam, tuż obok, chodził po dywanie godzinę całą. A potem jakby w sił opadzie, czy żalu już spóźnionym i popłochu nad tem, co uczynił, jął się tu jakoś skrobać do tych drzwi. — I runął pod drzwiami.

Stary machnął ręką:

— I dobrze tak! Z dyabłem precz!

Wydała krzyk krótki.

— Pod tą powierzchnią życia, — słyszy za chwilę słowa jeszcze głuchsze, — która tu ciebie jak korek niosła, ponure jest nasze życie tam, gdzie się dusza wspólna budzi, gdzie sumienie rachować poczyna. A trzeba tu dziś ludziom mocnych doli docisków, aby ocknąć w marnej bezradności duszy własnej czucie tamtej... Gorzej bywa, gdy uczuć płytkość, jak ten korek na powierzchni niczem docisnąć się nie da, gdy młode życie bezduchem w te dosyty wsiąknie; wtedy i na śmierć duszy nie stanie. Dziś tu wywlekli takie młode ciało na jego wartość ostatnią: kamienia w cudzym ręku na ciśnięcie, gdzie trzeba, — na dalekiej wojny pohybel.

Zatuliła się cała w dłoniach i ramionach od przypomnień tamtych.

— I dobrze tak! — słyszy z przerażeniem.

Splotły się z trudem w kłąb jeden gruzłowate palce starego.

— Dzięki ci Boże, że nam się chwasty same pielą!

Dorwała się rzutem do tych rąk splecionych i targnęła je w dół.

— Na litość Boską nie!... Taka modlitwa to przekleństwo jest! I nie na niego tylko. I na mnie chyba? I na mnie może!

Nie dosłyszał widocznie głosu wśród łez, bo tylko te oczy pytające ku niej zwrócił i zastygł tak: choć zda się zapatrzony a przecie w roztargnieniu myśli nie widzący.

I mówił znów do siebie tylko:

— Patrzę ja tu od lat dziesiątek na całe hekatomby

życia młodego, spalonego przez gnuśność powszechną ogniem swej żywotności!... Jestże gdziekolwiek jeszcze na świecie życie takie, gdzie między temi dwiema: zdradą i ofiarą w duchu i czynie nic nie wyrasta, nic nie dojrzewa? Wszystko samo się niszczy, samo się piele...

Ruszył z miejsca w kijów postuku i szamotaniu się ciała za nimi. I tak się kołatał czas jakiś po pokoju. Aż póki nie zatrzymał się nagle przed misą w kącie i gąbką w niej krwawą. I stanął nad nią z zezem oczu zadumanych.

— Po co? — parsknął z urągiem. — Kwoli czemu?! Ni jak, tylko do resztek potraw, wina i kwiatów pomiętych na stołach, do czadu i zaduchu po ciżbie dosytniej, do mętu i osadu w duszach młodych — jeszcze i to: starym bogom ofiara po uczcie, która była... Toczy wam ten ludzi obyczaj dzisiejszy ciepło życia młodego z żył serdecznych, — toczy po próżnicy! Płonki wy wszyscy z ziarna życia, jakie było, a gleby i powietrza, jakie są. I pomyśleć trwoga bierze: która płonka w życie zasobniejsza, ta gleby i powietrza schłonie właśnie najwięcej... Choćby to twoje rwanie się do życia sił wszystkich, które ciekawością zła i dobra wyprzedzają dolę: z ziarna to jest. Co z tego wyniknie, gleba i powietrze ustanowią — i dolą, twoją dolą nazywać się to będzie! Siły i zamierzenia innych najlepsze: z ziarna one będą, a owoc z nas tu wszystkich — i czynem, ich czynem nazywać się to musi!...

Jej myśli nie podążały już za tem, co mówił. Ale słowa

starca, rozlegające się głuchym podźwiękiem w tym labiryncie półek, jak w kościoła nawach, przygniatały jej pierś. Nie patrząc widzi, jak tam stoi za nią, szeroko na swych kijach wsparty, niby kruk o zwisłych skrzydłach. Czuje na sobie spojrzenie tych oczu zadumanych.

— Wiem już! Wiem! — szarpnęła się nagle.

— Cóż ty wiesz?

— Sumienie!

— Słyszy, jak przysiada z trudem obok niej. Po chwili kładzie jej rękę na głowie.

— Twojeż to? — pyta żałośliwie. — Wasze? — odyma się z pogardą. — Co z sumienia bezradnemu sercu i głowie młodości? Chęci dźwignąć nie zdoła, a myśli tylko udręką zeszpeci, i radość życia w piersiach struje. Jeszcze i słabość samą — rozdwoi. Kędyż zawiedzie głowę bezradną sercem słaby i rozdwojony? instynktowi życia samego już nie ufny? Kędyż to wszystko zawieść może: wasze sumienia młode?!

— Więc! . . . — poderwała jej się głowa hardym gestem zniecierpliwienia, jakby straciwszy już ufność w odpowiedź dla się zrozumiałą.

— Więc, — schwycił zniecierpliwioną za ramię i przyciągnął ją ku sobie, — więc ta siła jest wam ku potrzebie, która i najsłabsze serca godnością dźwiga, a i najlichsze od znikczemnienia uchroni, — ta, którą wam tu ludzie zdradzili: — dusza wspólna! . . .

— I w tę grobnicę zamknęli! — dorzucił z ruchem ramienia na pokój, jakby w przezornem zwracaniu myśli w inną stronę.

Gdyż oto nabrzmiały mu znów skronie, posiniała twarz. A że dziewczyna, hypnotyzowana już wręcz tą starczą mową i wejrzeniem, uwisała na jego ustach zeszklałemi od łez oczami, więc potrącał ją kijem, cucił z tego otępienia; by za kija wskazaniem odwieść jej wzrok na te półki z książkami, na te biusty białe nad niemi, na tę powagę i skupienie w komnacie całej. Uległa, rozglądała się czas jakiś, lecz niebawem wracała ku niemu tem spojrzeniem w smutku aż otępiałem.

Ale on zwiesił już było głowę.

— Grobnica to jest, — mówił po długiej dopiero chwili, — i dla takich głów jak twoja zamknięta. A jednak: i to dzisiejsze duszy starej targnięcie tu mnie zwlec musiało, abym poczuł i ten jeszcze ból: jak takie czoło bezradne przypada do mej dłoni niedołężnej, jak gdyby ona stamtąd właśnie... Zostaw! — wyszarpnął w tejże chwili rękę. — Samemu wstręt przed nią. Zwiędła i wyschła w szpon pokurczony i — patrz! — aż zły i ponury na wejrzenie w bezwładzie swoim, jak starość każda. Takie ręce młodego życia nie zratują, a rychło patrzeć, splotą je ludzie na obojętność wieczną, pozostawiającą młode życie w bezradności jego. A te wasze »naprzód!« czy »wstecz!« za jedno mi błędne koło będą wokół trumny mojej... Żadna ręka tu się ku wam nie wyciągnie: sami z siebie wy dziś wszystko... sami. — Taki jest wielki smutek wszystkiego, co było daremnie, co się nie nawiązało łańcuchem sił żywych.

Rozgniotły się słowa dalsze w miękkim zacisku warg, wyciągającym w dziób usta stare. Zgrzybiałość ogromną dobyło wzburzenie z tej twarzy ptasiej, wystawiając jeszcze

bardziej ku górze ostry podbródek i zwierając ku niemu nos zakrzywiony pod niewyraźne czas jakiś bełkotanie i chrypliwe przydechy niedołęstwa. Oburącz odpędzał od siebie to zniemożenie: skronie ściskał, skrzepiał siebie.

— Nie patrz tak! z litowaniem... Nic to! Dzwon ja dziś usłyszałem, dzwon na czasy, które idą, niepokój o dusz młodych sile zatargał aż do trzewi nikczemną resztką sił moich. I nie płacz mi!... Nie o tobie ja przecie... Nie o tobie.

Lecz nagle, oderwawszy drżące dłonie od skroni, sięgnął oburącz do jej głowy i przygarnął ją z całych sił do piersi:

— Twoją głowę najmłodszą!

Zaszedł ich baron, już przyodziany w półszlafrok jakiś, czy też kurtkę myśliwską. Na progu samym wykrzywił gołe usta w jamie baków, ofuknął starego dosyć twardo, czemu spać się nie kładzie i zadzwonił na służbę, by się nim zajęła. Ninę zdziwiła ta szorstkość po takiem respektowaniu sędziwca przy stole, a zdumiała jeszcze bardziej korna uległość starego. Baron hukał mu w uszy, złożywszy w tubę ręce obie. »Przecież on nie jest już taki znów głuchy! — pomyślała, — więc czemu oni z nim wszyscy w ten sposób?... A starzec zdał się rzeczywiście wraz i zahukanym, bo oto słuchając czujnie z białek wytrzeszczeniem zdał się słyszeć jeszcze mniej, niż zwykle. »Aha! Aha!« — krzyczał w odpowiedzi przeraźliwie głośno, potakiwał całem ciałem i zbierał czemprędzej kije. Byłby powstał na nich z tym gniewnym impetem energii, gdyby nie zjawienie się służącego, który pierwszym gestem pomocniczym zlekceważył ten wysiłek. Jakoż staremu poplątały się wraz ruchy i, zmieszany a ponury, opadł rychło w sobie: oddawał swe niedołęstwo już zupełnie biernie w ręce sługi. A gdy go podnoszono, mruczał coś pod nosem, na co ani baron, ani służący nie zwracali najmniejszej uwagi.

To nagłe oniemienie, ogłuszenie starego i ducha w nim jakby przygaszenie twardą ręką trzeźwej opieki wydało się Ninie czemś potwornem.

Lecz oto baron patrzał z pod oka na to wzburzenie jej pozostałe po rozmowie ze starym w łzach zastygłych, w bladości twarzy i rąk drżeniu. Przez chwilę żuł gołemi wargi niepewność, w jakiej formie należy się zwrócić do niej. W obawie, czy się stary nie wygadał przed nią z czemś niepotrzebnem, uważał za konieczne wygłosić pouczenie małe, kwoli zasłonięciu i siebie od sądów starego.

— Muszę uprzedzić panią, że staruszek (Baron zrobił dla młodej osoby to ustępstwo w zdrobnieniu) jest niezupełnie odpowiedzialny za swoje słowa. I nic dziwnego: w tym wieku! Więc czasem opowiada rzeczy zgoła nie istniejące, oraz osądza sprawy i ludzi, których rozumieć nie może. Dzisiaj zaś ma szczególnie pobudzoną imaginacyę tem wypowiedzeniem wojny. Również nic dziwnego: wspomnienia dawne!... Proszę mi darować, ale po całem pani wejrzeniu widzę, że on, posępny jak zawsze, musiał tu nadużyć pani wrażliwości.

Nina zipnęła łzami. (Sprawiło to niemal automatyczne tchnienie kontrastu: tej trzeźwości jasnej po omrokach starczego smutku).

— Szlachetnej, — dorzucił wobec tego baron czemprędzej, — szlachetnej wrażliwości!... Za młoda pani jest, aby módz wytrzymać na sobie to tchnienie otwartego grobu.

— Panie!

— Trudno, trzeba te pesymizmy nazywać po imie-

niu, — rzekł sucho. — Zapewne: należy bardzo respektować wiek sędziwy, ale kto chce żyć...

— A my chcemy żyć! — dorzucił po wytrzymanej pauzie z wykładnym gestem dłoni. — Nam trzeba pogody, zaufania, wiary w siebie. Nam trzeba krzepić się nawzajem, a nie pognębiać w takie ot rozprzężenia serdeczne... Niechże się pani opanuje. Ja panią w tym stanie nie mogę nawet samą tu zostawić, a żona już się ułożyła. Głowa ją boli, — rzucił kwaśnym nawiasem... Nam trzeba... Może pani wody podać?... Nam trzeba mocno stać. Bo zresztą nikt nam ręki nie poda.

— On mówił.

— Mówił sam? A widzi pani!

— O młodych mówił.

— Młodość nie powinna na naukę do grobów schodzić. To nie jest szkoła życia.

— Panie, na miłość boską, toż on jeszcze żyje! Ot, tam idzie. Może i słyszy nawet. On wszystko wie, co się tu dzieje.

— He?!... — baron błysnął zezem podejrzliwym. — Nie, nie słyszy, — opanował się natychmiast. — Daj mu Boże jak najdłużej życia. Tylko na to pojenie starczym pesymizmem duszy młodej, osobliwie przyjaciółki mej żony, nie bardzo mogę pozwolić. A za sędzię również go sobie nie obiorę. Powiadają, że należy żyć dla tych, którzy po nas przyjdą, ale nikt jeszcze nie pouczał, żeby żyć dla tych, którzy przed nami byli. Przeto, cokolwiek on mógł tu pani opowiadać o ludziach i sprawach... *Bourgeois,* raczy nas obzywać przed służbą pan major francuski... Z awan-

turniczego życia pana majora po świecie mamy tu wszyscy w rezultacie tyle: (baron pokazał figę), a jego rozumienie naszych konieczności, oraz intencyi równa się temuż. Gdyby cała przeszłość spoglądała na nas z aprobatą, lub nie, mielibyśmy w zysku, lub stracie tyleż. (Tu baron pokazał trzecią figę). Jeśli nam tu nikt ręki nie poda, to oni, oni najmniej.

— Jacyż to »oni«? — pytała głucho.

— No, przeszłość, myślę.

Obejrzała się mimowoli po za siebie ku drzwiom otwartym.

Oto wyprowadzają go tam przez salon długi: kołacze się w swych kijów postuku i mruczy coś pod wąsem długim, na co nikt nie zwraca najmniejszej uwagi: wlecze się właśnie jak ta przeszłość ogłuszona i oniemiała pod twardą ręką trzeźwości i odprowadzona precz, jakby na przechowanie do nowej okazyi odświętnego respektowania.

— Chyba pani nie przypuszcza, że mu się tu jakakolwiek krzywda dzieje? — zdjął baron z bezradnego nachmurzenia się troski, czy żalu na twarzy dziewczyny. — Pielęgnujemy. Że też ta wasza kobieca wrażliwość kieruje się zawsze ku niedołęstwu raczej, niźli ku życiu... O, te łzy, naprzykład, — proszę mi, starszemu człowiekowi, darować szczerość! — te łzy niech pani sobie schowa na swoje kobiece tam smutki, daj Boże, najprzelotniejsze. Nie młodej to kobiety rzecz: osądy życia i ludzi.

— Ja nie osądzam! — tłumaczyła się czemprędzej tonem zdumienia. — Tylko... A zresztą: już nic! Nic już nie wiem.

Zoryentowawszy się tedy w odporności tej głowy, uspokoił baron podejrzliwości swoje. Lecz stało się to w tak nagłym błysku oczów w przejściu od nieufnego wejrzenia ku łaskawości, że Nina, bezradna w obronie swych myśli, podjęła wmig więcej, niźli przypuszczał: Przyszedł tu bardzo podrażniony, wspomniał tak kwaśno, że żonę głowa boli i był tak dziwnie podejrzliwy, o czem też rozmawiała z dziadkiem. »Wy kobiety« — rzucił przytem dwukrotnie. Ów też instynkt kobiecy w takich sprawach naprowadził ją na domysł, że tu między nim i majorem starym muszą się odbywać nieustanne porachunki, i to zaoczne, jak teraz: że tu idzie o wpływ na Lenę w ciągłej trosce, aby nie być przed nią upokarzanym. Kto wie, czy i teraz nie przyszedł tu z podobnem uczuciem: wybuchał wszak od samego początku. Zastąpiła tedy przypadkowo Lenę, na bezwzględniejsze może jeszcze wypowiedzenie się jego zapiekłej goryczy, niźli to możliwe jest wobec wnuki majora.

— Tak, — mówił tymczasem, już uspokojony w podejrzliwościach swoich, ku bezinteresownemu jakby pouczeniu, — czy może być coś fatalniejszego dla życia samego, niż to zestawienie: ta pani młoda, radosna ciekawość życia i ponurość starca, który schodzi do grobu z przekleństwem?

— Och, nie prawda!

— Moja pani, — skrzywił się baron na tę śmiałość opozycyi, — nawet błogosławieństwo pesymizmu jest przekleństwem.

— Boże, on się tak strasznie modlił! — przypominała w otrząsie gwałtownym.

— A widzi pani!... Tylko na miłość Boską, niech się pani temu tak nie poddaje. Bo ja, jak się rzekło, nie mogę pani pozostawić samej w tym stanie... Jakże to on się modlił?

— Żeby wszystko młode, gdy słabe duszą... Boże!... samo się wyniszczyło, pełło, jak chwasty.

Twarz barona stała się w tej chwili białą i suchą jak płótno, a wargi zacięły się tak, że znak ust gubił się nieomal w tej gołej jamie baków. »I mieć takiego starego upiora ciągle pod dachem swoim!« — zdawało się jej, że usłyszała w syknięciu tych ust.

I zgnębiło ją wraz to uczucie, że powtarzając słowa starego, wystawiła go na taki wybuch nienawiści. Starała się tedy bronić go wedle sił, zbierała z trudem myśli:

— A jednak, — próbowała filozofować na swój sposób, — a jednak to wszystko jest...

— Nic jeszcze nie jest! — zbył twardem lekceważeniem, nie siląc się nawet doszukiwać toku w tych zalążkach myśli. — Zaledwie coś się wszczyna, ale za to już wprost naocznie, budzi się dusza w tej oto główce... I jakże to się dzieje u nas zwykle, — a patrzę ja na to przecie nieustannie, — gdy nad wrażliwością młodą wezmą się do roboty te stare idealizmy? Jak że się odbywa, to duszy budzenie?... Kosztem rozbicia wszystkich jej instynktów życiowych! — kończył już swym ostrym głosem.

— I to jest właśnie klęskowy wpływ tego, co ludzie nazywają pesymizmem, — podjął po chwili. — A rozsiewają nam się jego ziarna z dwuch stron: ze Wschodu (poznała pani brata Leny, — nie?), a potem z grobów tu nie-

ustannie wietrzonych, z tej plechy i pleśni, wcieranej jak sakrament w głowy młode. (No, dziadka Leny poznała pani ot przed chwilą!)... A przecie nie oni jedni! Nie obaj oni tylko stróżują tak nad życiem naszem.

— Ładniebyśmy tu wyglądali,— poniosło mu myśli,— mając tylko te okna na Wschód otwarte i te wierzeje w groby przeszłości. Czembyśmy tu byli bez tego sąsiedztwa sprawności cywilizacyjnej o miedzę na Zachód?... Boją się Niemców? Pah! — a! a! — wybuchnął suchym śmiechem, i coś w rodzaju rumieńców ożywiło nagle twarz sztywną.

Urwał jednak, teraz dopiero zoryentowawszy się, że nie do inteligencyi żony mówi. Dopowiedziały mu szeroko otwarte oczy Niny.

Pochlebiały jej po części te twarde refleksye, wygłaszane przed nią; rozumiejąc wszakże, iż zastępuje tu Lenę, odczuwała w tem pewną brutalność: muszą się wypowiedzieć w podrażnieniu, przyniesionem skądinąd — i kwita! A jednak rozmyślania barona padały jej w duszę nie tak ciężko może, jak słowa starca, ale przez ten kontrast właśnie, rodząc bodajże większą jeszcze rozterkę.

On tymczasem chodził sztywnym krokiem po pokoju i wygładzał baki. A pomnąc już teraz przed kim mówi, uderzył w ton wprost przeciwny:

— A główka niepotrzebnie tak zwisła, tak się załamuje jak na łodydze. Wiele z tego, co się rzekło, mówiło się z życzliwości dla niej. A i rączki niech się uspokoją. Z czoła w przyciskane rączki otucha nie spłynie.

Drasnęły ją te zdrobnienia nagle, po tak poważnym przed chwilą tonie. Skoro sprawy życia są tak ważne, że

słuszność musi być aż brutalna, to czemże jest jej własne życie, skoro nagle: rączka, główka, czółko. Lecz jeden rzut oka na niego wystarczył, aby się przekonała, że ani poniżać jej nie zamierzał, ani też przymilnym być w życzliwości: przeciwnie, — wygłaszając te słowa »rączka«, »główka«, miał jakąś powagę, namaszczenie nieomal w sobie. I teraz dopiero uderzyło ją coś obcego w całem zachowaniu się tej nieco sztywnej postaci: znamiona rasy tknęły ją instynktownie.

— A z czego spłynąć może otucha? — dobyła z siebie głosem nieufnym.

— Z ukochania życia właśnie takiem, jakiem ono jest! Naprzekór wszelkim »tabu«, ideałów: wszystkim Woydom, dziadkom, panom Komierowskim: wszystkim tworom posępnym; z ukochania życia naprzód ciekawością, potem pragnieniem, wreszcie walką...

Jej zwisały powoli ramiona, a zdziwione oczy, jakby się gdzieś w dal błąkać poczęły, szukając wspomnień dzisiejszych w ich kolejnem następstwie: byłożby w tem wszystkiem jakieś znaczenie dla niej niepojęte?...

Nie spuszczała z niego oczu szeroko otwartych.

— Należy ukochać życie, — mówił baron tymczasem, nad smutek wszystkiego, co jest, lub być może; pogardzić wszystkiem, co smutek i pesymizm niesie.

— Och, Boże! — krzyknęła wprost, bo stary major stanął jej natychmiast przed oczami, właśnie w chwili, gdy go odprowadzano precz.

I jakaś niepewność odbiła się na jej ruchach, wraz niespokojnych.

— A jeśli zło... własne? jeśli grzech? — ocknęło się w nagłym przeskoku myśli.

— Ba! nawet ze zła i grzechu, gdy pogodą zwyciężone zrodzić się może... ot niedola przez ludzi. Nie należy samego siebie nigdy opuszczać przed ludźmi, należy być wtedy tem bardziej odważnym. Nieszczęście powstaje dopiero z tego smutku, jaki się lęgnie na złym postępku, z tej niepewności, jaka nas opada wobec ludzi, z ponurych dociekań wobec siebie.

Zdziwienie podniosło ją z krzesła. Lecz opamiętawszy się, przysiadła natychmiast. »Toż ja wtedy właśnie bez wiedzy i woli, — przypominała gorączkowo, — przeraziłam się najbardziej tego smutku, jaki z grzechu wyjrzał i zgłuszyłam wszystko ciekawością, ruchem, innemi sprawy, jakby w zapomnienie nagłe: — sama nie wiem, jaką w sobie siłą.«

Spoglądała w niego jak w jasność: świadomość siebie piła wprost ze słów jego.

— Panie, ja byłam... Ja się tu bez wiedzy stawałam...

— Jakaż to?

— Jak pan.

— *Hm?!...*

I w tem rozpromienieniu, a napływie ufności w duszę otwartą wołała w pilnym przeskoku ku innemu jego słowu:

— I odważna jestem bardzo. Strachów to się czasami boję, ale przed ludźmi!... Czasami to się aż dziwną sobie wydaję: próbuję sobie wyobrazić rzeczy okropne, no i... Ja lubię nawet rzeczy groźne. Jabym się wszystkiego mniej bała, niźli... no, niźli Wanda nawet!

— *Hę?!...*

Baron kroczył sztywnie po pokoju i spozierał od czasu do czasu zezem w jej stronę.

Ona tymczasem pracowała pilnie myślą, czując potrzebę wypowiedzenia poruszonego nurtu. Układała jakieś rozumowania wymowne, przekonywające, objąwszy je wszystkie zdecydowała się wreszcie mówić i . . . zmyliła myśli wszystkie okrzykiem piersiowym :

— Panie, ja tak strasznie chcę być szczęśliwą!

Odruchowo odpowiedział śmiechem, który przeszedł wnet w smęt pobłażliwy. Zbliżył się do niej, pogłaskał po głowie. A jej, jak wówczas z pod dłoni Leny, sączyć teraz poczęło ukojenie dobre. Z jego życiowego rozsądku szedł tchnieniem równowagi, — jak od jego żony negliżu i stroju, — ten cielesny wiew człowieczej — kobiecej doli, w którym się zagadnienie życia całe tak łagodnie upraszcza. Więc i teraz to przygnębienie i rozterka, jaką pozostawił po sobie sędziwy major, zamieniły się w bezradność zahukaną i rzewną, radą przytulić się w myślach do czyjegoś zwycięskiego szczęścia. Lub bodaj tylko do tego szczęścia nauki.

Lecz ukojenie było tak dobroczynne, że nawet słuchać i rozumieć rychło przestała: sam ton działał błogo, i ta pewność, że mówi ktoś mocno stojący wśród ludzi, czyjej słuszności doświadczyło życie samo. Pomyślała tylko: »Takim właśnie, takim winien być mąż Leny! — inaczej byłoby z nią źle. Z nami wszystkiemi byłoby źle, gdyby nie tacy właśnie mężczyźni!«.

I starała się słuchać uważnie.

— ... w tej walce o swoje prawa do szczęścia...

— Ach? — odezwała się tonem rozczarowania. O takiej pan walce mówił?!

— O jakiejżeby?... W tej walce pogoda jest połową powodzenia wśród ludzi, pewność siebie, odwaga w sięgnięciu po swoje znaczenie i stanowisko czyni resztę. Wiedzą i kobiety o tem.

— Ach, taka odwaga?!... A mężczyźni?

— Na inną tu nie miejsce i nie pora. A mężczyźni walczyć tu są zmuszeni bodajże tą bronią, co i kobiety: życie jest tu za niemrawe w smęcie swoim, za bezkształtne w niedołęstwie, za nieoporne na wszystko, żeby je trzeba, lub można było zwyciężać: ono się daje tylko uwodzić.

Lecz jej czujnej teraz i upartej uwadze przypominały się natychmiast słowa Leny o tej niezmarnowanej nauce giętkości, jaką tu kobietom daje życie ich mężczyzn.

— Czyż zawsze trzeba być giętkim? — odęła się wzgardliwie.

I tem podbiła mu jakby myśli w bezwzględność, zacięły się wargi.

— Przed słabymi i smutnymi — nie! I o tem wiedzą kobiety. Dla siebie możnaby wobec takich być tylko niedbałym i normalnie miałoby się dostateczną, kobiecą, satysfakcyę w okazaniu im tego. Ale w obronie życia samego należy być dla nich nieubłaganie twardym! I dzieje się to samo przez się u każdego, kto ma w sobie rzetelne instynkty życia. Gdy wracam, naprzykład, z Europy, z Berlina, czuję poprostu, jak mi po drodze, w wagonie kolejowym twarz

stygnie i zacinają się wargi na cały czas »szczęśliwego« tu pobytu. To jest poprostu odruch życiowego instynktu w obronie przed tym smętem i niedołęstwem, jaki się tu z powietrza wdycha. Bo niechby sobie tylko kto pozwolił mieć tu wejrzenie pogodne, jakie się wywozi, naprzykład, za granicę, do Berlina. Rychło spostrzeże, jak się rozżarzą wokół niego ślepia szakali. Nikt się tak nie zna na prawych ścieżkach życia jak niedołęstwo; a te prawe ścieżki nudne są przecie i smutne, wiedzą szakale. »Oto idzie ktoś pogodny, uśmiechnięty; widocznie powodzi mu się w życiu: pewno łotr. Ale podwinie mu się noga, podwinie! nie rychliwie, ale sprawiedliwie,« — oblizują się szakale. To są opiekuni każdej sprawności, każdej działalności życiowej, u nas! A niech te głosy szakali tylko zasłyszą hyeny idealizmu!... O, ja się szczerze przyznaję, że do fizycznej odrazy znosić nie mogę najdalszego zawycia tego ‚ich' tu idealizmu. Nienawidzę naprzykład ‚ich' tu sztuki! Śmierdzi mi to wszystko rozkładem życiowego instynktu.

Tu baronowi nadmierne wzburzenie samo zamknęło usta, rodząc spóźnioną znów oryentacyę, że nie z żoną się swarzy, nie przed nią wybucha. Tedy z wysilonym spokojem i akcentem żalu w głosie zamykał sprawę, jakby przed sobą tylko:

— ‚My' sami się grzebiemy.

— Ten ‚wasz' tu Woyda, — parsknął mimo to za chwilę, — który żonie chciał jakieś tam wiersze swoje dedykować, — Boże! jak ja tego człowieka znosić nie mogłem! Cały osobnik, jak stara panna: smętny, pretensyonalny, a nie ufający swym wdziękom. Rzekłbyś fizycznie

ślizki w tem swojem tragicznem niedołęstwie wobec najbłahszej sprawy życiowej, gdzie trzeba choć za grosz mieć woli. Poprostu nabawiałem się jakiejś niedobrej monomanii z pasyi do tego człowieka. Przybył mi nowy strażnik szczęścia mego. Miał wpływ idealistyczny na siostrzaną duszę mojej żony... Proszę pomyśleć tylko: taki dziad! brat taki! — i jeszcze tamten! Takie czuwanie hyen idealistycznych i te ślepia szakali nad cudzą radością życia; nad źródłem jego sprawności, dzielności czynu: — oto jest polskie szczęście!

Patrzała na niego rozszerzonemi w koło oczami: »Co to ma znaczyć?!«...

Twarz barona była w tej chwili znów biała jak płótno, wązkie wargi nikły w zacisku.

— O, gdyby ten Woyda nie był na tyle dowcipny i nie przeniósł się dobrowolnie na samo »tabu« ideału...

— Ach Boże, — i ten także!

— Któż tu mu jeszcze winszował tego kroku?

— Dziadek.

— E?...—baron stał przez chwilę z otwartemi ustami.

Rychło jednak zoryentował się i w tem.

— Kochają się bardzo hyeny wszystkie! I te nie stanowią wyjątku. Nad trupim gnatem ideału nie pożywione pożerają się wzajemnie. Wytwarza to tak zwaną atmosferę... — baron parsknął w kułak wetknięty między baki, — duchowego życia w tej... ph!... metroplii ideałów.

I twarz odęła mu się wzgardą bezmierną: rozłaziły się baki.

W przerażeniu i stropieniu ufności nagłem przestała

się już oryentować w tem wszystkiem. Rozumiała tylko nienawiść i wzgardę, nie wiedząc dokładnie, do czego i kogo odnosi się ona właściwie. Mozoliła się w ciasnem kole swoich przypuszczeń, ustaliwszy wreszcie po kobiecemu, że to wszystko razem, jest zazdrością o wpływ na Lenę, a może i o nią samą. Aczkolwiek baron może nic nie wie o jej stosunku z Woydą, tembardziej właśnie nurtuje go to tak bardzo, że aż nienawiścią w grób sięgać zmusza. Baron tego wszystkiego nienawidzi i tem gardzi, co tamten ukochał i co przebóstwił. — Wyłożywszy sobie tedy wszystkie fale życia, jakie z jego słów w nią uderzały, na swój ład kobiecy, uspokoiła się rychło. I podniosła na niego spojrzenie, acz nie dawnej już ufności, to przecie większego jeszcze zaciekawienia.

— Trzeba mieć twardą pięść, — słyszy oto głosem tak ostrym, że wstrząsła się mimowoli, — trzeba mieć twardą pięść dla tych wszystkich, co oblegają radość życia, jak te hyeny i szakale. To wszystko i tak jest przeznaczone na zatratę. Przyjdą inni, mocniejsi, przyjść muszą, jak biali do murzynów. »Tabu« pozostanie, jako *curiosum* muzealne wiary zawziętej, która ludzi cywilizowanych wtrąciła z powrotem przez barbaryę — w dzikość. Gdyby pan major, dziadek niby, mógł przeżyć tę wojnę dziś obwieszczoną, oraz to wszystko, co po niej niechybnie nastąpić musi; pokazywanoby go może za kilka lat w Berlinie po panoptikach, jako ostatniego Mohikanina. Może z piórami na łbie i tomahawkiem w ręku.

Zerwała się z krzesła w ślepym już odruchu oburzenia. Ale on w pasyi swej już nie zauważył nawet tego.

Wypadło przecie z ust, co ściskać musiały zęby w swem otoczeniu przez lat tyle: pękł wrzód zaropiałej goryczy.

— Tak, po panoptikach! — przybił raz jeszcze. — Ludzie dzielni, przed którymi jest przyszłość własna i świata, tam będą odsyłali te patosy smutków i pesymizmów. A ponurościami *in spe* panoptikowemi raczą się, jak wiadomo, tymczasem instynkty zbrodnicze. Będzie to *ultissimum* oddziaływania pesymistycznego ideału!... Czytałem u jakiegoś misyonarza, czy też podróżnika, że zdegenerowane jednostki ginących szczepów, wykradając się po nocach na »tabu«, wracają z taką żądzą krwi w nozdrzach, że lepiej nie czekać, lepiej od razu w łeb strzelić. Ja memu panu szwagrowi, ukochanemu bratu Leny, poprostu boję się nieraz w oczy spojrzeć. Przecież w tych ślepiach ołowianych drzemie tymczasem czyhające zniszczenie.

— Jezus Marya! — szeptała już z bezradnem trzepotaniem się rąk koło uszu.

— Mamże jeszcze powiedzieć i o trzeciej hyenie: o Woydzie? Schodzi oto z »tabu« w »purpurze marzenia«, powiada żona — i dzierży złoty klucz mistycznych tajemnic. Nic się nim jakoś roztworzyć nie chce, coby rozsądek, lub rozum chciał mieć, naprzykład, choć trochę uchylone. Natomiast pasuje ten klucz dziwnie do wszystkich serc kobiecych, oraz wszelkiej wątlizny dusz męskich. *Tausendschluessel!* I otwiera im mroczne głębiny życia w ich własnych osmuceniach! — sumieniach! — prowadzi na wyżyny lepszych wiedzeń niż chęci, wyższych chęci niż skłonności, by w tych przerażeniach duszy nieustannych zamienić proste

ukochanie życia w miłość złą, ponurą, przewrotną!... Trzeba ten zapóźniony romantyzm maruderów cywilizacyi: tę ideologię pesymizmu przy robocie podpatrzeć — nad formowaniem dusz młodych. Jest czem się przerazić! Bo wszystko, co się rzekło, to wciąż jeszcze ta prawa, wysoce idealistyczna strona medalu. Lewym, niechybnym odpowiednikiem jest równocześnie spotęgowanie nieodporu na wszelkie pobudki i podniety życia, aż do bezładu wrażliwości, — przy zawsze »złem sumieniu« idealisty. — Ponure zaznania zapowiadają się tak spreparowanym przez pesymizm duszom... A klucz mistycznych tajemnic pracuje w nich tymczasem wciąż: dociera do najbardziej utajonych zakamarków smutku, sumienia, beznadziei, białej ekstazy i czarnej perwersyi! — Zbawienie nas wszystkich leży na dnie tej »tajemnicy«. *Abrakax!*

I usłyszała śmiech tak nizki, że zda się tylko w piersi dudniał pod jadowity grymas warg.

— To ostatnie słówko jest czarnoksięskie, — parsknął za chwilę, może być i purpuratowe, ponieważ nic znaczyć nie raczy. — Czytałem, u tegoż misyonarza, że czarodzieje, czy też kapłani zdegenerowanych szczepów...

Lecz tu ona zatrzepotała się cała jak ptak w bezradności ostatniej. I odwróciła się twarzą do ściany, przylgła do niej czołem, uszy oburącz przysłaniając.

— Niech pan zamilknie! — Ja nie mogę tego słuchać! I nie chcę!...

Zbliżył się do niej i pochylił nad uchem. Poczuła z tyłu na szyi suche muśnięcie baków.

— Oto, jak czuwają hyeny pesymizmu i szakale cnoty

nad ochoczością życia u nas. Oto jest polskie szczęście!... Te bestye płoszyć i opędzać się przed niemi zdołam ja może — chłodem krwi i myślą obronną, wyostrzoną w życiu jak nóż. Ale oto dusza, która zbudzić się ma dopiero, instynkty życia najbujniejsze może z otoczenia całego. A hyeny i szakale przywabia najskorzej ciepło krwi co najbardziej wartkiej. I w porę! Rychliwiej, niźli sprawiedliwie, już się tu podcięło życie młode w lekkomyślności, czy szaleństwie jakiemś. — (Baczę ja dobrze na słowa i wnet złowię płotkę tajemnicy młodej!). — Tedy widzę już poprostu, jak dopadają to życie szakale i hyeny. Szakale ustąpią: i w pysku słabsze, i niuchem wolą to, co się już rozkłada. Poczekają!... Hyeny zatryumfują tymczasem i obudzą, obudzą rychło smęt bezradny w pustocie dawnej: rozszarpią pesymizmem te życia instynkty bujne, rozwloką po cmentarzach starych. Już ów dziad ponury rozpoczął tę robotę!

— Kto pan?! — krzyknęła, nie odrywając czoła od ściany. — Kto mówi?! Ja chyba już na pół przytomna... Ten szept!

I zdawało się jej, że słyszy w odpowiedzi:

»Budzi się dusza młoda ku przeznaczeniu swemu: szeptem mówić należy.«

Poczuła na ciemieniu jego rękę pulchną; pociągnął ją ku sobie tak, że głowa oszołomiona oparła się wbrew woli o jego piersi.

Słyszy tym razem już wyraźnie głosem chłodnym namaszczonej życzliwości:

— Tedy żal mi tej główki młodej.

— »Wszystko samo się niszczy, samo się piele — wyrwało się jej z ust w przypomnieniu nagłem.«

— Co pani?...

— »Wszystko, co nie jest ofiarą, lub...«

W porę pochwycił ją wpół, zanim osunęła się ciężko na ziemię.

Bezradny, nie mając wody pod ręką, próbował niżyć jej głowę, by docucić tak wywołanem uderzeniem krwi. Poderwał w ramiona: zwisła mu w nich właśnie, jak ta łodyga złamana. Przez pół tem docuconą, doniósł, dociągnął za próg, gdzie na tacy murzyna stał dzban i czarka. Przerzucił na jedno ramię, drugą ręką nalał wody i przytknął do ust.

W ramieniu jego leżąca rozchyliła powieki i spojrzała na czarkę z obłędnem przerażeniem w oczach.

»Woyda pił!« — krzyknęła myślą.

Dzwoniła zębami w szkło i zacięła wraz usta w kurczowym zacisku szczęk. Rozpaczliwy, szamocący się upór był w popłochu tych oczu i nieprzytomnych wybłyskach nienawiści.

»Dyabła sakrament!...«

Naciskiem ciemienia podawał głowę i wciskał zrąb czarki między zęby. Zadzwoniły dygotem drobnym po raz drugi w szkło. Już nie nienawiść była w oczach, lecz stężenie lęku błagalne.

Wyczerpał ostatek cierpliwości. Brutalnie mocnym naciskiem policzków pod uchem rozchylił szczęki zwarte i wlał całą zawartość czarki. Krótki krzyk jej stłumił bełkot w ustach.

A płomień zgrozy na źrenicach rozwiał się rychło

w zdumieniu, z jakiem spoglądały za chwilę oczy. Na kanapę złożona i nie widząca go przed sobą, miała dziwne wrażenie, że znikł, przepadł nagle, jakby w tych dymnych kłębach nienawiści i wzgardy, w których gubiła się myśl ledwie ocknięta.

Gdy jedno pomyślenie podniosło ją powoli nad poduszki:

»Któreż to było przekleństwo, a które błogosławieństwo? — pytała siebie, przypominając dwa uściski swej głowy.

»I ku czemu?«...

A on wypaliwszy tymczasem papierosa i owładnąwszy rozdrażnieniem chwilowem, stanął nad nią z rękami w kieszeniach i zwieszał cierpko wargę.

— Co to było właściwie? Hę? Jakaś nerwica w dodatku po omdleniu?

Przecierała oczy.

— Ach, pan jest tu?! Tak mi dziwnie, że pana jeszcze widzę.

— Czemuż to pani nie dawała mi się ratować?

— Ratować? — powtórzyła tępo, wciąż jeszcze w omroku jakimś. — Nie wiem.

Wzruszył ramionami.

— Ja odrazu powziąłem tę obawę, że pani nie należy

pozostawiać samej w tym rozstroju, w jaki ją wprowadziła rozmowa z dziadkiem.

Dziwnym jej się wydawał głos ów w tej chwili: że taki naturalny, prosty, rozważny i, choć ostry w dźwięku, to przecie pełen dobrej życzliwości. Przepraszał za swoje uniesienia w niedawnej rozmowie i za jaskrawości sądów o ludziach z pod swego dachu. Uciszał przemawianiem do rozsądku, spokój myślom zalecał.

W tej chwili z oburzeniem już wspominała dzikie urojenia swej wyobraźni. — »Wszakże to on, — myślała teraz, — każąc służbie uprowadzić starego, przepędzał zarazem zmory smutku, beznadziei, śmierci, przeszłości... O szczęściu ludzi żywych *on jeden* wśród nich tu wszystkich zaprzątał się troską surową i pracowitą. »Instynkty życia«, — wypowiedział z jej własnych czuć prawdą prostą. I darował jej tę prawdę w oczy ufne. Uśmiech, od godzin zapomniany, przez łzy wywabił na tę jego drogę: od warg niecierpliwością rozchylonych ku oczom w czujnej ciekawości zawsze wpół przymkniętym, w tę rysę, drgającą na obliczu: w to znamię życia na policzkach młodych. Rozjaśniał, rozświetlał duszę. Zaś ludzi w przyszłości może niechętnych, zła popełnionego pamiętnych, — szakalami zawczasu obezwał. A odwagę, sił żywotnych dar ślepy, przeciw nim skierował: na walkę o swoje prawa do szczęścia!...

Oto wciąż jeszcze stara się uspokoić rozwagą swoją. Lecz ona już słuchać uważnie przestała: sam ton solidny robił swoje, wprowadzając znów w ten błogi stupor uległości. — »A jednak, — pomyślała jeszcze, — jedyne to

usta, które mogą mówić o prawdziwem życiu; jedyny człowiek, który znając je na wskroś dać może pouczenie szczęścia. Jedyna to też ręka, która za to proste pragnienie własnego szczęścia pogłaskała ją z powagą ojcowską. A słowa »główka«, »rączka« wymawiał z namaszczeniem prawie pastorskiem, jak gdyby błogosławiąc wszystkim instynktom i zmysłom kobiety.

Podjąwszy się na łokciach, opuściła nogi, przysiadła na kanapie i, acz słów nie baczna, zasłuchana jednak wciąż w ukajającą perorę tonu. Ujęła go ciepło za rękę, zmagając się przez chwilę z nieodporem czy też musem, podjęła ją wreszcie do ust.

Przyjął to z flegmą nieomal, jak rzecz należną, lub co najmniej taką, do której przywykł był może wobec żony w pewnych chwilach owładania jej rozterką.

Cała w pokurcz przed nim schylona, przeniosła tę jego rękę z przed ust do rozbolałego czoła.

»Niewolnice roztropnych«! — przyniosła pamięć uparta i te słowa Leny. Nie wykrzesała z nich jednak ani cienia odporności, a przeciwnie: świadome już dążenie do największego uciszenia duszy.

A jednak złudne to były ukoje: nurt sięgał głębiej i dał się ledwie po wierzchu ukołysać i wygładzić usypiającym duszę kobiecą tonem męskiej rozwagi.

Bo oto ledwo drzwi się za nim zamknęły, rozjątrzona tyloma wrażeniami wyobraźnia, wyrwała się z głębi i poniosła znów drogą natłoczonych obrazów w niepokój nowy.

Na mosiężnej tacy ponad jej głową grają blaski świecy i odciągają tam raz po raz spojrzenia lękliwe. W kryształowy dzban zanurzyło się odbicie płomyka, skrami światła błyszczy czarka tuż obok. Zaś nad tacą, dzbanem i czarką wyziera łeb kukły czarny i białopołyskliwe jej ślepia, przyczajone w ciszę nocną: — te same, pamiętała, które onej chwili patrzały na jej grzech.

Przebiegł ją wskroś ten wstrząs, ścinający wargi, a powracający za każdą chwilą tamtego przypomnienia. W gwałtownym napływie wstrętu próbowała zerwać się z kanapy, ale sił nie stało. Mimo że w swem zasłuchaniu w ciszę postanawiała nie oglądać się po za siebie, coś jej przecie skręcało jakby szyję, zmuszając do obejrzenia się na ten graniasty łeb o szklistej czerni, głuche ślepia wołu i wargi krwią odęte.

»Oto stoi *On* — Bożek zastoju«! — przypominała znów słowa Leny.

I pomyślało jej się znów, że pod jego to spojrzeniem wypijał Woyda czarę swoją, by się tam oto wnet potem zwalić — u tamtych drzwi!

Wzrok jej wbił się w to miejsce na dywanie, wplątał się w jakieś jego arabeski i nie mógł się z nich wyrwać, trwodze samej na przekór.

A równocześnie odżywała w pamięci ta Woydy opowieść, powtarzana niedawno ustami Leny: o życiu zaklętem w bezruch i fałsz, o serc kobiecych zakłamaniu urocznem. Słuchała tego niby bajki napół znanej o pięknej młodości zaklętej w szklaną trumnę: o tem, że gdy serce kobiety zastygło, cały świat zamarł w bezruchu... Wyciągnęły się wtedy ręce po ten ponętny owoc piękna, usta nazbyt prędko rozgryzły w nim robaka. Bo jakiż to osad został po tem wszystkiem z onej wyobraźni kobiet, która za życie im stała, piękno wysokie roi, a zło w dopuszczeniach myśli wylęga potworne. Oto powracały do pamięci te dyabły, co jak złośliwe małpy powdrapywały się na wieżyce kościołów i wychylają z za każdej wnęki swe złe mordy, by tam, gdzie wieża urywa się, nieba nie dosiągłszy, by tam właśnie...

Otrząsła się grozą.

»Nie sąż to kobiety?« — przyniósł dziwnie błysk przerażenia.

»Najczujniejsze, przeczuwające sumienia życia!« — odwróciła się myśl na wspak przypomnieniem i tych słów Leny.

W zalęknieniu instynktów stawała przed nią właściwa tajemnica życia: zagadka samej siebie.

I ogarnęła ją po raz trzeci już tutaj niesamowita trwoga przed złem, zatajonem w myślach i czuciach. Jakby za każdem słowem, śmiechem i porywem wśród tych ludzi, za każdym oddechem wśród nich zaczerpniętym przybywało tego niepokoju. Zaś to, co mówił baron, — nie przypominaż się to, mimo wszystko, mrowiem niepewności? nie wiedzież hardą żądzą szczęścia w dymne kłęby napół zrozumiałych wzgard i nienawiści dla tego szczęścia wrogów: hyen i szakali, jak ich obzywał?...

Pośród tych tu ludzi z początkowych słów, śmiechów i porywów błahych czyniło się już usypisko ruchome gdzieś ku dołom rwącej lawiny.

A w tem zalęknieniu — Lena, która po swych górnych opowieściach tak rychło u boku męża dręczyła siebie niżącym myśli dopustem, że oto w przechodniego mężczyzny ramionach i gdzieindziej leży: ta Lena wiedźmą wydała jej się w tej chwili. I oto gdy zimne ciało wiedźmy teraz może znów swą służbę sprawuje, coś się od niej ptakiem odrywa, w ponocnego nietoperza wraz zamienia i tu się oto błąka — pod drzwiami — gdzie on skończył... Zaś tamta, druga, z jej dygotem i trzepotaniem się zwichrzonego życia — strzygą jej się wręcz wydała.

Te myśli urojenia, czepiwszy się rozjątrzonej wyobraźni, prawie że zwidem się stawały. Owe ćmy i nietoperze, ktore czaiły się tu jakby po ciemnych kątach na każdą chwilę wyczerpania, zjawiły się znów, — tym razem

z taką siłą, że stają się dla oczu rojem cieni, błąkających się cicho w oćmie pokoju.

Zaś tam, na dywanie, skąd się wzrok dotychczas oderwać nie dał i ledwie dłonią przysłonić pozwolił, tam pode drzwiami — leży Woyda tej chwili: wystarczy może tylko rękę opuścić, aby ujrzeć powalonego kłąbem w skurczu zatrucia. A wokół tego miejsca strzyga się snuje: krew, z ust jego wązką strugą płynącą, niucha strzyga zwiewnymi chrapy, tą twarzą popielną i złotym wybłyskiem okrągłych oczu: dopada i trzepie się bezszelestnie — z cichym, mysim piskiem nietoperza.

A gdy to widzi wyobraźnia, szyję skręciło znów nagle, każąc się obzierać na ten czarnoszklisty łeb i gały w nim białe: patrzeć czujnie w oczekiwaniu jednego słowa, które hakiem czepiło się wyobraźni.

Widzi najwyraźniej: poruszają się oto szerokie, krwią odęte wargi, — czerwony pysk wyciska z kukły to słowo czarnoksięskie:

— *Abrakax!*...

Wysiłek śmiechu nad sobą za to urojenie przeszedł natychmiat w chichot szarpany i urwał w spazmie krótkim, stłumionym w poduszkach.

Cisza nocy stała się jak struna głucho dudniąca, uderzana biciem jej serca, a zakończona tłumionym przyjękiem oddechu i wypraszalnym bełkotem, rzucanym w noc, milczącą jak przepaść. Opadła głowa na poduszkach, w tył się jakoś osunęła na sprężonej szyi, omotała, blada, włosów nieładem: z szeroko rozchylonych ust wyrzucało się spiekłe tchnienie gorączki, ołowiane ciężary położyły się na

oczach, potem zlewało czoło. Nad głową uśpioną rozpostarł lęk czarny swe trzepoczące skrzydła.

Niebawem wszystko zgłuchło wokół niej jeszcze bardziej, jakby kto zaparł cicho ostatnie wrota jawy.

Ujrzy się przy ognisku: zatulona, drżąca, jakby z pod słoty i szarugi wielkiej tu się przedarła — przez te dymy gęste naokół, z których wysuwają się kołem wązkie mordy i żarzą bezlikiem ślepia krągłe w zielonawych rozbłyskach. Ogień, dziwnie mocny na tle tej nocy dymnej, łopoce się w purpurowych płacht rozdarciu i trzaska wciąż od tego roju ciem i nietoperzy, co się wtrzepują w niego bez końca.

Widzi Lenę tuż obok: ciałem gołą, ledwie włosów płowych wiechą na karku przysłoniętą: grzeje w blasku czerwonym boki tłuste, o skórze lśniącej i jak na bębnie opiętej; waży w dłoniach piersi, czy rychło zwisać poczną; pluska się po udach dłonią ciepłą, jak gdyby powiedzieć chciała: »to jest jedyna prawda nasza!«... Naprzeciw, przez rozwiew płomieni co chwila widny, leży brat jej: wyciąga ramiona ciężkie, zagrzewa przed ogniem kułaki bronzowe, ziewnie przeraźliwie i powala się na grzbiet, jak ten niedźwiedź w klatce zanudzony... Tuż obok zebrał się wązko w garb wielki nad kijami dziad Leny: grzeje przy ogniu członki chude, śmiercią stygnące i kiwa głową, jak zegar wahadłem: niemy, głuchy, ślepy... Oto wcho-

dzi przez kłęby dymów ktoś obcy: na postać chmurną purpura ogniska narzuciła płaszcz blasku; przylegał oczami do Leny; a gdy zasiadł do ognia zdał się przerażony tem, co czyni; chwiał się, słaniał i powalił wreszcie u nóg jej: i tak też i pozostał w cieniu jej ciała. — Lecz oto wchodzi przez dymy ktoś drugi, już nie na Lenę, lecz na nią samą spozierający mdłym uśmiechem znużenia: poznała wraz z tym otrząsem mroźnym, z jakim powracało zawsze wspomnienie tamtej chwili. On tymczasem siada za blizko ognia; a jej tężeją ręce bezradne, głos zamiera na ustach: i tak patrzeć musi, jak płomienie chwytają się jego rękawów, oplatają pierś i buchają już ponad głowę. Wyciąga ku niej ramiona płonące i z matołczym chichotem na ustach za ręce chce ją chwycić, w ogień szarpnąć. A oni wszyscy są tak dziwnie spokojni, jak gdyby nikt tego nie widział.

Za nimi, w dymach czynił się tymczasem ruch wśród tych ślepi żarzących się wokoło; zgasły nagle wszystkie: i kołem obsiadły ognisko gromady panów i dam o twarzach przymilnych gości dzisiejszych. A spojrzenia ich zwracały się zgodnie w jedną stronę.

Szedł z twarzą bladą i suchą jak płótno i sztywnymi baki, a w gołej jamie tych włosów zaciskały się wargi tak, że ust wcale widać nie było. Wszystko gięło się przed nim, — mijał z pogardą. A gdy się do niej przysiadł, stężała w trwodze. Wyciągnął rękę, pochyliła się do niej.

»Wszyscy to czynili, — rzekł sucho, — ilu ich tu widzisz. Zaś ty musisz: nie dla siebie tylko... Bacz, by na twarzy nie czytano przerażenia: szakale patrzą. Uszu przychyl, oczy spuść: — dziecko twoje...

»Jezu!«

»Milcz.«

Błysły mu oczy czerwonym odbiciem płomieni. I splunął w ognisko.

»Wszyscy mi tu kwoli czynią dla swoich tam przyczyn, o które nie dbam: głodu, ambicyi, czy kobiet. Więc i o twoje błahe przyczyny nie stoję. Wszyscy mi tu nie tylko kwoli czynią, ale i po myśli. Znużyły się dusze w niemoc zamyślenia nad sobą, w trwogę przed tem, w nienawiść tego: pesymizmem zwą; — i to także!

I usłyszy śmiech nizki, na wargach zaciśniętych nie widny, w piersiach tylko głęboko rozdygotany.

»Ale tyś najmłodsza, duszą nie znużona. Przetom do ciebie przysiadł. I bacz, — szeptem mówię: »budzi się dusza młoda ku przeznaczeniu swemu«.

Przysunął się bliżej, ustami do ucha chylił.

»Pogodę zła daruję, owoc szczęścia w drżące dłonie dam — za jedno tylko: za poniechanie prawdy uczuć i myśli: własnych wyłącznie, tych przed sobą jedynie, o których i tak nikt nigdy nie wie«.

»Wykląć się?!«

»Nie za siebie tylko. Nie o twoje błahe szczęście idzie. Nie o twoją duszę stoję.«

»Przypominam! — dobyło się z niej w oddechu głębokim. — Życie stanie, — w bezruch dusz, powiadali.«

Wówczas on porwał się z ziemi i zapalił się gniewem w oczach czerwonych przed tą łuną ognia.

»Nie wieszże przed jakiemś ty ogniskiem?! Nie mówiłć stary?! Nie poiłem ja cię tu w trosce ratownej? Gdziebądź

uciekniesz: w sobie masz ten napój żądzy szczęścia i dosytu.

I ujrzy go wówczas dopiero w jego postaci własnej, oczom ludzkim skrytej...

Biegnie po bezdrożach dymnych. A za nią, porwawszy się z przed ogniska pędzą kołem szerokiem chmary szakalów. Mniemała, że przed się pomyka, rychło wszakże czuć jęła, że w koliste bezdroża gnają ją przed sobą w mgle i oćmie te ślepia okrągłe o zielonych wybłyskach naszczekujące wciąż: »dziecko! dziecko twoje!«

Gdy nagle usłyszy koło siebie skrzypienie piskliwe, gdzieś, nieopodal w tej ciemni.

»Krew!... Krew!... — skarży się wokół niej i skoli ta strzyga niewidna. — Za mną chodź, — szepcze — wywiodę, wyczuję! Skrzydła popalili, ciało pohańbili, duszę roztargali, dno serca obnażyli: niem ja czuję! Chodź za mną. Wywiodę... Patrz, — jest! Jest jeden!«

Widzi przed sobą tamtego — z przed ogniska, z za płomieni rozwiewu: z przepaską bandaża na głowie i plamą krwi skrzepłą, co się przez nią na czoło przesączyła. »Sama wiązałam« — przypomina.

A on:

»Podobnaś! Dziwnieś ty mi podobna«...

Machnął ręką ciężką: odtrącił precz wspomnienia.

»Patrz! — podjął myśl inną, — żądza dosytu u jednej kobiety ilu ludzi poniżyła! Zmarniał przy niej, jadu sięgnął duch strażniczy; marnieje przy niej, jadem cudzych dostat-

ków truty, i ród jej własny... I ja ległem przy jej ognisku po dwudziestu latach wielkiego znużenia. Nękiem obcej krwi ołowianej lat dwadzieścia truty, tu między nimi innej obcości jad chłonę. I tak między dwoma duchami obczyzny za młodą swą duszą wstecz patrzę, młode me siły swoim ludziom oddałem doszczętnie, młode me uczucie na hańbę posłali w odwdzięce. Sam ja!... czekający wciąż.

»Na co?!«

»Na krew«, — ozwie się przed nimi.

W tej chmurze ciemnej, w korowodach wśród oćmy nieprzejrzanej zbłąkała się rychło, zgubiwszy ich głosy przed sobą. I wziął ją lęk samotności przed ciemnemi drogi w tumanie. Więc klękła bezradnie, cała w sobie stulona, twarzą w ramionach ukryta.

Aż póki nie poczuje na sobie potrącań gwałtownych i nie rzuci się obejmować kolan starca, chyląc głowę i czoło ku ziemi.

»Nie o tobie ja!« — mruczy starzec nad nią, — nie o tobie przecie! Na twą młodą głowę zmąconemi oczami patrzę, a gromady ich całe widzę. Nad każdą — wszystkie do łez krwawych opłakiwać będą, a wśród wszystkich — każda mi niczem. Bo śmierć, obojętności matka, nie nad dolą tam czyjąś, a nad duszy wspólnej przyszłością dumać mi każe... Nie czepiaj mi się ręki! — patrz zła w pokurczu niedołęstwa jak starość każda... I dokąd mnie wleczesz... Kędyć szaleństwo ciągnie? i jaż to niby prowadzę? W tył powloką, i podobnież ja wieść będę. A mnie te wasze w »tył« i»naprzód«w jedno błędne koło się zamykają wokół trumny mojej... Daj niech spocznę na niej... Idź w przeznaczenie

swoje, idź!... Wszystko samo się wyniszczy, samo wypiele...«

A gdy się od tych słów jak od przekleństwa oburącz zasłoni i podniesie wzrok — ujrzy hyenę u trumny, szkieletem prawie widnym, jakby popielną próchnicą tylko przysypanym i jej głuche zamącone oczy cmentarnego wejrzenia.

Szła ślepa wciąż, te zielonawe wybłyski szakalich ślepi widząca jeno naokół. Póki w tych krowodach wśród ćmy tajemnic nieprzejrzanej nie ujrzy ludzi jak cieni, zszeptujących się ze sobą z cicha; potem gromady ich całe, wreszcie tłum wielki jak chmurę. A w rozchwiei głów, dla wzroku w plamy zatartych, w morzu twarzy niewidnych — gdzieś, hen, jak świeca jasna: Wandy oblicze blade. Lecz oto przed te tłumy wyskoczy on z karabinem w ręku. »Mam jeden!« — krzyknie. A którzy bliżej sarkną wzgardliwie, tłum za nimi szumi, jak morze. Te groźne pomruki i rozchwieje gromady, powietrze skier i płomieni pełne rozdarły przed nią wszystkie tumany uczuć w jasność zachwytu: — wyrzuciły się ramiona ku górze i zaklaskały ręce szalone.

A oni sarkną.

»W śmierć ty nas owczą, na zatracenie!«

»Kolejno pójdziecie: ‚jako te kamienie, jeden za drugim...' Też ja wam wprost jakby z książki: wedle wieszcza czynię, — rzucił im z pogardą.

»Za kamieni kupę?«...

»Ku czemu was matki rodziły, nie wiedzą pewno same

Ledwie przypomną, dlaczego na świat wydały; wspomną z marzeniem, lub chichotem. A im kobietom, co — w jakie nas życie miotnęły? Ku czemuście wyrośli, wiecie sami dziś. A do czegoście zdolni, wiem ja. Ja jeden wiem, co życia bezruch na bezduchach płodzi: jakie dzieci te matki rodzić zdolne. I ku czemu? Nim się matki wasze dowiedzą, ku czemu was rodziły, tę im psotę czynię, że się zwiedzą przypadkiem, iż zrodziły... bohaterów! — wyrzucił im jakby z ręki pogardliwej przy zębów zacisku.

Zgubi go na chwilę z przed oczu w głowy opuszczeniu, a gdy go wzrokiem nad tłumem szuka — ujrzy hyenę włochatą i jej pysk wprzódy rozziewany, teraz w kłach wybłysku rozwarty pod ołowianych oczu twarde zapatrzenie.

»Chodź! uchodź od nich precz! Nie leź w tę ich robotę. Wandę ja znałam, na pokucie znałam... Widzisz: desperacya to twoja, ten z dzieckiem w myślach frasunek, zgłuszony gromadnych spraw zamętem przecie na dnie duszy kobiecej żył najbardziej. Takie my już z natury. I tak cię one frasunki grozą przypomnień i rozpaczy błyskiem wprost mi w ręce nawiodły — po ciemności. A Wandę znałam, pod kluczem znałam. Nie raz jej mówię: »Za mężczyznami lazłaś pani w to: wiesz, czy nie wiesz. Każda z nas kobiet wszystko, co robi, to przez tych drani tylko. A same my: to albo za mąż się dać, albo... się. Tyle tylko potrafimy z siebie«... A i ty nie leź do nich! Oni właśnie na takie, jakby zaczajeni: która nie wie, kędy w życie,

a odważna z siebie. Podjudzą, do białego żaru rozpalą i kamieniem cisną, gdzie im trzeba. Napatrzyłam ja się tych sokołów, gdy w sępy po klatkach zamienione tuczą wątrobę wspomnień... Że też nie trafili na podjudzoną sokolicę, na samicę zbestwioną, która mścić się zechce, jak to kobieta: na sobie, że otrzeźwiała, na nich, że zawiedli, — i w klatkę zamknięta, sama sępem w ich wątrobę wspomnień sięgnie... Hu!... źleby było!...

A ty nie drżyj! I nie trzep się tak ramionami, nie wyciągaj rąk błagalnie. Tu ci nikt ręki nie poda. Nie bój się, nikt!

»Przypominam!« — odpowiedziała oddechem głębokim. — Stary mówił: Nikt ręki nie poda!...

I zapadła twarzą w dłonie.

Wtedy tamta pod ramię ją ujmie i wiedzie gdzieś przed się.

»A głupiaś ty mi! Każda z nas im ma krew cieplejszą, tem na karyerę głupsza. To żeś ty odbiegła ogniska polskiego szczęścia. I kędy? Dokąd? Z dzieckiem w brzuchu! — A ty myślisz, że tylko oni szczęścia chcą: burżuje? Każda nędzota, każde ścierwo ostatnie ma jeszcze dyabła swego, któremu rade odda za ono ostatni szmat duszy. Tylko że u nich ładu, składu, porządku pięknego w chęciach więcej; a smutek ich damul w łóżkach, gdy próżne, — piękny, bardzo bo piękny! A tu u nas: niebo z piekłem się zmieszało, chęci się kłębią jak to wężowisko, a smutki nasze zwą się: zbrodnie.

— »Kto ty?! — krzyknie teraz dopiero i wyrwie się jej z rąk.

»Ja ‚Mańka, Kalosz'!« Pani baronowej siostra starsza. Mleczna siostra. Jedną mamkę ssiemy. Chu-udą! A obie spasłe... Nie bój się śmiechu mego. Choć gruby. Nie bój!

I wtedy dopiero ujrzy jej postać własną, oczom dotychczas skrytą...

»Nie uciekniesz, ja cię zgonię... Wiedźmyć w duszę zaszczepiano: na sabatach byłaś uchem! Nie wyciągaj tedy ramion: tu nie pięknych smutków pora, tu nie białych damul łoże: tu już nasze desperacye i chichoty nasze! — Tu już na się wzięta dola!... Własna — twoja — biedna — dola!... Dola!... Dola!... Stój! Wmig cię zgonię. Bądź co w uda swe okraczę, kieckę w skrzydła, na ramiona! wyżej pępka, wyżej zadu i — huu! śmigam w lot nieścigły... Ich się nie bój: to szakale! moje kotki, me pieszczochy: »Kizi-kizi, goście mili! przyjacioły, druhy ludzi«... Pójdźże pestko dyabła twarda! Ja wyłuskam cię z gorsetek. Precz te szmaty! wont atłasy!... Białe kurczę, z pod skorupki. Mięsa mało, pierza wiele. Gładkaś. Ciepłaś. Słodka w szyi. Łaskotliwa pod pazurem. Mnie się trzymaj kurwy starej. Ja się znam na drogach ciemnych, nie przerazi mnie pogarda: nas przekleństwo wichrem miecie w najciemniejszych dróg rozkosze: — na sabaty! na sabaty!... Już szakale w lot się mają: jak pochodnie z nami wzlecą oczu ognie ich zielone. — Daj, namaszczęć, byś latała. Łydy prężne, stopy kocie... Już zabłysły ślepki skore? Skórka w dreszczach, włos się jeży... Wezmąć, wezmąć dzikie dreszcze, jak te wieżyc sabatnice pod piorunem nieba grozy: Bogu, ludziom, dyabłu sprzeczne!...

»Kto? — targnie się ciałem, uczuwszy się pochwyconą za ramiona i ręce wraz.

A ona hen z oddali już:

»Oficery grzeczne«.

Święta ty dla mnie Wandziu jesteś! — więc pozwól, — pozwól mi klęczyć przed tobą. Choćby za to, że mnie ze snu strasznego zbudziła twoja twarz jasna. Bóg chciał, żeś ty tam cicha na pokojach przy rannym pozostała, by usłyszeć przez ściany moje płakanie bezradne. Dusza mi się, Wandziu, ocknęła i wyrywa się, — słów ładu nie patrzy — och, bo ja wiem! — w twoje chyba oczy głębokie. Prawdziwość jest w nich uczuć bezdenna! Do niej ręce składam . . . »Święta Brygida, celtyckiego króla córka jedyna . . .« Och, nie odpychaj mnie. Za pacierz mi to staje uciszenia. Ja słów pacierza w pamięci teraz nie znajdę. Zło jeszcze nie daje: ledwie ustąpiło przed tobą. A tamto wraca do myśli, ilekroć na ciebie spojrzę. W »żywocie« czytałam dzieckiem. Dziecka pamięcią powtarzam . . . Och, nie uchylaj mnie od siebie! Nie przerażaj ty się mnie. Jeśli co ze snu tego gorączki zostało, nie moja to wina. Zło życia całe przeze mnie gorączką mówiło i żar swój piekła samego jeszcze mi na wargach pozostawiło. Ale czucie ogniem głębiej padło: w piersi, Wando! . . . Och, nie przerażaj ty się mnie, nie odpychaj rączkami chłodnemi! Ucałuję! — ubłagam! — ubóstwię!

Ona wtedy za ramiona ją chwyci i, co sił wątłych, potrząśnie nią.

— Zbudź ty się, zbudź jeszcze bardziej: jakieś niedobre moce tego snu targają tobą wciąż. Głosu przecie nie poznaję, — twarz nie ta: nie twoja. O, i te oczy!

— Ocknęłam ja się duszą, ocknęłam Wando.

— I powstań z kolan, droga.

— Ty nie znasz tej potrzeby ubóstwienia czegoś, co można widzieć, czuć, słyszeć, — za rękę chwycić: pomocną, ratowną.

Lecz w tejże chwili, jakby inną myślą uderzona, porwała się z klęczek, zatoczyła jak pijana i zachichotała ostro.

— Ja tu ciągle do czyichś kolan przypadałam, ciągle ręce jakieś obcałowywałam: tak mi się dusza wypraszała w ocknienie... Oni powinni byli wiedzieć. — A jeżeli nie do rąk obcych dorywałam się, tom chichotała przy uśmiechach cudzych, lub zapalałam się wyobraźnią w konopiany błysk spłonienia i w ciemności strachu ogromne. A pulsy to czułam tu, na policzkach, gdzie ten uśmiech... bolał ciągle, — wyrwało się z zipnięciem płaczu nagłem. — I tu na wargach pulsy czułam, na ustach, gotowa przychylić je każdemu, kto zabawi, rozśmieszy, zdziwi, podrażni, przerazi, zachwyci: — wszystko jedno! Oni powinni byli wiedzieć.

— Cóż to ludzie wiedziećby powinni?

— Jaka ja... będę.

— Nie mów tak! — O, i te włosy w wicher nieładu wokół twarzy — i jakby w zaognionej czarności. Popraw!

popraw je czemprędzej! Och, nie, — nie rób tego mu na złość! Nie rozrzucaj ich. Nie mogę patrzeć!

— Ha-ha! Gotowaś uciec ode mnie! Patrz, tak nas przystroją i posadzą w świetle: kukiełki głupie i puste, w których myśli śpią. Aż póki...

Chwytała w garście włosy i w małpio zwinnych ruchach oplatając je koło ciemienia.

— Wiesz ty, — mówiła prędko, połykając słowa — że ja się tu dziś wieczór oddałam. Komuś, któremuś... Przyjść musiało. Który najbardziej rozbawił naprzód, potem najbardziej roztkliwił, wzruszył i najbardziej przeraził. Zabawił pustotą: tem, że się tak zmienił przez lata, że już oboje nie dzieci, że w psotach i mocowaniach dawnych coś nam przez ciała przepływa teraz. Roztkliwił wspomnieniami młodości. Wzruszył aż do rozpaczy tem, że go z rąk moich porywali na wojny pohybel. Przeraził do szału ducha swego zamętem — wtedy już. I tak, w tkliwości, wzruszeniu, grozie i przestrachu, na progu chyba nieświadomej odrazy w mej duszy bezmyślnej. A sam on: wtedy już bez duszy nieomal: zwierzę jakby. Oo! wstręt i odraza tylko teraz!... Powinszuj mi pierwszej miłości.

Wanda szczękała zębami. I bladła na twarzy tak, że te żyłki błękitne na skroniach występować poczęły w sinej już siatce i gruzłach. A z oczu fioletowych całego kręgu jęły wysączać się łzy jak rosa na jej rzęsy wielkie.

— Na litość Boską, zamilcz, — szeptała błagalnie i tak cichutko, że tamta ledwie po warg ruchach odczytywała jej słowa. — Oni tu tobie rzeczywiście ognia w żyły chyba nalali.

— O ty nie rozumiałaś wcale: ani z jak bezładnym żarem modlić się tylko może dusza po tem, ani z jak wielką nienawiścią do siebie spowiadać po tem.

— Po czemże to ciągle?

— Po sabacie.

— No, co ty?!... Co ty znowuż?

— Wszystko, co tu było dzisiejszej nocy, na co patrzyłyśmy obie — sabat to był: czarownic i szakali zlot przed dyabła ogniskiem. A kto od niego odbiegnie, temu nikt ręki nie poda, nikt! — mówił stary... Hyeny i szakale otoczą go i ku dobru prowadzić zechcą. Bo niema »sił żywych« nam ku pomocy, niema! — mówił stary... Zło tylko jest żywe: zło prowadzi, zło kieruje: to zło myśli całe, które ze starego wina wymąca gnuśność. — My to na swe dole... — powiadał major stary. O, nie mogę! Mnie ten starzec... mnie ofiara, mnie zdrada obie głowę ściskały, obie błogosławiły! — obie przeklęły? Nie wiem. I nie mnie może tylko. I nikt z nas nie wie. Natura, ona jedna wie... Ognia, mówisz, w żyły nalali? Był tam, — był tam on już, Wando. Natura chciała. Oni tylko jego iskry odszukali w śmietniku pustoty, rozgrzebali wszystkie w drażnieniu, rozniecili grzechem ponurym; a potem złem czuciem, złą myślą i wyobraźnią, jak suchym wichrem w niego dmuchali. Pożar mam ja w sobie!...

Wanda dyszała ciężko, wraz i tych oczu kręgiem rozszerzonym.

— Spójrz, — zagadywała czemprędzej jej dalsze wybuchy, — pomyśl, jak dziwnie: tak niedawno jeszcze tam na

pokojach błyszczało wszystko od barw i świateł wśród zwierciadeł, a teraz? — patrz, słońca smuga wprost nam na głowy. Same my tu teraz: czujne po tym gwarze wielkim, jak dwie siostry biedne w ciszy ogromnej. Tu zawsze taka zaduma jest w powietrzu, tu przed książkami, że uspokój się tylko trochę, a zobaczysz, jak się uciszenie sączyć pocznie w ciebie bezwiednie. Może każde życie jest sabatem złych ludzi, a dobrych myśli i czynów na uboczu. Spójrz: całe wieki życia tu, a jaki spokój, jaka godność! Czasami myślę, — mówiła, idąc ku półkom i kładąc nieśmiało rękę na którejś książce, — czasami myślę, że gdy te karty powstawały, gwar życia czynił się naokół niedobry. Gwar ścichł i przepadł, a dusza została na tego życia świadectwo. Pomyśl: ile tu życia zaświadczeń, ile dusz niegdyś czuwających. A ile było tych niemych, które tylko śmiercią swoją mogły . . .

— Ty dusza! — wybuchnie nagle Nina. — Nie, nie mów nic, nie przecz! . . . I mnie dziwnie, że gdy ten sabat w noc się zapadł przed tobą, ty jedna tu po tym zamęcie całym: w tym perłowem, prawie białem powietrzu ranka sama suknią biała, snująca się, smukła — i taka cicha każdem słowem.

— Ot, i znowuż, — odpowiedziała spokojnie, — wytargałaś niby coś z siebie aż boleśnie i spaliłaś w ręku na konopiany błysk. Czem ja tu! — wzruszyła lekko ramionami. — Wszystko, co mówiłam o tej tu ciszy, o życia zamęcie, zapadłym w niepamięć, i o duszy, która żyje, powiadałam tylko tobie na uspokojenie: żebyś zapomniała.

— Czego?

— Ciała. Bo z niego wszystek zamęt życia i sabaty wszelkie.

Tamta zwiesiła powoli głowę.

— Więc się ucisz tak, — mówiła, kładąc jej teraz dopiero dłoń na ramieniu. — Stamtąd zamęt życia. A niepokój duszy, to zgoła skądinąd. To jakby dzwon jaki daleki... Miałam ja przed chwilą rozmowę dziwną z tym, komuś ty czoło dziś opatrywała. Każde słowo zapadło mi w piersi. I wiem, że to złe życie ludzi stanęło u końca dziś właśnie: na rozstaju, nad przepaścią może. Zbliża się coś wielkiego, idzie, przyjść musi... Gdy fatum zwiastowało się ludziom dawniej, to zanim ptaki pokazały się na niebie, kobiety zrywały się po nocach, jedne do dzieci, która za wrota, inne — wypatrywać... Niepokój to w nas złych przeczuć. I stąd to wzięcie życia ludzi całego trwogą w swoje piersi, za swój jakby grzech. Tylko tyś to wszystko wplotła w gorączkę snów.

— Bo, czem my kobiety?...

— Dusze nieme. Jak kwiaty w polu. Żyją przecie one najczujniej.

»Mówiła Lena podobnie« — miała już na ustach, gdyż teraz dopiero tchnęło ją instynktownie i pokrewieństwo myśli i podobny tok rozmarzeń.

— Ty znałaś Woydę? Prawda! Przypomi... — mówiła powoli, w miarę jak się jej oczy w coraz to większem zdziwieniu i smutku zapatrywały w Wandę. — Przecież ja wszystko rozumiem. I wiem nawet wszystko. I o jego strasznym końcu przez tamtą! I tę rzecz jeszcze straszniejszą wiem teraz, — zwlekała w mówieniu pod zdzi-

wienie myśli coraz to większe, — że wszystko lepsze w tęsknotach tych ludzi, a co oni tak zamącili... Ja na źródło tego wszystkiego trafiam teraz ślepa! Jak to oni powiadali? »Prawdziwość uczuć?« Tyś ją tylko dawała życiem całem, uczuć cichością, i jeszcze większą ciszą tego, coś czyniła, więzieniem twojem, krwią z ust plutą. I wszystkiem, czego ja nie wiem. I wszystkiem, co będzie. Jak oni to nazywali to drugie? »Sumienie ruchu?« Powiedz!... Ty niema. Rozumie się. Ty na śmierć nawet nie miałabyś słowa przerażeń, tylko uśmiech może smutny. A oni wszyscy są z kłamstwa słów! I kłamstwa wyobraźni, która się rodzi... O, z niesytości dosytów chyba! By płodzić w myślach rozkosze większe od zaznawanych. Och, ja pamiętam każde słowo z tego, co Lena wtedy opowiadała. I rozumiem teraz dopiero. On miał słuszność.

— Kto taki?

— Dyabeł, — zaśmiała się ostro.

Lecz niebawem i na śmiech nawet nie stało w pasyi. Dłonie tylko to rozczepiały się palcami, to zaciskały się w kułaki.

— Mówił, że »purpura marzenia« to jakby Leny negliż strojny. Że to także ze zmysłów i dla zmysłów. Bo inaczej nie byłoby to ani marzeniem, ani wyobraźnią, ani pięknem przecie. A straszna jest ich robota, powiadał, nad naszemi duszami młodemi.

— Czyja?

— Hyen tych. I tej ostatniej także.

— Jakiej?

— Woydy.

Doskoczyła do niej Wanda wmig i zacisnęła jej usta dłonią całą.

— To ci tylko dyabeł sam mógł powiedzieć.

— A ona tem gwałtowniej ogarnie ją za szyję i wzburzeniem swych dłoni krzepkich targa, pociąga jej głowę ku sobie — twarzą do policzków.

— Tyś dusza!... Ta, o której major stary mówił: zdradzona! Dlatego cię tu Lena do siebie »ciągnęła« prawie że z więzienia wprost, abyś nie »zdziczała«, abyś się oswoiła z ich życia ponętami. A ty samotnością zahukana podpatrywałaś to życie z cichych kątów onieśmieleń. Dlatego oni cię tak radzi poniżyć, podeptać, jednem »Hę?!« — co na imię twoje spada im z warg niesmaku. Lub żałośliwem współczuciem otoczyć, jak Lena ciebie, ubraną może za jej pieniądze na te bale, by się ciebie wstydzić nie potrzebowała. Niema na tobie purpury marzenia! A ty z pod ich pogard niemych, z pod nóg roztańczonych nieomal, tą Leny urodą »wspaniałą«, jak mówiłaś, rozbolała we wspomnieniach, uciekałaś w swej wrażliwości tu, w tę »grobnicę«, mówił major. Tu cię widywałam zawsze, tu tylko z tobą mówiłam. O, ja wszystko teraz rozumiem, wszystko widzę ocknięta!

Lecz ona odjęła powoli jej ręce z szyi. Zdała się być tylko znużoną tym wybuchem.

— Znowuż spłonęłaś w konopiany ogień. I znów przeze mnie. Ach, i odchyl twe policzki dalej: żar od nich bije taki. Na szyi czuję zdaleka. I ręce odejm, od dłoni nawet; nie ściskaj ich tak: masz gorące takie! — mówiła z drga-

jącym grymasem niesmaku. — I daruj mi. Mnie chłodu było trzeba życie całe i zapominania w sobie...

— Czego?

— Ciała, Nino. Cicho! Nie męcz... Powiem ci za to, — mówiła, opanowując drżenie głosu, — że tamtego wieczora, gdy wszyscy głowy potracili, a Lena spazmów dostała — gdy on już stygł, ja zmywałam mu z twarzy tę krew, która, — och tak długo jeszcze, tak ciągle! — spływała mu wązkiemi strugami z ust i nosa, — och, i z oczu nawet.

— Matko Boska!

A po długiem zadyszeniu się ich obu:

— Tu jest strasznie dobrze, Nino, w tej ciszy kościelnej przed książkami, w tej godności i spokoju po życiu, jakie było.

Przycichły obie; wśród labiryntów grobnicy surowej w perłowem świetle ranka — snujące się, żywe, zbożnie zamilkłe.

Wanda zatrzymała się, wskazując na szereg książek.

— Ach! — drgnęła wraz druga całem ciałem. — I on tu?!

Cicho zniosły to do okna.

Wanda długo nie odzywała się, przerzucając karty dłonią drżącą. Oczy drugiej zabłąkały się w tem oczekiwa-

niu ku górze, gdzie nad półkami rzędy popiersi płonęły o poranku niby lamp białych szereg dziwny. I słyszy oto:

Ofiarnych snów grobnico biała,
Jam zabłąkany w ciebie ptak!
Gdy młodych chmar gromada cała
W słoneczne życie wzięła lot,
Mnie wspólnej doli trafia strzała:
Do grobów skuł miłości grot!...
I w cierń mi wplata marzeń wieńce,
W marzenia twego krzyża znak,
Ofiarnych snów grobnico biała,
Co w śmierć upajasz zatraceńce...
By na twym krzyżu każdy pił,
Rozmarzeń swych octowy szyd:
Czy jest? Czy będzie? Czy już był?
Czy świat majakiem, czy on zwid?!...
Tak ksiąg harfianych chce obiata,
Cierń nam w wężowy pierścień splata:
W zatracanego stygmat świata:
W ofiary ciągłej nieskończony myt...

Jeszcze nie ścichły strunne jakby podźwięki jej głosu, jeszcze ona sama stała w tej złotej smudze pod oknem — zamodlona, z twarzą w dłoniach, gdy ta druga wtył się nagle rzuci i spręży przed się ramiona:

Tuż przy tym słonecznym promieniu i białym jego zjawie ujrzy marę snu nieprześnionego, o pysku z warg, nozdrzy i oczu krwią ociekłym: widzi hyenę w rozdziawieniu kłów cmentarnego zwierza — drapieżnem, a cierpliwem...

CZĘŚĆ CZWARTA.

Zapoznaniu się profesora z Komierowskim towarzyszył zgrzyt obrzydliwy. Oto gdy za światła przygaszeniem wyszedł podówczas z biblioteki, minął starca, kołaczącego po salonie pustym, i natknął się na tamten monolog z pod okna, wygłaszany do dziewczyny, po pierwszem oszołomieniu poczuł się dziwnie niezręcznie w tem przypadkowem podsłuchaniu rzeczy obcych i tajemniczych. Jął się tedy usprawiedliwiać: jak to zasiedziawszy się przy książkach, szukał wyjścia i pragnął pożegnać się z gospodarzem. Osobnik z przepaską na czole odpowiedział dopiero po długiej ciszy nieokreślonym pomrukiem. Wanda natomiast starała się łagodzić tę jego opryskliwość okazywaniem niezmiernego szacunku. Profesor bąknął tedy coś na usprawiedliwienie i ustąpił. Ledwo zdążył wycofać się z pokoju, a usłyszał za sobą nizkim szeptem:

— Nie chodzi on tu z uchem? ha?

— Bójcież się Boga: profesor z Krakowa!

— Mało co profesor! I mało co z Krakowa!

Usłyszawszy i to mimowoli, wstrząsnął się odrazą: z tej na poły obcej gwary przebijało w ponurem napięciu

tych ludzi podziemnych wręcz jakieś odziczenie dusz po ostępach. Zbyt pełen był sam rozmyślań nad przeszłością i wrażeń, przyniesionych z biblioteki, aby tego pierwszego głosu współczesnego życia nie odczuć jako potwornego zgrzytu wszechstronnego już zbarbaryzowania: uczucia, myślenia i słowa.

Lecz za Wandy naleganiem stanowczem, ponury osobnik dogonił go w przedpokoju i przedstawił się jako brat Leny. Rzekłbyś, odgadując wrażenie, jakie wywrzeć musiał, starał się być poprawnym, a mówił przytem prosto i najniespodzianiej szczerze. Profesor stwierdzał dla się mimochodem potęgę rasowości: »przecież i taki niedźwiedź nawet, — myślał, — gdy zada sobie tylko nieco trudu i wyjrzy z tej narosłej skorupy barbaryzmu, staje się nieomal *charmeur'*em w obejściu«. Przy obustronnym tedy wysiłku zatarcia niemiłego zgrzytu z przed chwili wywiązała się rozmowa, a wraz i dysputa najżarliwsza. Profesor sam nie spostrzegł, jak długo przeciągała się ona.

Wanda, przysłuchująca się czas jakiś, odeszła była na pokoje, do Niny; oni rozprawiali wciąż.

W palcie na ramionach, z cylindrem w ręku, chodził profesor niespokojnym krokiem po przedpokoju, przystawał zasłuchany pochmurnie i wybuchał od czasu do czasu.

— A przecież ludzie tu ślepi są i głusi! Ani się który domyśla, co wy im tu pod ziemią, pod nogami wprost gotujecie.

— Oni tu zdziecinnieli zupełnie *in rebus publicis,* — odparł Komierowski z tym niedbałym rzutem dłoni w mankiecie. — Rozpisują się tu po pismach, że odezwy w sprawie

tej wojny oraz innych sprawach rozrzucają zawczasu między ludem... hakatyści. Bo to jest najnowszy straszak nianiek: Tu jest jeden tylko człowiek, który przewiduje doskonale, na co się zanosi i bierze to w rachuby swoich tam zagadkowych, i nieciekawych zresztą, kombinacyi.

— Mianowicie kto taki?

— Mój pan szwagier: baron.

— Ach? — zdumiał się profesor. Czyżby on wam sprzyjał?

— O, do pewnego stopnia. I czasu prawdopodobnie. Na razie gotówby nawet i funduszem pewnym...

— Czyżby? A potem?

— O sympatyach takich ludzi decyduje siła.

— Myślę! — profesor odymał wargi i kiwał głową: bardzo dziwne i niewyraźne wydało mu się to, czego się tu dowiadywał o baronie.

Lecz oto powróciła Wanda, przyniósłszy ze sobą blade milczenie. W rękach splecionych trzymała jakieś książeczki małe, niby modlitewniki tego skupienia. Miała się ku wyjściu. Barońskiego człowieka zaufania prosiła, by posłał kogo ze służby na miasto po codzienną odzież Niny, która, nie myśląc już o spoczynku, pragnęła się tylko jak najprędzej stąd wydostać. Wychodzili tedy we trójkę, gdyż Komierowski ofiarował się odprowadzić Wandę.

Na progu zatrzymał się w namyśle i dał od siebie zlecenie słudze. Wręczał klucz i posyłał na swój »czwartak« w sąsiedniej ulicy, aby się upewnił, czy tam kogo nie szukano, a, jeśli można, zabrał jakąś paczkę z pieca i przeniósł ją tutaj. Człowiek zaufania chwycił polecenie w nadsta-

wione ucho i, pochylając głowę statecznie, przymknął powieki na znak ścisłego i milczącego wykonania zlecenia. — Wanda spoglądała na to frasobliwie i jakby z wyrzutem; jej wielkie oczy zdały się mówić: »Pocóż to jego wciągać w takie konfidencye!

— No cóż? on dobry człowiek, — mruknął Komierowski niedbale.

Człowiek zaufania, podawszy profesorowi z godnością palto, wyświecał ich wszystkich na schody, zatrzymawszy się przy drzwiach jak posąg. Profesor zrozumiał to sposągowienie sługi i cofnął w kieszeń garść z drobną monetą. A gdy ujrzał przed sobą nizko pochyloną głowę, chwyciła go nagle taka niewytłumaczona odraza do tego łba, że cofnął się odeń gwałtownie, jakby w skurczu.

Usłyszał głuche zatrzaśnięcie drzwi, które, uderzywszy echem pod wysoki strop klatki schodowej, wracało nizkim pohukiem, niby zatajonego w tych murach złowieszczego śmiechu.

Zżymnął się gwałtownie na ten ostatni akord wrażeń dzisiejszych.

Tu już nie duchy postępowe i »życia lampy«, lecz niewyraźna atmosfera jakichś innych duchów, gaszących płomyki zarodkowe, potrącała myśli czujność w odrazie ledwo świadomej.

»A jednak, to życie, — myślał teraz, pod błahą i nikczemną powierzchnią swoją jest przecie podmyte głębszymi nurty jak może nigdzie na świecie, w ciasnocie ludzkiego tu bytowania stykającymi się nieprawdopodobnie; wrogimi

na śmierć, a spokrewnionymi tak niesamowicie instyktami podziemia.

Ta pobłażliwość Komierowskiego dla lekceważonych kombinacyi barona, nad którémi zastanowić się nawet nie raczył! A potem ta jego niedbała dobroduszność wobec — kto wie — czy nie ducha stróża nad baronem!

Zaś ja, — przypominał, — jakżem ja tu został powitany?

Węzeł był zbyt niepokojący, aby nie zwrócić myśli na jego rozplątanie.

»O tem, — rozważał tedy, — co ludzi rozbraja do siebie ufnością, — nie o sympatyi bynajmniej, — lecz o pewnej pociągliwości ku sobie, decyduje atmosfera, jaka każde życie otacza w zgoła nieuświadomionych drobiazgach sposobu dawania się, gestu, ruchu, spojrzenia. Dla opieszalca inny opieszalec będzie wprawdzie zgoła obojętny, lecz w tej właśnie obojętności... »no cóż? — dobrym człowiekiem«; dla junaka nawet rabusiowa zuchwałość gotowa stać się czemś fascynującem; szczerego nawet błaha i pusta szczerość wiązać będzie niechybnie; dla skrytego cudzej skrytości, jeszcze nawet nieuświadomione cechy będą czemś wzbudzającem zaufanie. — Jest pewne ponure pokrewieństwo instynktów, nawet wśród sterujących wolą w biegunowo przeciwne kierunki: ci najtrudniej uwierzą w złobę krewniaka. — Niesamowite i złowieszcze krewności zapowiadają instynkty podziemia.«

Ocknięty z zadumy słyszał ostatnie, coraz to niższe pohuki w głębokiej studni klatki schodowej: śmiech milkł, zatajał się w tych murach.

Wystąpili wreszcie na ulicę i poczęli chłonąć świeżość

poranka w piersi zdławione. Oczy profesora błąkały się mimowoli po monotonnych szeregach okien przeciwległych. »Oto, — myślał, — jakiem powietrzem oddychają po wszystkich tych wnętrzach, w których dławi się duch powszechności, wtłoczony w ramy za ciasne«.

I zadumał się nad tem, czy każdy nieukrócony zasób sił dawnych, na wspak temu życiu w tych wnętrzach rodzony, nie musi siłą konieczności pójść na zatracenie po etapach dalekich? Czy każda rzetelniejsza wrażliwość, po kątach rodzinnych pamiątek pajęczyną przeszłości omotana, nie uwiędnie tu w młodym smętku dla życia i nie dojrzeje na cichą ofiarę? Czy każda namiętność, w atmosferze zastoju do ambitnego czynu nie ponoszona, nie gorzeje tu bez płomienia i nie tli się dymnie wraz z duszą młodą? Czy pospolite tu marzycielstwo kobiet i mężczyzn nie wypełni się nazbyt rychło mętem zgnuśniałego naokół życia? Czy, rzadkiej tu w istocie, bujności natury kobiecej w atmosferze takich uczuć i namiętności nie grozi zwichrzenie bezsterowym zasobem sił emocyonalnych? Czy... I tak bez końca!

A nadewszystko: czy nie są to tych wnętrzy ofiary konieczne? i czy nie zwą się one tego życia — młodością?

Zagadnął go wreszcie Komierowski, zapatrzonego w tak surowem skupieniu w te głuche szeregi okien naprzeciw.

— Ach, panie! — odparł. Zajrzałem oto dziś do jednego z wnętrzy takich — i znam je wszystkie już! Wychodzę pijany smutkiem aż do nienawiści życia. To uczucie musi być wam dobrze znane, hę? — spojrzał na niego z podełba. — Aż do nienawiści samego siebie, gdy energia bez

ujścia zło lub żółć w sobie tylko warzy i serce nią własne zalewa. Dosyć z wami wieczór jeden przeżyć, aby was tu zrozumieć.

— To też pułkownik przecinał węzeł naszego życia mieczem. Gotów był nas wszystkich na wojnę zaprosić.

— I miał słuszność, dalibóg!

— Prawda?—rozpromienił się Komierowski w oczach. I nacisnąwszy głębiej kapelusz na czoło dla ukrycia tu na ulicy bandażowej przepaski, chwycił go aż pod ramię w ożywieniu nagłem.

— Prawda, panie? To jest więcej niż słuszność: to jest zrozumienie konieczności. Bo prócz »racyi stanu«, życia i jego krzywd, czy pożądań jest jeszcze ta najważniejsza: racya dusz ku czemuś fatalnie dojrzałych. Dojrzały tu one jak owoce późne. I gniją, gniją na drzewach. Należy je czemprędzej otrząsać.

— Sobie! — mruknął i spojrzał nań znów z podełba.

— Czyjaż to własność jest — te dusz ogrody? Boję się, czy nie pierwszego wiatru. Macie mi gnić marnie i rozsiewać tylko kołem wasze zło bezpłodne, czyńcie mi tedy moje zło twórcze.

— Któż to tak niby mówi?

— Mógłby rzec ten, który powiada o sobie: ja jestem rozum, ja jestem konieczność, nie czas mi bratem, ale siostrą wieczność... Za rymy przepraszam; zwykłem przemawiać do młodzieży, muszę tedy cytować wieszczów: inaczej nie jestem dosyć przekonywający.

Na ustach osiadł mu uśmiech jakiś obcy: »kosy«,

chytro-melancholijny, nie wiadomo — z siebie, czy z innych szydzący.

Profesor baczył nań uważnie zezem ponad okularami. Dziwnie bo sprzecznym z tym uśmiechem wydawał mu się ów niedbały rzut dłoni w mankiecie. W tym geście krótkim było przecie coś z »*vogue la galère!*« coś z woli i fatalności zarazem: jakiś błysk junactwa z pod chmury melancholii.

»Z ciebieby, bracie, oskrobać ten kurz dwudziestoletniego barbaryzowania się w nęku dusz obcych, ogolić jak się patrzy, ubrać w mundur, posadzić na konia, dać powieść szarżę jaką, a dokonałbyś może cudów nie gorszych od tych, unieśmiertelnionych dawną chwałą... I tkwi oto taki w tużurku zakrystyańskim, obrosły na szyi jak ten wilk morski, samotny, ponury i odziczały jak te rybaki. I wyławia oto w mętnych wodach życia resztki energii żywotnych, nie gardząc i kobiecemi. Tobież to warcholić wśród tłumów jak temu mnichowi, wieszczów cytować niby ojców kościoła?... Czy może być większe odwrócenie natury na wspak? Czy zdarzyć się może ono gdzieindziej na świecie?«

A on tymczasem z tym rzutem dłoni w stronę okien przeciwległych kończył swoje:

— Bądź co bądź po wszystkich tych wnętrzach oczekują jego rekruty.

— Czyjeż to, koniec końców?! Któż to jest ten rozum i konieczność zarazem, a wieczności brat? Ja nie jestem tak mocny w poezyi.

A on podniósłszy oczy z za skrzydła kapelusza, popatrzał niemi twardo.

— Ten który każdą wojnę na świecie nieci: dziejów szatan.

I znów z tym dziwnym uśmiechem na cierpkich ustach:

— Zaś o szatanach trzeba tu młodzieży prawić gęsto: wyziębły bo dusze na człowieczeństwo w sobie pełne, które i surowe właściwości mieć w sobie winno. Nie mają tu ludzie dobrego sumienia w czynie twardym. Jest jedna rzecz, która to dobre sumienie zawsze daje: komenda gromadzie. Gdzie jej niema, tam trzeba w ludziach podtrzymywać to, co dzielności wprawdzie nie tworzy, rodzi za to... no! — ,zachwat' czynem. Trzeba w nich podtrzymywać...

— Złe sumienie romantyków! — wpadł mu gwałtownie w słowa.

Ruszyli wreszcie. Wanda, oczekująca na nich na uboczu, przesyłała tymczasem ukłony w stronę najbliższego okna na parterze.

— Przyjdź do mnie zaraz, jak tylko będziesz mogła. Czekać będę u siebie.

Pod ostre światło poranku widniała za szkłem zatarta sylwetka głowy dziewczęcej i dwie dłonie na szybach przypłaszczone, jak dwa białe skrzydła u czoła.

Na pierwszym zakręcie ulicy oczekiwało na Komierowskiego dwuch młodzieńców, bodajże w tej sprawie, w której wysyłał było służącego na swój czwartak. Profesor przypomniał sobie te twarze: byli to wśród gości

dzisiejszych owe dwa łazęgi europejskie, panowie Mikulski i Bogdanowicz. W miękkich, nieco druciarskich kapeluszach, z kołnierzami palt, nastawionymi w przymrozku poranka, przyłączyli się do nich milczący, ledwo pozdrowiwszy pomrukiem.

Profesor nawykły do bardziej respektownego obejścia ze strony młodzieży począł rozmyślać nad tem, jak to tu wśród młodych zatraca się wszelkie poczucie hierarchii, przedewszystkiem intelektualnej. Wszystko to zda się u nich dotyczyć tylko obcych: swoi są swoi, — i kwita! bywają burżuje i proletaryusze, — i tyle!... Przypatrywał się wprost z niepokojem surowym obliczom młodzieniaszków. »Jak to wszystko samopas po szerokim świecie chadzać musi, samokwitle się rozwijać, nieufne wszystkiemu, co im potakiwań nie obiecuje. I jaką ponurą fatalność ma to wypisane na swych czołach młodzieńczych.«

Jęła go niecierpliwić niedostępność tych »smarkaczy«, jak myślał. »Co te serca otwiera, co je rozgrzewa? — pytał się w duchu. I tym niepokojem kierowany zagadnął poufale o to i owo, zrzuciwszy pychę godności z siebie. Ale oni pamiętali mu dobrze jego opryskliwe i twarde zbycie ich prośby o doradę w sprawach »studyów społecznych« dla osłodzenia sobie omierzłej »techniki«: odpowiadała ozięble młodzież chmurna. Czuł mur między sobą i nimi. »Czyżby, — myślał z przerażeniem, — czyżby mur taki oddzielał tu już... pokolenia oba?!«

Żywszy z tych dwuch młodzieńców, pan Bogdanowicz, rozkrochmalił się wreszcie:

— Cóż tam... w Krakowie? — zagadnął.

I nie otrzymał wcale odpowiedzi, tylko półgębkowe odęcie się warg i bystry zez nad okularami: ostatnie słowo wypowiedziane było jakoś zbyt wesoło, jak na gród poważny; brzmiała w tem ponadto dziwna nuta wyrozumiałości młodego pana, pragnącego widocznie reprezentować życie bardziej współczesne. »Rzecz niepodobna! — zdumiewał się w myślach, — by te epidermalne uprzedzenia i niechęci wschodu potrafiły siłą czasu samego przylgnąć i do takich!«

Tuż przy trotuarze wlokła się wślad za nimi naprzykrzona dorożka, ciągniona przez chudy potwór koński o przeraźliwie wystających bokach. Woźnica na koźle siedział, a raczej zawisał, w demonstracyjnie apatycznej pozie, zarzuciwszy nogi na wyższy od siedzenia przód pojazdu, wystawiając wielką dziurę sukmany na zgarbionym grzbiecie i jakieś strzępiące się z niej kłaki. — Ziewało na nich północne lazarońtwo i z tych domów, jakby krzywych pod to kolebanie się zgrzytliwego pojazdu, z kamienic o barwie pośredniej między granitowym tonem miast zachodu a pstrokacizną Moskwy: fasad o kolorku brudno-wesołym, zdobnych ponadto w jaskrawo kłócące się barwy blach i szyldów rozmaitych. Pod te aspekty architektury dziwnie szpetne, bez śladu jakiejkolwiek woli prócz zysku, obtłukiwał się po brukach lazaroński wehikuł, rzucając zda się na wszystko, kędy skierowały się oczy, swój turkot apatyi monotonnej: — jak Bóg dał! jak Żyd chciał! ile każdy z tego miał!...

Omal że nie nadepnąwszy na nogi żebraka, który wyłożył na trotuar swe wyschłe na kość piszczele, niby

samotrzask na osoby dobroczynne, przedostali się pod mur i skręcili rychło w dół, ku Powiślu, gdzie mieszkała Wanda.

Gdy zapuścili się jednak w spadziste, ku rzece wiodące zaułki, gdy wionęło na nich przeraźliwie zatęchłą wonią nędzy, gdy z murów i rynsztoków, odzieży i łbów ludzkich nieomal cuchnąć poczęło jadłem, wydzieliną i ich gniciem zarazem, profesor opadł w sobie i przybladł na twarzy. Patrzał z odrazą na rachityczne bachorki, zaropiałe koło gąb i nosa, na tłuste Żydówy, pełzające jak brunatne ropuchy od sklepiczka do sklepiczka, na szwargotne rojenie się Żydów, na te ich królicze napół krwawe ślepia, żerujących po śmietnikach stworzeń. A bardziej przytłaczającą od wszelkiego brudu i nędzy była dlań leżąca na wszystkim barwa szarzyzny mętnej, ton już nie asfaltu nawet, lecz plwociny.

— Cyliender! — usłyszał nagle z podgwizdem, jakby głosem szpaka.

I wybłysły nagle przed nim jak rtęć żywe oczy na głowie, wystrzyżonej w kulę płową. Na porę zimową widocznie ciepło przyodziany, tkwił ten wyrostek w szerokiej marynarce po kimś starszym, zwieszającej mu się po cholewy ciężkich butów. Ta figurka w kloc, na której tkwiła płowa, wystrzyżeniem ślizka, głowa smarkacza o rozbieganych w ciekawości oczach, sprawiała wrażenie gnoma, umorusanego od czuba do pięty, rzekłbyś w złośliwej jakiejś robocie.

— Franek! — krzyknęła Wanda.

Dopadł do jej ręki, a wnet potem zakręcił się jakoś

między nimi wszystkimi, rozbłyszczał oczami jak ten młody pies: swoi panowie!

Komierowski sięgnął garścią do tej głowy żółtej.

— Jak się masz, łotrze!

— Ostrzygłem się, — rzekł chłopak nagle zmieszany pod tą dłonią, ślizgającą się po jego ciemieniu.

— *W toilette-club'*ie! — parsknięto. W ratuszu szelmę znów ostrzygli. Cóżeś chapnął znowu?

— Jak Boga ko!... — wrzasnął chłopak i zapaliły mu się oczy głębokim żarem. Ale w przezorności zabobonnej wolał jakoś nie kończyć lepiej tej przysięgi; oczy zgasły tak nagle, jak się zapaliły i stały się jakoś niewyraźne. Lecz wejrzawszy na rozbawione raczej w półuśmiechach spojrzenia ludzi, błysnął chytrze oczami i machnął ręką:

— Ee, o jabłka tam poszło.

— »Poszło!« Komuś tam o nie poszło.

— Oj, Franku, Franku! — groziła Wanda.

Wmig dopadł do jej ręki.

— Cóż to znów jest? — pytał profesor, przypatrując się wciąż tej klocowatej sylwecie, w której tkwiło giętkie i śmigłe ciało otroka.

— To? — Komierowski przygarnął chłopaka ramieniem. — Życie samo, *in crudo.* Dziatwa, jak to się mówi u nas sentymentalnie. Robociarska, zresztą... «Fotografijki« masz? — zwrócił się nagle do chłopaka w przypomnieniu jakiemś. I nie czekając odpowiedzi, sięgnął mu szybko do kieszeni. Wyrwał jakąś paczkę i uderzył go nią z rozmachem po łbie.

— Ty świnio mała!... Ot czem taki handluje chętniej niż gazetami. Wybiega z tem przed hotele.

— Tfu!

— A no, żywi to się, czem może, jak te psy w Konstantynopolu, nie tyle z łaski ludzi, ile śmieci.

— Ojca masz? — pytał surowo profesor.

— Ni.

— Gdzieś się rodził?

— W szpitalu.

Ta osobliwa konkretność odpowiedzi rozśmieszyła kogoś. Chłopak poczerwieniał w jednej chwili aż po uszy, draśnięty ambitnie tym śmiechem.

— Czy to źle? — zaniepokoił się żywo, przeskakując oczami z jednej twarzy na drugą. —

Wśród opieszałych po bramach bab i Żydków ruchliwych na ulicy wszczął się tymczasem jakiś nagły niepokój: podrywało to się jak wrony, biegło przez ulice, kupiąc się zgiełkliwie przy jednej bramie w oddali. Jakby kto kamień w mrowisko rzucił: w mało ludnej przed chwilą ulicy zagęściło się nagle od chałatów, babich kiecek, dzieciaków, pędzących tabunami. Czynił się gwałt wielki i zakotłowanie wrażliwych tłumów podmiejskich.

»*Lokatur!*«... — słychać było poszmerem słowo dziwaczne w tym zamęcie.

Przez ciżbę rozstępującą się szedł ktoś z gołym łbem, wielkim jak ceber, a zwichrzonym w kudły brudne: postać mizerna, chuda, z długiemi ramionami małpy; ziemnisto blada twarz dygotała mu bydlęctwem na świeżo popełnionego tam czynu.

Bo oto tłum rwał za nim jak te psy za dzikiem. On zaś przystawał raz po raz i obzierał się z podełba, — przystawali i oni. A gdy ruszył, popychali się wzajem jemu na piętach. Wlokący się dotychczas pod murem, wytoczył się na środek ulicy, sięga długiem ramieniem po kamień bruku. Lecz oto z tłumu wypchał się łokciami ktoś stanowczy i, wtłaczając w kieszenie gotujące się kułaki, następował za nim twardo.

— Tee!... — rzucił tylko.

Tamten spojrzał mu ledwie w oczy i w tejże chwili skoczył w bok: rozepchnął tłumy uderzeniem ciała i śmignął przed się w ucieczkę. Z zawyciem i gwizdem przeraźliwym walił za nim tłum cały.

Zaczepili pytaniem kogoś z brzega.

»*Lokatur*«. — usłyszeli znów to słowo cudaczne.

— W sprzyczce, — dopowiedziała dumnym tonem osoby świadomej jakaś jejmość brzemienna. — W brzuch dziabnął.

Komierowski machnął ręką z obojętnym niesmakiem i pociągnął naprzód swą kompanię. Lecz uciekający, mając tam w głębi zagrodzoną widocznie drogę, rzucił się w tył i biegł wprost na nich. Osobnik z rękami w kieszeniach mało co przyśpieszał kroku. Komierowski poznał widocznie znajomego i krzyknął ku niemu:

— Dajcie pokój, Jur, temu ścierwu! Nie wasza rzecz.

Tamten wyrwał ręce z kieszeni odruchowo i zawahał się przez chwilę w uległości.

— To jest rzecz zupełnie insza! — mruknął jednak odpornie. — Dać pokój?... Jużci! — żeby nas tu wszystkich

porozpruwał. Taki umie się pokumać z kim trzeba: jego nie tak prędko nam ruszą. A trzymają nas te wilki w trwodze jak te owce głupie. Nie ruszać! — rozumie się.

Uciekający, chcąc zmylić pogoń, skoczył w podwórze najbliższego domu.

— Jezdeś! — rzekł spokojnie robotnik. A tłumowi skomenderował, by zagrodzono tam w głębi podwórza dostęp do parkanu. I nie śpiesząc się wciąż, wstępował powoli w bramę domu. Obciągał półkożuch, gotował ramiona na rozprawę twardą. Profesor zdumiał się, spostrzegłszy jak krótkim zatajonym ruchem przeżegnał się na ostatku.

Ciżba na ulicy ścichła radośnie: skrzyły się oczy w oczekiwaniu niecierpliwem. Wreszcie rozległ się tam zdławiony krzyk trwogi: »Nie strzylaj!« — »Chodź tu!« — I wraz echowy rumor jakiegoś zmagania się na schodach.

— Ma go! — stwierdzono lakonicznie w tłumie.

A potem nieludzkie zawycia w targaniu się szamocącem, łoskot rzucanego po schodach ciała, wrzask chrypły pod razy głucho spadające; wreszcie jęk tylko, wyciągnięty w skowyt długi.

— Juszy on tam teraz jak ten wieprz obuszony, — zgadywał ktoś w tłumie.

Profesorowi rozchylały się szeroko usta: »Co to jest?!...«

— Grzanka, — tłumaczyła zwięźle jejmość brzemienna.

Potworny wiew odziczałego motłochu teraz dopiero wstrząsł go całego odrazą. Chwycił się za głowę i odstępował na bok. Najchętniej zamknąłby oczy, by nie wi-

dzieć tych wszystkich rozbestwionych, jak odczuwał w tej chwili, ślepi naokół.

— Co znaczy u tej dziczy słowo »lokatur«? — żżymał się wstrętem, odgadując i w tem jakąś ohydę.

Roześmiano się.

— No, taki, co mieszka kątem przy robotniczej rodzinie, — pod oknem lub piecem: lokator zwie się. Musiał to być numer nielada, skoro to niewyszukane stanowisko życiowe stało się dlań zawołaniem bohaterskiem i siało grozę wśród tych ludzisk ciemnych.

— A, dajcież mi pokój! — splunął tylko w odpowiedzi. — Wszystko to razem — jedna kanalia, *bonne pour être mitrailler* przy pierwszej sposobności . . .

— Te, cyliender, nie gniwaj się! — rzucił mu jakiś przechodzący robotnik. I wyciągniętą łapą byłby mu wbił kapelusz na czoło, gdyby go w porę nie odepchnięto. Odrzucony mocno na mur, przyjął to dobrodusznie i poszedł spokojnie dalej.

— Nie gniwaj się! — wołał tylko raz jeszcze.

Profesor nie raczył się nawet za nim obejrzeć.

— Ahańcza! — syknął tylko przed się, w tłum. — Ile w tej tłuszczy skośnookich mord! ile tatarszczyzny, ile wschodu wszelakiego domieszać się tu musiało krwią, — a duchem ile chama wschodniego w ten zbarbaryzowany motłoch nasz! Ile tu faktorstwa głodnego, ile rozwałęsanego bezczynnie łachmaniarstwa i chałatów! — ile wilczych spojrzeń z pod łbów podejrzanych! — ile niuchów węszących! — ile waszeciowatych jakichś postaci, tkwiących jak posągi pod szynkami: ile tu rąk bezrobotnych

w tem nędzarstwie!... Czyż trzeba wyraźniejszego piętna i stygmatu wschodu na tem cielsku nędzy wszawem!

— Czy ten oprawca dobrowolny, — rzucił się nagle z odrazą, — rychło skończy swą robotę junacką? — tę swoją »grzankę«?... I jakież słówko mile swojskie wynaleźli swym instynktom ścierwnym!... Bójcież się Boga, — chwytał się znów za głowę, — pomyśleć, że to wszystko jest nasze!...

— A czyjeż to ma być, dobrodzieju, jeśli nie nasze? — kłaniała się maciejówką jakaś nizka figurka. — Bez obrazy, że przemawiam. Widzę: osoba ważniejsza, myślę: trzeba wytłumaczyć. Bo skąd wiedzieć takiemu panu. A no: dostała się jedna wesz nędzy naszej w twarde palce, — gniotą mocno, choć osoby delikatne uszy z daleka bolą... Kogo on »lokatur« tu nie zmądrzył, kogo nie oczmucił pisaniem próśb, czy licha do sądów: wyłżygrosz jeden! Kogo on w jakie szachrajstwa i niecnoty nie wciągnął, którą dziewczynę, choć trocha do ludzi podobną, Żydom na Amerykę nie przedawał! — A ilu on ludzi po ulach nie wyszargał donosem kłamnym? ilu pijanych zgrał w pasek? Kto wyliczy! A ta wdowa, co mu mięszkanie pod samym piecem dawała, widziała ona kumorne? Ze strachu trzymała. No, i ma teraz!... A na te brzany z ulicy podwikowe przecie nałożył i pilnował, żeby jak podatek — od śtuki: akuratny, jak Niemiec. Taki on rufion konceptowy! — rozjaśniła się nagle twarz skarżącego. — A skurwysyn sam! — rozpromieniał jeszcze szerszym uśmiechem. — Kto wyliczy? — poważniał z trudem. A bo taki zapłacił kiedy za to, co w kałdun kładł? Żydówy z kosza strawne dawać musiały.

Że się postarzały, powiadał, — (i znów spogodniało oblicze skarżącego). — I po prawdzie: każda racya dobra, kogo się ludziska boją... A co do wszów, to będę się dopraszał, żebym szczyrą prawdę mógł powiedzieć, — kłaniał się znów czapką. — Nie brak ich i tam, na górze, w mieście, wśród panów. Tylko innego to zachowania wygi, innego cwaniarstwa rufiany, innej maniery wyłżygrosze. I my tu nie tak znowuj ciemni, żeby nie wiedzieć... He, panie! na wszawicę to całe nasze cielsko bezdarne jest chore. I co panu powiem: te rodzime wszy to som najgorsze!

— Co pan tu za jeden, — z zajęcia? — przerwano mu z chmurną powagą.

— Szewc, panie.

W rozmowę wtrąciła się ta jejmość brzemienna, która, czepiwszy się raz profesora, już odeń nie odstępowała, jakby fascynowana cylindrem i złotemi okularami osoby ważnej, czy też pragnąca poprostu coś zwędzić przy sposobności. Zagarniając kieckę to z prawa, to z lewa, dreptała wciąż koło niego.

— Grzanka już się skończyła, — uspokajała nowy jego wstrząs odrazy wobec tych krzyków niemilknących. — On tam kwiczy już tera więcej z pognębienia, z pohańbienia: że to przy tyla ludziach.

— Pognębienia! pohańbienia! — powtórzył z nagłym podrywem nerwowego śmiechu.

I aby nie patrzeć na wstrętne mu w tej chwili fizyonomie wszystkich tych ludzi, błąkał się wzrokiem ku górze. — Lekki mróz ustępował szybko w dniu pogodnym i bury ton błocka zalewał wszystko, na co oczy spojrzały.

Mdłe światło wisiało nad tym światem ponurym, blaski pylne i rdzawe sączyło tu słońce nędzarzy.

— Cyliender! — naprzykrzały mu się uparte pokrzykiwania z tłumu.

— A jednak żyjąż tu ludzie, — dogonił go Komierowski i wpadał odrazu w myśli odgadywane. — I ot, jakie to zasoby sił wytryskują po tych śmietnikach! — mówił, prowadząc Franka pod ramieniem. — A ty szelmo wyrzuć z nozdzy te *circenses* uliczne! Jak to się chrapy rozedrgały tabunowemu źrebięciu.

— A ty gdzie jesteś . . . lokatur? — zagadnął go profesor chmurnie.

— O, on jeszcze młody i płochy, nie ustalony życiowo: nie lożuje nigdzie.

Profesor spojrzał z podełba na Komierowskiego. »Toż tobie samemu chrapy w tej chwili chodzą!« Ohydnem było dlań to dziwne podniecenie jego w tej chwili.

— Ale, dałby pan wiarę! — wołał ten tymczasem, — chłopaczysko, gdy go tu niegdyś szukano, sypiał czas jakiś w kaplicy pogrzebowej.

Franek zarumienił się znowu po uszy i rozbiegał oczami po obecnych: takie mieszkanie zdawało mu się znów ośmieszać go przed ludźmi.

— O, ja się umrzyków nie boję, — ratował brawurą swój ambit.

— Za to będą się ciebie bali niezadługo żywi, — mruknął profesor w brodę.

— »Umrzyków!« — śmiał się Komierowski szerokim basem.

W tem ożywieniu jego niezdrowem wśród krwawego motłochu, przy odgłosach zwierzęcego kwiku katowanego krzywdziciela nędzy, w tych konceptach i śmiechu w tej chwili odgadywał profesor, myślami jeszcze nie objętą, a przecie już wyczuwalną, ponurą perwersyę smutku, co przeżerała serce do dna ostatniego i łechce się w ożywienia nagłe już tylko krwi pomściwej zalotem. Także... »śmiech czerwony« — myślał.

»Oto, gdzie najzasobniejsze, choć najbardziej mętne wody, tobie rybaku! — gdzie najobfitsze dziś junactwo dla ciebie — wnuku, prawnuku!...«

— A pani, panno Wando, — zwrócił się w głos do niej, — uważała, że najpilniejszą potrzebą jest tu... Wszak to pani zbierała tę młodą hołotę u siebie, entuzyastko alfabetu?

— Tak, — odparła prosto.

— A zadenuncyowali przecie sami?

Nie odpowiedziała wcale.

Tem zajściem ulicznem zahukana w popłoch cichy, dygotała w sobie, przyciskając pod pachą zabrane z biblioteki baronostwa tomiki poezyi.

Ruszyli dalej, przeciskając się przez tłumy.

— Cy-liender! — nakrzykiwały uparte szpaki ulicy.

Minęli wreszcie te rojne zaułki i wydostali się w pustkę długiego traktu, biegnącego równolegle do rzeki. Tu

i ówdzie przez poprzecznice widniał prąd mętnej roztoczy wodnej, dziwnie obfity i wartki o tę porę zimy łagodnej. Droga zamieniła się rychło w roztopy błotne; powietrze stawało się pełne dymów, pyłu węglowego i kołatów metalicznych; dudniał zdaleka głuchą monotonią wielki młot walcowni. Jeżyły się naokół kominy fabryczne.

Panowie Mikulski i Bogdanowicz ożywili się w nagłej gawędzie ze sobą i rozglądali ciekawie: niby ci przyrodnicy współcześni, którzy swą przyrodę naprzód z książek poznają i sprawdzają po tem ciekawce oglądane species z ich schematem w pamięci. Coś się tam tłukło w ich rozmowie o naszym »przemyśle.«

— A jakże: nasz! twój i mój, — ofuknął ich Komierowski. — Tamto wszystko, aż do muru — to belgijskie; dalej: ten szereg grubych kominów — to niemieckie, z drugiej strony — francuskie; te fabryczki przy ulicy małe — żydowskie. Wszystko to jest bardzo nasze.

— Kapitał nie zna ojczyzny.

— Zacznijcież swoje! — »C h o d z i ł a c z a p l a p o c z e r w o n e j d e s c e . . .« — Ale ma pewno takie miejsca, gdzie się urządza, zagospodarowywa, a z sobą poniewoli i kraj cały, gdzie się konsumuje, wytwarza potrzeby liczne i wyższe gałęzie zatrudnień, gdzie krąży, dzieli się, rozpada, gromadzi — ta nagromadzona stąd praca. Odbywa się to wszystko we Francyi, Belgii i Niemczech. Te kominy czerwone to wielkie ryje, wielkie ssawki pracy przyssane do tej ziemi na cudze korzyści. Nasze jest to, co było tam po zaułkach . . . I nie nudźcie już o tem!

Ale młodym panom nie było do zamilknienia: dysputa teraz właśnie rozpętała się między nimi na dobre.

— Ot, spojrzyjcie! — przerwał im, wskazując na chlapiący błotem powóz, — jedzie taki cudzoziemski dygnitarz kapitału: *explorer* na murzynach. I dałby kto wiarę, że to jest Francuz! Patrzcież, nie raczył się nawet odkłonić tamtemu poczciwcowi. Czy taki *bonhome* z fizyonomią paryską byłby możliwy u siebie w tem potwornem odęciu się pychy? *Mais, mon cher monsieur Duval, qu'avez vous donc?* Polskaż to pana tak rozdęła pogardą?... Nie, panie, nie kłaniamy się. To spojrzenie!... Przejechał. I z Bogiem. Do miłego zobaczenia się — w milszych czasach lepszego respektowania.

— Hę? — błysnął nań profesor zezem nad szkłami.

— Nic to. Westchnienie pobożne, oby... »wiedzieli narodowie, iż ludźmi są«.

— Za zaułki tamte? Bacz pan, by one decydować nie poczęły i za was.

— Jakoś się zgodzimy.

— Boję się, by nie wynikły stąd sprzyczki oraz grzanki, — i między wami. Panowie Mikulski i Bogdanowicz — z twarzy czytam — już są gotowi do wywodzeń opozycyjnych. *A grün ist jede deutsche Teorie* przy takiej jak tu polskiej praktyce.

Nieokreślony wiew nowego zamętu na ulicy kazał im niebawem zamilknąć i obzierać się w dal. Zatrzymywały się tam rozturkotane dorożki i zjeżdżały na boki. W głębi ukazał się tłum gęsty. Słychać było jakiś śpiew głuchy.

Ludzie obcy! — długowłose, brodate, stepowe twa-

rze: chłopi w czarnych sarafanach i podkożuchach pękatych. Szła ta ciżba bezładną kupą, pomrukując z cicha. Płoszona miejscem i wyglądem ludzi dla się obcym, śpieszyła truchtem owiec, doganiana po bokach przez odpadające raz po raz, gapowate i przerażone brody. Szli, a raczej dreptali, świecąc jasnemi wiechami obnażonych głów i kupiąc się szczelnie koło kilku wielkich chłopów o rozwianych ryżych brodach. Pomruk basowy kołysał tym tłumem. Słyszało się to, niby nasze zawodzenia pogrzebne: raz milknące w sennym pomruku kleryków, to znów podrywane melodyjnym rozjękiem księżego chóru.

Rozchylały się w zdumieniu usta. »Cóż to znów za upiory?« — wisiało na wszystkich wargach. Patrzano na to, jak na chmarę dziwnego ptactwa, którą wichry zniosły z dalekich dróg i wtrzepały w ulice miasta. Ten i ów z ciekawych podbiegał do nich i wracał rychło z jeszcze większem zdumieniem w oczach.

— Powiadają, że są chrześcijanie. I tyle.

— A bo my tu pogany? — rzuciła się gniewnie ta jejmość brzemienna, która, uczepiwszy się profesora i jego kompanii, już ich nie odstępowała i zagarniając wciąż kieckę to z prawa to z lewa, swędała się między nimi nieustannie. — Nie widzisz kacapie jeden z drugim kościołów katolickich! — wskazywała im w dal szerokim gestem oburzenia.

»Co oni za jedni?! — wzruszano w tłumie ramionami. »Skąd? — kędy? — i gdzie ot zaleźli!« »Na zesłaniu tu oni u nas, nad granicą ich osadzili — tłumaczył ktoś świadomy. — Ja z tych stron, więc wiem... Słuchać,

to oni nikogo nie słuchają: powiadają, że to grzech, by człowiek człowiekowi bydlęciem był. Na miejscu nie radzi siedzą: »ischody« czynią. A te po wsiach naszych gawędy, że na wojnę idzie, ruszyły ich znowu w świat. Im wojna grzech największy: Antychrysta rzecz. Tyle i między nimi usłyszysz: o grzechu i Antychryście — w koło. Zresztą łebscy u nich bywają starce, a wszyscy oni dobry i sprawiedliwie żyjący naród«.

Profesor nie wytrzymał i zagadnął któregoś ze starców. Ten przystanął poważnie i jął mówić z namaszczalnym spokojem: »Wierzymy owo i wyznajemy, iż jest jeden Pan nasz, Jezus Chrystus, syn Boży. Bóg jest człowiek!« — mówił z naciskiem i ręki podniesieniem...

Przerwała im wnet jakaś baba histeryczna, znów brzemienna, czy też wzdęta tylko kartoflanym brzuchem na ciele chudem jak kościec. Owinięta w chustę doskoczyła do nich z ulicy i, słuchając czujnie, wdychała słowa gorączkowemi usty. I nuż zawodzić niezrozumiale dla chłopów onych:

— Ludzie wy moi! Męża mi wzięni na oną wojnę. Sześcioro mam: powyzdychamy jak te myszy po cudzych kątach. Ludzie wy moi, gdzie zmiłowanie jest?! Prawdaż to, co powiadają, że światu na koniec... Prawdaż to, że zmiłowanie będzie. I koniec wszystkiemu!

I jęła targać się koło kiecki.

— Ostatni grosz z siebie wydrę.

Olbrzymy tymczasem, opanowawszy ruch uliczny, szły teraz mocnym krokiem, ryże brody wystawiały się w uroczystem skupieniu. Szła ta chmara ciżby obcej z swem

niezrozumiałem *oremus* przy podnoszonej raz po raz pogrozie basowego przyjęku. Nad te dudy monotonnego mruku wybijał się stękiem bas najgłębszy i zawodził przodownie psalm:

Panie, przecz się rozmnożyli, co mnie trapią? wiele ich powstaje przeciwko mnie!...

A no ty, Panie, jesteś obrońca mój, chwała moja i podwyższający głowę moją!...

Profesor uszom swym nie wierzył: acz w mowie z trudem rozumianej, słyszy przecie najwyraźniej ten psalm Dawidowy. I błyskawicą przemknęły mu w pamięci wszystkie te obrazy bezdusznego zmateryalizowania ludzi, na jakie przez całą noc patrzał, by o świcie zanurzyć się po tych zaułkach w najbrudniejsze kałuże nędzy z piętnem odziczenia i wschodniej gnuśności, wyciskanem na całem bytowaniu ludzi. I oto wichry przypadkowe wtrzepały w ulice, niby ptaki wróżebne, te kruki Wschodu.

A myśl wracała mu uparcie w te natłoki dosytniej ciżby po salonach tamtych, gdzie otrupiały w zastoju uczucia i namiętności wszelkie. Zaś targnięta wyobraźnia kładła tym pielgrzymom bogomolnym i te jeszcze Psalmy Dawidowe:

Albowiem niemasz w uściech ich prawdy: serce ich jest marne, grób otwarty gardło ich, językami swymi zdradliwie poczynali«...

Oni to, myślał, tego ludu po zaułkach... »*boleść poczęli i urodzili nieprawość jego*«

Na wierzch głowy ich nieprawość jego spadnie«.

»*Dół otworzyli i wykopali go: i spadną w dół, który uczynili*«.

Idą tymczasem ci dziwni ojce brodacze, dusz jakoby budziciele i poborcy, wkraczają w miasto obce, zagłuszone w bezduch jednych a odziczenie drugich, idą niby te mnichy średniowiecza — z niewiadakąd, niosą duszy nie zgaszoną pochodnię.

I zapadły mu nagle myśli w dale przeszłości, przywodząc na pamięć tłuszczę podobną i równie obcą, zbliżającą się po nocy do murów miasta. Słychać po basztach głuche sygnały rogów i nałażących tłumów zaszum ogromny. Widzi nieomal tę czerń dziką, a obcą, w kupę zebraną po gościńcach Europy całej: tę krwawą ahańczę *biczowników,* nałażącą z wrzaskiem »*Kyrye Eleyson!*« w ulice... Łokietkowego Krakowa. I przypomina mądrość jego, żenącą przez pachołków swoich precz za miasto: w świat, czy piekło, skąd wyszła, tę szarańczę anarchii z pod chrystusowego znaku, tę zarazę rozpętania pesymistycznego w tłumach ducha »chrześcijan« i czyśćcowego po miastach Europy zamętu. — Lat temu *sześćset pięćdziesiąt!...* Ot, kiedy przeżywaliśmy te rzeczy! — mówił do siebie. — A przedtem, o wiele wcześniej, czynili do nas swe pielgrzymie ischody pogodni Bogumili słowiańcy; rozbrzmiewały swego czasu i nasze gościńce barankowymi hejnały radosnej pokory franciszkańskiej; nosili po zamkach swą tajemniczą weselność, swą »wiedzę radosną« Manicheje wrocławscy; wiązali nas bracia »czescy« i »polscy« w łagodne gromady wspólnoty i prostego ducha chrześcijan, uczyli nie służyć złu w wojsku i urzędach, a nie przeciwiać się złu przemocą... Przeżyliśmy wszystkie burze, zawieruchy i zamęty bogobojnego ducha, tylko przed po-

łową tysiącolecia o tysiąc razy pogodniej i zasobniej w ducha od wszystkich tych człekolubnych zwiastowań wschodniej anarchii.

— Było! było! — mówił już w głos do siebie. — Wszystko było!...

Z przygnębieniem postrzegał, że jego gromadka cała witała tych pielgrzymów z jawną sympatyą w oczach: ich chmurne czoła wypogodziły się nagle rozpromienieniem czujnem, jakby w te głowy uderzało pierwsze tchnienie oczekiwanego od Wschodu wichru. Wandy twarz przybladła, była dziwnie skupiona temi łzami, zatrzymanemi w oczach. Po raz pierwszy uderzyła go uduchowiona uroda tej twarzy i głęboka prawość jej wejrzenia.

Upokorzony za nich i za siebie za to poddanie swej wrażliwości uczuciom, mimo wszystko, przecie obcym, błąkał się oczami w dali, mijał niemi kominy fabryczne i zatrzymał je nagle na ostrej w złotym błysku, niby drugie słońce zimowego ranka, — kopule cerkiewnej.

Za pochodem obcych pielgrzymów czyniła się tymczasem procesya coraz liczniejsza. Wszakże więcej od ich niezrozumiałych psalmów, nazbyt uroczystych dla ciekawości widzów, działały w ciżbie swoich żale i miotania się owej baby histerycznej, która wzięła na się niespodzianie rolę pośrednika i tłumacza pobożnych intencyi obcych ojców brodaczy. Wywodząc z żałośliwemi przekleństwy wszystkie krzywdy i pohańbienia nędzy, objaśniała swoich, że ci ojcowie pobożni świat na pokutę wzywać idą: — Antychryst świat ma skończyć, jakby na złość bogaczom i krzywdzicielom wszelkim. I jak oto w aurze miejscowej przeinaczał się wmig ponury Demiurg herezyi stepowej w mściciela krzywdy ludzi pognębionych.

Mężczyźni słuchali niechętnie tych miotań się baby. Wszczynali natomiast między sobą gawędy zaciekawień: »Księży, ni popów całkiem oni nie znają; sami sobie popią«. Ktoś tam urągać począł na księże »mamroty« — »kosztowne bardzo«.

I wszczęły się pomruki.

»Kto nad nędzę mocniejszy? Choroba. Mało czego ona z biedy nie wyciśnie: a to na dochtorów, a to na likarstwa. A kto jeszcze mocniejszy? Ksiądz. Czembyś onym duszom dziecka, czy kobiety twej zmarłej nie wygodził, gdy im biednym z życia już nic. Płać, poda ksiądz. Niema sposobu!... »Który inszy po wsiach to sobie takie stacye jak z tabeli wyznacza. Od kościoła z pogrzebem — po drogę: tela! po karczmę: tela! po wrota cmentarne: tela! A jeżeli przed sam grób: o! płać, chłopie, kiedyś taki pyszny przed panem Bogiem«.

Dogadywał warkliwie lud ponury. — »Pewnie!« — odzywało się zewsząd echem przytakiwań.

Baba histeryczna wgadała się tymczasem w chrypkę i prawiła coś o grzechu wojny największym. Sięgnąwszy w najżywszą dziś własną boleść, dostawała się i do serc ludzi; a odczuwszy to wmig, wybuchnęła wraz i prawdziwymi spazmami. Kobiety sapały, chmurzyli się mężczyźni. Zanikała powoli odległość między pielgrzymami a procesyą ciekawych: mieszały się tłumy. Już nie za gapi przyłączali się teraz ludzie z ulicy, lecz jakby niosąc za nimi swoją niedolę, czy zaciętość. Niezadługo, — a postępowali wokół nich murem. W ruchach mężczyzn jawiło się coś takiego, że baby zaniepokojone uwieszały się tu i ówdzie ich ramion, odciągając precz.

Profesora zagadnęła tymczasem figurka strojna, zwrotna i nerwowa w gestach, bez wieku na wygląd, bez płci, rzekłbyś nieomal, gdyby nie męskie ubranie, wąsik strzyżony i papieros w ustach tańczący: osoba ze sfer inteligencyi wielkomiejskiej.

— Od granicy idą ci pobożni jedwabioszwarcy, — rzekła jadowicie, błysnąwszy złośliwem oczkiem.

Komierowski przymknął powieki odrazą, jak gdyby mówiąc: »Och, znam aż nadto! Och, słyszę takich codziennie! O, ten wiew swojszczyzny dzisiejszej od sfer naszych!«...

Jakoż profesor podjął mu z warg temiż myślami:

— Byle tylko przemydlić się nad każdem głębiej sięgającem zagadnieniem życia i duszy...

Osoba inteligentna podsłyszała te słowa z opodal uchem nerwowem i spurpurowiała honorem w jednej chwili. Ustawiwszy jakoś nogi w krzyż, podjęła do ust gałkę laski.

— Pan uważa?... Nas tu życie mniejszych sympatyi uczyło — w tamtą stronę. Oczywiście nie zainteresowanych. Bo nie wiem, przed kim popełniłem nieostrożność... użycia naszej tu broni ostatniej. Przytem samo powietrze stołeczne odbiera nam prowincyonalne sentymenty i naiwności wobec wszelkich naprawiświatów i czyni z nas scep...

— Kawalarzy! — uderzyło w to nagle jak młotem.

Nadstawiony bokiem do osoby inteligentnej i pogarbiony rąk zatopieniem w kieszenie, zjawił się tu niespodzianie ów robotnik, Jur, — ten oprawca dobrowolny, — przypominał profesor.

— No, taka kompania! — wycedził pan z za gałki swej laski i zapalił w oczach taki jad złośliwości, jaki tylko w życiu wielkomiejskiem wykształcić w sobie można.

I wsunął się w tłum.

— Odnoś swe kosteczki stąd precz, kawalerze! A prędko: Bo tu może się stać niedługo bardzo ciepło. Tu nie konceptami i języczkami szermować ludzie idą, a piersi swe nastawiać.

— Za co? — bąknął ktoś z ubocza.

A on, zaperzony, nie dosłyszał skąd głos — i, wyrwawszy kułaki z kieszeni, poskoczył ku niemu czerwony na gębie całej.

— A no, żebyś wiedział: za wiarę swą!

— Twojaż to, chłopie? — mruknął tenże głos wstrętu.

— Moja, nie moja, — a wiara jest mocna, i tyle! Pod knuty oni lezą, rąbać się dają, gnać po ziemi całej, — a nie ustępują. Tobie kułak do zębów przystawię, a zapomnisz wnet ducha w sobie... Idź, idź do labusia swego, ten ma wiarę dla ciebie: głaciutką, jak jego atłasy, jak te damule po Wizytkach! Jego grzeczny pan Bóg rozumie pewno tylko po francusku i brzydzi się nami, jak on, labuś sam, jak te damule jego, jak ty!

W tłumie rozległ się rykiem śmiech zadośćuczynienia.

A Jur wołał już w tłumy z ręką wyrzuconą ku górze, ponad te głowy:

— Powiadają, że te labusie noszą jedwabne pończochy. Psie krwie!

Szyd tłumów ponury rozlegał się długą salwą naokół.

Komierowski szarpał brodę.

Jego niedobre ożywienie wonczas wśród zaułków minęło rychło, pozostawiwszy niesmak do siebie za wszelkich słów zbyteczność. Zjawienie się tych pielgrzymów obcych rzuciło mu błyski w oczy, lecz ochmurzyło czoło

jeszcze bardziej. Naciskał kapelusz głębiej na przepaskę czoła, nastawiał kołnierz: cały człowiek zjeżył się był milczeniem. Jakoż od dłuższego czasu nie odzywał się tu między nimi wcale. Teraz dopiero pod te pomruki i złe śmiechy tłumów ocknął się jakby i zatrzymał na nich głuche wejrzenie. Targał brodę. Wreszcie odezwał się głosem jakby znużonym, z trudem dobywającym z siebie słowa cierpkie:

— Te wasze idyotyczne sympatye, Jur, dla dewocyi. Święta »Agapa« była także komunistką, powiedział wam może jaki głupkowaty kleryk. A te mużyki są nimi również.

Ten zmieszał się w pierwszej chwili, lecz niebawem zaciął się wejrzeniem na znak, że o tych rzeczach mówić nie chce.

— Po książkowemu, po waszemu, — mruczał tylko, — dogadałbym ja się z ludźmi za lat dziesięć pono.

Komierowski zwrócił się gwałtownie do profesora z desperackiem rozłożeniem rąk.

— A przecie: zawsze to samo! Na dnie wszystkiego ten przeklęty sentymentalizm narodu! Tam, — mówił wskazując w górę, ku miastu: — »wieszczów« mądrość biblijna, lub dewocye doktrynalne; tu: idealizacya nędzarzy, jako »sprawiedliwych w Panu« i naprawiświatów właśnie, powołanych przedewszystkiem do »prostowania dróg Jego«.

Profesor spoglądał mu tylko w oczy, jakby potakując milczeniem każdemu jego słowu. Po długiej dopiero chwili podjął:

— Otóż to! Wciąż jeszcze na dnie dusz owieczki kościoła tylko! potrzebujące przedewszystkiem wiary głębokiej w czyjeś wskazania i wyznawań cudów tej wiary; a w nadmiernej żarliwości właśnie — herezyi i odszczepieństwa... I bodaj że tak we wszystkich objawach życia u nas! Tam na górze — bodaj że i w dziedzinie sztuki nawet! Wszelkie wybijanie okien na świat, wprowadzanie nowego zaczynu ducha, nowych, czy wolnych tam myśli, wszelka agitacya oto wśród tłumów i ta rzecz najelementarniejsza: walka — wszystko to zamienia się u nas zawsze, — chciej, nie chciej! — w mątarstwo sekciarskie.

Jur przysłuchiwał się tej rozmowie inteligentów ciekawie i nieufnie zarazem. Odymał się zaciętością swoich, innych myśli.

I odciągnął tem ku sobie uwagę Komierowskiego.

— Słuchajcie, Jur, — rzekł niecierpliwie, — co znaczy to wścibiarstwo wasze we wszystkie tu sprawy? — tam dobrowolne katowanie jakiegoś łotra, potem to znęcenie się nad figurką złośliwego przechodnia... Czego wy się tu pchacie ciągle w nie swoje rzeczy?

— Bo jestem »na dzielnicy«.

— Nie za policyanta chyba?

— A czemu pan nie przy pracy, nie w fabryce? — zagadnął go profesor z góry.

— A temu! — rzucił hardo, przystępując doń.

Lecz profesor krótkim gestem dłoni wypraszał sobie dystans kroku i słowa.

— Uu!... hrabia pewno.

I draśnięty do żywa szlachecką oraz »inteligencką«

wyniosłością polskich panów radykalnych, a poderwany godnością osobistą, powiedział mu, niby szeptem, w nos:

— Mnie inna tera robota nastała. Ja jestem na fonduszu partyjnym.

Lecz w tejże chwili skleiły mu się usta, a twarz przybladła. Profesor odruchowo wejrzał na Komierowskiego. I przeraził się sam w tej chwili jego oczu, dotychczas zawsze głuchych i wymijających.

Nastała ciężka chwila ciszy.

Jur stał wciąż blady, wyciągając mimowoli ramiona po bokach.

Wreszcie jakby uwolniony z pod tego przybicia spojrzeniem, zwrócił się do panów Bogdanowicza i Mikulskiego, pod ich adresem wypowiadając swoją obronę:

— Bo krzywda, moi panowie, to nie po świecie sobie chodzi, tylko po ludziach, — czynił zarazem przytyk do ich abstrakcyjnych teoryi, których nasłuchał się był widocznie, i rehabilitował prawo swego kułaka. — Choćby i tamten »lokatur« on cały. Musowo było z nim się załatwić. Som takie pijawy, po bagnach nędzy osobliwie, których nikt nie wyłowi. Kto go tknie, kto świadczyć będzie, kiedy go się wszyscy strachali? I te dziwek dranie nawet, te łobuzy, zuchy one, a nie poradzili z nim przecie, choć go czasem który swym lichym kozikiem ukłuł... Bo organizacyi między nimi niema!... A tamtemu co? — w szpitalu się tylko wypyszniał. Ledwo wylazł: i ot jaką štukę urządził onej wdowie. Wszystkie jej przecie wątpia wydziabnął z brzucha pieknie na wierzch. Nie zobaczysz: mig i już! Uu! — majster on na nóż.

— Zamilczcie, Jur! — syknął Komierowski, znękany już wprost na twarzy.

Jur zagryzał wargi.

— Uważenia jego chciałem za tamtą grzankę, — warknął tonem usprawiedliwienia.

— Jest. I dosyć o tem!

Profesor spoglądał na Komierowskiego z mimowolnem odrzuceniem głowy w tył pod to odstrychnięcie się wewnętrzne. A jednak zdobył się mimo wszystko na tyle rozumnego współczucia w wejrzeniu, że wywabiło ono tamtemu na usta ów uśmiech dawny: chytro-melancholijny, pełen udręki i nęku dla siebie, czy życia — niewiadomo.

— O, ja nie miewam złudzeń co do ludzi.

Fala tłumów ponosiła ich tymczasem wciąż w pobliżu pielgrzymów, raz zbliżając do nich, to znów odpychając w dal natłokiem ludzi. Zbite już gromady ciągnęły ulicą.

W zgiełku coraz to większym zgłuszyły się było i zamilkły obcych psalmów monotonne przyśpiewy. Hałaśliwe turkoty po oddalach, metaliczne łomoty z fabryk i głuchy młot walcowni niosły jawę miejsca i czasu, oraz ich tu prawa.

Nią jakby targany, w strojeniu się bezładnem, w podszeptach i zagrzewaniach wzajemnych wszczynał się śpiew

w rytmach zgoła innych. A z tego głosów zamętu trysnęło nagle akordem pełnym i uderzyło w ulicę surmą pieśni, rzekłbyś zdziwioną, jakby wytargniętą niespodzianie z pamięci tłumów. Z tym pokrzykiem: »Warszawo!« spadła pieśń w odmęt tłumnego zgiełku, — w zaszum ciżby już gorączkowy.

......*świętą a pra-a-wą!* — zawodził w dalszym ciągu wrzaskliwym dyszkantem głos Jura — w pojedynkę tylko.

Wspólny marsz zmógł ten nieład. Przez chwilę dudniało tylko kroków mrowie, słychać było chód: następ tłumów wielki, — jak po huku zerwanej tamy ta cisza powodzi najgroźniejsza.

Ktoś wątłą ręką chwycił profesora za ramię: ujrzał Wandy twarz w zadyszce nagłej i uczuł przez ten uchwyt ręki gwałtowne zabicie jej serca.

Spojrzawszy przed się, puszcza go natychmiast i rzuca się w tłum.

— Nino! — woła biegnąc.

Lecz oto wyrwało się znów akordem pełnym z bezładnego zgiełku tłumów.

...... *świętą a pra-a-wą*! — poniosło tym razem ekstazą zgodną.

Doświadczył przelotnie dziwnego wrażenia, że przestaje tu reagować własnem czuciem, że zapalność wspólnego już nerwu otumania mu głowę. Pchnięty gromady jakiejś naporem, nietylko że ustąpił łatwo, lecz wpadł krokiem surowym w jej rytmy... Raz! — raz — raz! — zabębniła marszem krew w żyłach ruszona.

Opamiętał się przecie, odął godnością i chciał się od tej ciżby usunąć precz, gdzieś na boki.

Raz! — raz! — raz! — ponosił go następ mas ludzkich zwarty.

W mrowiu szarem postaci jak kloce ciężkich, mignęło coś strojniejszego i giętkiego zarazem. Poznał! — ta druga dziewczyna widziana dziś na salonach tamtych. Wyższą zdała się teraz w swym stroju ciemnym i bardziej zwartą w chodzie. Futrzane błamy kołnierza, przerzucone przez ramiona w tył, a rozchwiane w tem tempie, jaki kołysał, zda się, ulicą całą, dodawały sylwecie — już na oko — rytmu mocnego. Z rozgarem w oczach i na twarzy kroczyła przed najbliższą sobie gromadą ludzi, mimowoli w nią zapatrzonych i fascynowanych tym szparkim krokiem młodości. Ptasimi ruchami niespokojnej głowy obzierała się na nich wszystkich, biorąc od nich wzamian całą burzowość chwili w rozdęte nozdrza.

— Wanda?! — zaklaskała nagle w ręce.

Tłum je objął, wtulił w siebie.

Profesor znalazł się sam wśród obcych naokół twarzy: to zamącenie mrowia ludzkiego rozbiło mu kompanię, a samego Bóg wie gdzie w tłoki wepchnęło.

Ten marsz tłumów, ich następ twardy nie wiadomo na jakie szańce, kroczył w tej chwili jakby pod rytmy głuchego młota walcowni, bijącego w dali. Chwilami czynił się z tego w zgiełku tylko szum jakiś wielki. A gdy oko przecznicą między parkanami ku rzece niespodzianie wybiegło, zdało się przez chwilę, że to Wisła szumi tak wezbranym prądem wód mętnych.

Tymczasem w orkiestrze tłumów pomieszały się jakby nuty: ktoś inny chwycił snać batutę, bo oto nad te głowy, nagle znów rozchwiane, wyrzucił się krzykiem śpiew inny: »...Sędziami będziem wtedy my!«

Raz! — raz! — raz! — wybijał zdala w przynagleniach rytmem zmylonym młot walcowni swe głuche łomoty metaliczne. »...Sędziami będziem wtedy my!« — przyniosło wrzaskiem echa z oddali.

Nad głowami ludu zawisał na parkanie Franek, zwinny jak wiewiórka. I rozglądał się ciekawie żółtym łbem, — lecz nie za pochodem patrząc, a w przeciwnym kierunku. Nadstawiał chrapów, strzygł uszami. Nagle wetknął w gębę cztery palce, świsnął przeraźliwie i rzucił się z góry w tłum jak w wodę.

Nurował w tłoku, roznosił świst donośny: siał popłoch.

Zdala po brukach ostrych dał się słyszeć tętent drobiony. Na łukowy zakręt ulicy wyrzucały się w pędzie kudłate głowy małych koni, twarze ludzkie do ich szyi przywarte i ramiona białym łyskiem zamachnięte.

Nina podźwignęła się dłońmi i przysiadła na brukach, zdziwiona tak nagłą ciszą i pustką naokół.

— Koń! koń biegnie! — wykrzyknęła nagle w głos, widząc, jak okulbaczone bez jeźdźca zwierzę, wpakowawszy się tupotem ciężkim na trotuar, wącha łbem niespokojnym tę ślizką drogę, osadza się przed czemś i w nagłym młynku a iskier skrzesaniu rzuca się w cwał wyciągnięty: pędzi w ogromnym tętencie wśród ulicy głuchej.

Tuż, tuż przed jej stopami przeleciał, bijąc się po bokach rozkołysanem strzemieniem.

Czyjaś ręka wyciąga się za nim zdaleka. Porwał się ktoś prężnym skokiem z ziemi, przebiegł kroków kilka i zwalił się znów, a ramieniem wyprężonem drgawkowo zda się wciąż macać przed sobą wypuszczonej z rąk uzdy.

Na brukach, kędy okiem sięgnąć, widać czapki, kapelusze, laski, ciemne chusty babie i pstre parasolki. Pod płotem samym leży coś, jakby spadłe z niego: okrycie męskie długie, czarne, wzdęte nieco nad bruk...

Targnięta lękiem instynktu, patrzała z czujnością zwierzęcia nieomal.

Sterczą z pod tego palta nogi sztywne.

Serce jej ścisnęło się nagłym skurczem i zaparł oddech przerażeniem rzeczy najstraszniejszej, widzianej po raz pierwszy młodemi oczami. Powieki zapadły ciężko: jak gdyby dłoń jaka opiekuńcza i surowa przysłoniła jej oczy: »Nie patrz! W duszę nie bierz!«

— Koń! koń! — uradowała się znowuż żywemu stworzeniu w tej pustce grobowej. »Wraca!« myślała z ciepłą jakby otuchą, gdy głowa osłabła opadała równocześnie w tył. Ciemieniem uderzywszy o bruki, słyszy tem wyraźniej rytmiczne podrywy cwału...

— Nie, po co pod mur? Po co? — upierała się kapryśnie w czyichś ramionach. — Kiedy wszystko jedno. Zaraz wstanę. Dziękuję panu.

— Niech się panienka nie boi nic! — wołano nad nią śpiewnie, jak w polu: z akcentem na ostatniem słowie.

— Gdzie jest koń?

— A mnie on co?! Nie mój. I jest o czem myśleć teraz!

— Takie wszystko strasznie dziwne...

— Niby co? Boli głowa? Opatrzą.

Przyklęknął nad nią, by obejrzeć głowę ranną. Lecz gdy w twarz jej spojrzał, mimo surowości w oczach, błysło w nich coś przelotnego, jak to zawsze u mężczyzn, gdy który z nich znienacka na nią spojrzy. Już nie chylił jej głowy ku sobie, lecz sam się nad nią zginał; kapelusz zdejmował powoli i ostrożnie, aby jak najmniej bólu przyczynić. Patrzał uważnie, włosy rozgarniał, — dotknął raz i drugi: — syknęła z bólu. A on rozchmurzył się nagle, odjął ręce zakrwawione przy tej robocie i, powstając z ko-

lan, chował je w kieszenie — z delikatności dla niej: by nie płoszyć.

— Że aksamit, — mówił, — to dobrze. I te szpilki. A potem włosów tyle. Na tem się i oślizgło. Ledwo co skubnął. Tylko wstrzochnął nieco głowę, stąd dygotka i gorączka. I opada stąd głowa podbródkiem... Dobrze, że się nie zasłaniało rękami, jak to młode kobiety najczęściej, wnetkie w ruchu. Mogłyby już ręce leżeć tam — w rynsztoku.

— Ach? — zdumiała się jakoś spokojnie, raczej ciekawością. — Takie wszystko jest strasznie dziwne!

A on tymczasem popatrzał chwilkę uważnie, odwiódł oczy i zamruczał pod nosem: »Matko Boska pomocy nieustającej, miłosierdzie twoje!...« I potem dopiero odpowiedział jej surowo.

— Nic dziwnego nie jest.

— Tańczyłam całą noc, — skoczyła jej dziwacznie myśl gorączkowa.

Jemu przerzucił się wraz blady i zacięty wyraz twarzy w roztargnienie przelotne:

— I to mi nie dziwno wcale! — parsknął krótkim śmiechem.

Popatrzał raz jeszcze na odchodnem. Czuć było, że stara się mówić najłagodniej, jak tylko potrafi:

— Niech się panienka nie boi nic. Przyjadą dochtory, opatrzą. A jeśli tam potem gdzie zabiorą, to dla sprawdzenia tylko. Bo to w tłoku przecie: z ciekawości mogło być, a nie z winy.

— Kto pan?

— Jur. I tyle... Nazwisko zgubiłem z paśportem, — zaśmiał się zębami.

— Niech pan ucieka! — rzuciła mu wraz domyślnością bystrą.

— Hę, już tam zagrodzone wszędy: ostępem.

Błysło jej w oczach przypomnienie nagłe: teraz dopiero spojrzała nań uważniej, z trudem podnosząc głowę:

— To pan był?!...

Wmiast odpowiedzi począł się rozglądać naokół.

— Muszę ja cosić z kieszeni podrzucić na ulicę... Ot temu niemrawcowi, co go z płota zdjęli, wsadzę. *Papachę* ma na łbie — o!... Na wojnę szedł. Takiemu będzie i do twarzy leżeć z tem oto w łapie. Z ciepłem jeszcze. Chocia sam już zimny.

Odszedł. Widziała tylko cholewy butów: tak nizko zwisała jej głowa.

Wcisnąwszy się głębiej w węgieł muru, starała się opanować drżenie nieustanne. Ręce wyciągały się przytem gdzieś przed siebie i rozkładały bezradnie, z piersi zrywał się płacz i zacinał sucho w gardle. Lecz oto zarzuciły się nagle te ręce na głowę, wczepiły się we włosy i nuż targać je na sobie w furyi bezsilnego gniewu. I wtedy dopiero, podrzucać nią jęły kurcze spazmu.

Gorączka nieprzytomna obejmować poczęła tę głowę i upajać szalejem mściwości kobiecej.

Ktoś podejmował łagodnie jej głowę, powieki rozchyliły się wreszcie, a ramiona zarzuciły się z całej siły na szyję klęczącej nad nią Wandy.

— Tam ktoś pod parkanem . . . został, — mówi po chwili przytomnie.

— Nie patrz! — podrzuci się Wanda raptownie przysłaniać ją całem ciałem. — Nie patrz tam! — woła, kładąc jej obie dłonie na oczach. — I przysłaniając ją tak, szlocha nad nią jak dziecko.

— Doktorzy zaraz przyjdą. Innych omijają, żeby do ciebie prędzej. Wyprosiłam, wyściskałam u kolan . . . Idą, już! Idą. Patrz! . . .

— A konia złapali?

Na pustą niebawem ulicę wylegli z bram stróże z wodą, miotłą i piachem.

Do swej czynności nie pochopni, kupili się w tych głuchych pogwarach oddechu ciężkiego, z których padają pierwsze ziarna zasłychu, co potem po świecie chodzi i sieje niepokój w rzesze ludzkie. — A jednak, to najbliższe, co się przed chwilą tu stało, wplatano tylko ubocznie w opowieści inne, przypominane analogią: jak gdyby u tych ludzi była wstydliwość jakaś przed nagością chwil strasznych, widzianych na własne oczy: myśl ich odpychała wprost od siebie realizm zdarzenia nazbyt blizki, który ściskał już tylko żołądek i cnił zgagą po przełyku.

A przedewszystkiem gadać się chciało: głucho, cicho, sapliwie, — duszy na ulgę, na spędzenie tej niemrawoty z ramion ociężałych. Jakże tu imać się czego, kiedy za pierwszym ruchem człek westchnie, zasapie się i stanie

gapiem, — zadumają mu się ręce same... Wojna! — owóż rzecz podobna, a większa jeszcze. Oto jeden z nich tu stojący już się dziś zrana gotował był do koszar. Buty za swoje kupił, — radzili społecznie, oglądali sumiennie, — łyżkę drzewnianą za cholewę wsunął, z babą i dziećmi się pożegnał i, złej doli na złość, zaciął się w sobie: zuchem szedł! Aliści zaskoczyło go to na ulicy. Chłopu zrzedła gęba, zgasł w oczach i roztrząsł się cały. Słuchał tedy ludzkiej mowy rad: niech gwarzą, niech zagadają rzeczy nagłość.

Mącił im rozmowę starowina suchy, stróżujący opodal lichemu domostwu robotniczej biedy.

— Z mikołajewskich ja! — bąkał raz po raz. — Dwadzieściam lat z okładem służył.

Skoro już stary gadać się napiera, pytali o »sewastopolską«: niech powie, co wie.

Staruszek drapał się w głowę, szperał w niej, wreszcie wygrzebał coś z pamięci:

— Bywało, że, z onych ich brzuchów, cośmy ich nadźgali, tak kapustą śmierdziało, że hu!... No, mówię.

Zadumał się, rozkiwał głową, wreszcie podniósł ku nim swe królicze oczy:

— A z nas co śmierdzieć miało? Razowiec? Kasza?... Gdzie my co innego kiedy widzieli!

Tyle tylko pozostało na starość we łbie wojownika. Ruszały się tylko w zadumie wole jego szczęki, które nie dość się napracowały w życiu nad jadłem i nie mogą tego światu darować nad grobem.

— Medal mam! — poprawił się przecie. — Niedzielą, do kościoła to go se i zawieszam.

Urągnęli ludzie nad nim.

— Tobieby kiełbasę w zęby na niedzielę dawać.

— I zsobaczeć tak! — mruknął ten, co na wojnę dziś szedł.

Zapędzili go w złości samego do tej roboty, która tu na nich wszystkich czekała. Wziął miotłę, piachu kosz i ruszył obojętnie sprawować swoje. A oni zagadali między sobą.

— A pani co uważa?! — rozległ się niebawem za nimi głos tegoż staruszka, lecz tym razem surowy, stróżowski: na urzędzie. — Tu nie wolno wcale! Ja mam prawo areśto... Co ona będzie za taka? — wracał do swej gromady, wskazując im jakąś pomykającą się przy parkanie białą postać kobiecą. — I skąd ona tu się wzięła? Toć bramy zamknięte z przykazu, a ulica puściutka. Skąd ona? Z pod ziemi wylazła?...

Zamilkli i patrzeli uważnie na tę kobietę, sunącą pod parkanem: drobna była z siebie i szeroko przysłonięta jasną rotundą z białym futrzanym kołnierzem; jakiś strojny błękitny czepiec osunął się z włosów płowych.

— Co ona będzie za taka?... Jakby z tancbudy szła.

— Wszelaki dziwny naród na taką okazyę dyabeł z całego miasta sprasza.

— Te, pani! co pani tam uważa?...

Ruszyli ku niej krokiem prędkim.

— Mnieby tam do niej... — dreptał za nimi staruszek, wlokąc za sobą wielką miotłę, — mnie tam do niej nie skoro było. Lepiej zdaleka postraszyć. Powiem wam: tu

nad kałużą stała bialuśka, jakby się przezirała w czerwonem.

— Tfu! — spluwać jęli po kolei.

I przystanęli z obrzydliwością na twarzach.

A staruszkowi podbiegły nagle oczy blaskiem: ruszyła się pamięć i wyrwała coś niespodziewanego:

— Powiadali, których za umarłych na polu ostawili, że gdy wszystko ścichnie, po nocy osobliwie, chodzi takie po polu. Białe jest i mkłe jak ognik: to siu, to tam, — za wiatrem. Które ciało jeszcze drga, nad niem kucnie: i głaska, i pieści: Mora, latawica!... I za dnia się trafi, gdy po bitwie... A który ją przed bitwą zobaczy, temu znak, że się jej spodobał chłopiec.

— Strasz siebie, dziadku durny!

Nie śpieszyli się już ednak, szli raczej baczyć tylko zdaleka: — co jest?!...

— Nie daj Bóg, przy broni, na warcie, — strzeliłbym.

— Strzelali bywało! — machnął dziad ręką. — Jej to śmich. A temu, kto strzelał, kula w łeb za alarm próżny. I owóż tak go sobie upatrzyła: — a co!...

— Pomieszana ona, i tyle, — mówił surowo ten, co na wojnę wyruszyć miał. Ruchy jej som... nieakuratne— baczył na nią i uważał Mazur roztropny. — Właśnie, jak w takich... Struchliła ona duszą pod kopytami i zmyliła się w sobie. I chłopu w bitwie pono się zdarzy. Dziwić się!— panienka przecie. Taż widzę.

— Panienka ona i jest, — mruczał stary, — kochanica, piękna bardzo.

— Kto?

— Smirć taka.

Mazur aż przykucnął przed nim w pasyi czerwonej:

— Już cię ona kochanica nie obłapi, dziadu! Jeno ta starucha kościana. Więc nie czmuć strachaniem ludzi, co im na wojnę trza!... A no! żebyś wiedział, żebyś znał naszych.

Poprawił się gniewnie w pasie i ruszył na oną zmorę.

Rychło jednak sapnął tak, że mu się piersi jak miechy podjęły: tam pod parkanem, gdzie nie patrzano z umysłu, gdzie, — wiadomo, — pozostał jeden, nad paltem czarnem i szyją — głowy nie dojrzeć, — widać takąż baranią czapicę formy wojennej, jaką mu już dziś Żyd wmówić chciał, by za swoje kupił. Zatem i ten szedł się meldować na wojnę. I tu się ze śmiercią pośpieszył. Ramię, wyciągnięte z pod tułowia, przykrywa dłonią płaski rewolwer.

Aliści ona właśnie ku tamtemu sunie i przyklęka mu nad głową, jak ta kopa jasna pod peleryną swoją. A rękę bieluśką kładzie mu na te czarne barany czapy. »Po prawdzie: pieści!« — pomyślał.

I zagrały mu zęby w gębie.

Stanął.

Ona ściągła tymczasem tamtemu czapę ze łba. Spojrzy na jego głowę kruczą, przyczesaną głaciutko, z pańska, wstrzepnie się jakoś cała, za skronie uchwyci, pohuśta tak głową w żałości i nuże dźwigać tamten łeb: w gębę zajrzyć chce trupowi.

— Pan Bo-le-sław! — jękło wichrowym zaszeptem, jako wiatr zagada zestrachanemu.

Więc się pewnie osłyszał, myśli, bo i uszy nie chwyciły, jak trzeba, akuratnie: nie wie, coby znaczyć mogło.

Tymczasem już go samo z miejsca rucha bez postanowienia: już nienawiść zdążyła zalać serce; już i garście same imać się czegoś rwały: musowo!

Podjęła się, podhycła i nastawiła mu się w oczy jak to zwirciadło złe: — ujrzał twarz krasolicy popielną i złote oczy ogromne...

Więc na tych butach, dziś świeżo na wojnę kupionych, zadudniał Mazur po brukach ostrych jak ten koń zhukany. Tamci już się pomknęli ku bramom. Tupotał tedy pędem do żony i dziecisków swoich.

— Onaż to jest prawdziwie: Mora na poboisku! Nie wrócić mi już pono do was moiściewy! nie wrócić z onych Wschodów za Dalekich!

Tu, na tratwiane dyle u samego brzegu Wisły opadł.

Z dłońmi na okularach i twarzy, jakby cały ten zamęt rzeczy widzianych i słyszanych utrzymując rękami.

Tamtą jedną chwilę mijała myśl uparta; pamięć zdała się ranną w tem miejscu: jakiś błysk najbłahszego, nie do rzeczy szczegółu, który wtedy właśnie czepiał się oczu, i — przelot chmury apokaliptycznej nad głową. Nawet krzyków zachwyciło ucho tak zdumiewająco mało. Z czyjejś ręki sypnęły się strzały dziwnie głuchym grzechotem. Tyle tylko zatrzymała pamięć. Potem jakaś potworna maszkara grozy: czerwona, patrząca krwią zalanymi dołami: rzecz zgoła nieprawdopodobna i nie widziana. Te jawy nie chcą być dla pamięci realnością: zmysł samozachowawczy rzuca na nie czarną zasłonę, strąca w zmorę senną. »Tak lepiej będzie życiu«, — chce natura.

Jaśniej przypominały się dopiero chwile na podwórzu, gdzie spędzono ich wszystkich i przetrzymano kilka godzin.

W słońcu, dzięki Bogu!

Zastanowił go przedewszystkiem ten szept po tłumach bab i robotników, że wojsko sprowadził »lokatur«. Znaleźli się tacy, którzy gotowi byli przysięgać, że go widzieli

w tłumie kulejącego, z opuchłą gębą, jak zachęcał do śpiewu, i jak potem strzelał dla pogorszenia sytuacyi, której, rzecz oczywista, nic ani pogorszyć, ani naprawić nie mogło w tej chwili ostatecznej. Nie dawał wiary tym gadkom, będąc pewny, że osobnikowi, przez Jura tam w zaułkach obijanemu, przez długie miesiące zrastać się będą kości. Zastanowiły go jednak te małoduszne gawędy ludzi zahukanych grozą, oraz ta wyobraźnia tłumów podrażniona, która pierwszym impetem szuka zdrajców i stwarza własne potwory moralne, obdarzając ich nadprzyrodzonemi siły. Padały i tu pierwsze ziarna zasłychu, te grozą tajemniczości i zła najbardziej rozsiewne, niosące niepokój w życie, wyważające je z bierności, docucające się sił w rzeczach bezwładnych stokroć pewniej niźli wszelkie agitacye.

Tworzyło się tu ponadto coś, wiodącego głębiej w tajniki dusz ludzkich, — wypotwornienie zła w potęgę, jego demonizacya: rodził się zawsze nowy szatan — na fascynacyę żywotności bezładnych i sił bezsterowych w duszach lichych: splatała się na nowo ta sieć jego fatalna, która onymi czasy nie tylko wyławiała, ale i tworzyła zdrajców wiary wspólnej: wiłów i czarownice.

Wreszcie uczynił się na podwórzu ruch ludzi nowo przybyłych — spokojnych i rzeczowo krzętnych. O tem, co tu zaszło nikt nie wspominał: nie w tem zda się rzecz była, lecz ustawianiu się, szykach, porządku i papierach.

Jako profesora i za pasportem cudzoziemskim, puszczono go natychmiast. Innych ustawiono w szeregi na uprowadzenie. Upewniano go zresztą, że dla formalności jedynie i osób sprawdzenia, bo choć i na sąd z czasem

przyjść może, to wobec wszczętej wojny: — gdzie! kiedy! Wloką się takie sprawy latami, a zatrzymywać niema powodu. Strzelający i prawdopodobny prowodyr nie żyje już; właściwych zaś sprawców wszystkiego, owych pielgrzymów, już uprowadzono i załatwią się tam z nimi osobno.

Objaśniano mu to wszystko bardzo uprzejmie, nie tyle ze względu na jego profesorską godność, ile na stojącej opodal Niny urodę i oczy gniewne.

»Pasport!« — zaszczękano przy niej chwacko ostrogami.

»Czego jeszcze?!«

Odrzucił głowę w tył i nasrożył się obowiązkowo:

»Pan myśli, że ja się pana boję?«

Koniec końców nie dogadał się z nią: musiała i ona być uprowadzoną. Rozłożono ramiona na znak, że wola była lepsza.

Jakoż w mijaniu i zakrzątaniu się przy czemś innem zdążono ją troskliwie zapytać, czy głowa bardzo boli.

»Choćby nie wiem jak bolała, to... nie boli. *Merci.*«

Krótki ruch głowy bardzo dobry, rasowy nieomal mimo bandaża: rana widocznie nie była poważna, a to odrętwienie na karku ustąpiło łatwo.

Lecz jej ostatnie, półgębkiem rzucone słowo wywołało cały potok wymowy francuskiej. Dziewczyna odęła się w milczkę, a pod zadzierzystemi zdala spojrzeniami wysuwała czubek języka — po części z niedbałego grymasu, po części zaś dla odświeżenia warg, skoro już na nią tak patrzano. Oczy mrużyły się przytem mimowolną ciekawością, aczkolwiek wciąż gniewnie; tylko że tym razem

na siebie: za tę natrętną muchę uśmiechu na policzkach swoich.

Miotał się opodal w gestach kłótliwych, z panami Bogdanowiczem i Mikulskim wraz posprzeczany, pan o rudym zaroście i krzywo osadzonych binoklach na twarzy niespokojnej. W dyspucie trzymał wciąż dłonie wykładające blizko twarzy, jak kret. Nazwał się Mojżesz Gurewicz z Wilna. Dziennikarz, — dorzucił, spodziewając się wrażenia.

Choć obchodzono się tu z ludźmi spokojnie, jednak Franka łeb żółty, wygolony na ślizką kulę i cała jego sylweta złośliwego karła drażniły ręce. Jakoż oberwało mu się po tym łbie raz i drugi za odbieganie z miejsca i rojenie się nieustanne. Stanął tedy, by się nie narażać i spluwał sobie z nudów: strzykał plwociną sołdackim szykiem, jak człowiek z fantazyą, którego nudzi czekanie.

Tkwił przy nim chłop w sukmanie: wielki i uroczyście niemy. Szedł był od mostu stawić się w koszarach na wojnę, niósł kuferek na ramieniu i chleba bochen pod pachą. Zamieszany w grozę tamtej chwili, kufra nie wypuścił, chleba nie uronił; a wzięty na podwórze, stanął jak wryty na jednem miejscu, nogi tylko zlekka rozkraczywszy — z niedbałości: że to nie rzecz wojenna, a jensza. I stało murem to chłopisko wielkie, jak biały posąg z swym kufrem na ramieniu i chlebem pod pachą; a choć się ludzie w tym rozgardyaszu i zamęcie wciąż od niego odbijali, nie drgnął krokiem z miejsca. Nazwał się opryskliwie: Jędrzej Niemsta z Kęt.

I tyle, tyle innych postaci szarego na pozór tłumu,

nad którym czyniła się oczom, tak niedawno jeszcze pogardliwym, tęcza barw człowieczeństwa.

Przeciągały mu w pamięci wszystkie obrazy wśród tamtego gwaru po salonach i nawiodły na wrażenia tam ostatnie.

»*Vitae lampadae traditae,*« — przypomniały mu się własne słowa.

Wyświeciły mu te lampy drogę przez nędzarne zaułki, przez ciemnotę ludzisk narzuconą, spotkały się trafem bożym z niewygasłemi gdzieś po wschodnich stepach pochodniami duszy i wywiodły społem . . . w okropność tego, co się tu działo niedawno.

»Możeli klęska tak konieczna rodzić optymizm? — zagadywał siebie, — lub przynajmniej otuchę na krzepkie osadzenie jego korzeni w energii człowieczeństwa u gromad? — nawet gdyby korona była spróchniała i bezowocna?«

Odpychając od się w myślach tych energii bezster, czy skierowanie czasowe, przypominać jednak musiał:

Jura postać w półkożuchu krępą, pogarbioną: ślusarską, — chłopa jakby sękatego o następliwym kroku i czole. Potem ów Jędrzej z Kęt: chłopisko jak świeca proste i, rzekłbyś, murowane z hartu i uporu. Oraz tamte inne Mazury, probierzem wojny tknięte: — energie o korzeniach dębów, roztropne lat tysiącem twardej walki o życie, płomienne nie za słów podmuchem, czy komendy bębnem, lecz za własnych sił dopiero zagraniem; energie cierpliwością długie, wytrzymaniem twarde i nie skore w ruszeniu, jak soki tej gleby ubogiej: siły mazowieckie, chlebne . . .

W oczach, szukających bezwiednie Komierowskiego, stanęło ponure zapytanie:

»Pókiż tego urzeczenia romantyzmu nad każdym tu twardszym czynem gromadnie przodownym?! Pókiż tego zwalczania hydry siłami kolebek i zmagania centuarów ramionami dziewcząt?! Pókiż to poetów »ramię i wichr« będą porywały niedouków nie w dziedzinę ducha na ogarnianie »ludzkości całych ogromów«, lecz do przodownego czynu z małych doktryn ciasnoty? Jestże to naprawdę przeznaczeniem młodości, a nie innych sił w gromadzie?« . . .

Przerwało mu zadumę ustawianie szeregów ostateczne. Przy tej sposobności ofuknięto go surowo, czemu zwolniony nie wynosi się stąd.

Widok jednej grupy na uprowadzeniu wrył mu się w oczy na zapamiętanie długie:

Przodem w ciemne okrycie otulony, z kapeluszem głęboko naciśniętym na przepaskę czoła, cały w sobie chmurnie zebrany, rzekłbyś, zmięty udręczeniem, szedł Komierowski. Obok w jasnej pelerynie i takimż berecie na głowie — Wandy sylweta prosta. Przy niej to chłopisko wielkie w białej sukmanie, z kufrem zielonym na ramieniu i bochenkiem pod pachą.

Za nimi w ślad: Franka katorżnie wygolony, żółty łeb w poskokach nieustannych i Jura krok następliwy. Przy nich Nina w swych półtanecznych ruchów zuchowatym drygu, rozkapryszona na policzkach i wargach pod zadzierzystemi zdala spojrzeniami.

A im wszystkim po piętach: panowie Mikulski, Bog-

danowicz i Gurewicz w poswarze szwargotnym, jak te koguty bojowe: już pod garścią, a jednak wciąż jeszcze w sprzeczce zażartej.

Pstrych tłumów wymarsz ustawiony w szyki tam na podwórzu tak oto wykraczał na ulice miasta: z tą gromadką na przedzie. Wycisnęła mu się ona na wyobraźni jak czasu idącego znamię, jak wszystkich burz zarodki — same oto z łona społeczności *nascentes*. A każdy z tych ludzi zdał mu się mieć w sobie coś z fatalności lawiny ruszonej, coś z fatum czasów, wziętego na się sił żywotnością z plemiennego koła.

Opadła myśl i poszła cierpka w tamte ulice śródmieścia, gdzie w zgiełków kakofonii turkocą dorożki niechlujne, rozklekotane w osiach i kołach, jak ten wóz życia cały. Kołacze się ten wehikuł północnego lazaroństwa pod brudno-wesołe aspekty gnuśnego śródmieścia, gdzie zasiadł w spiżu posągowym ten, który światy ruszył, zapatrzony wciąż w symbol ich układu wirującego.

Zaś naprzeciw, — przypomniało mu się nagle, — Chrystus, co z kościoła wystąpił pod krzyżem ofiary pogięty.

A pod ich stopami miasto w bezruchu zastygłe.

Niżej, po padołach te ponure zbarbaryzowanie nędzy i mątarstwo wśród niej wszelakie.

Jeszcze niżej: te kominy czerwone, niby potworne ryje mrówkojadów cudzoziemskich.

I tą oto drogą, — przypominał znów, — od tych kominów czerwonych przez zaułki nędzarne, w brudno — »eleganckie« aspekty śródmieścia kroczą przemarszem

tamte tłumy pędzone — z ową grupą na przedzie, niby z czołem wszczętego pochodu dziejów.

»Rzuć za nimi kamieniem! — szarpały się w nim uczucia, w instynktach tej ich podziemnej robocie nawskroś sporne, płoszące trwogą rozkładu tam właśnie, gdzie zapalają się dla nich gwiazdy nadziei.

Borykał się odstrychnięciem wewnętrznem od nich swej całej natury i nie dawał rady tej sile.

»Tajemniczość! — owóż to, co niewoli i jarzmi tłumy, pociąga wyobraźnię, a odpycha myśl. »Tajemnica tłumów!« — cofa się przeczucie w odrazie mętów człowieczych.

A na przekór tym niechęciom stanął mu w myślach żywot i dola Komierowskiego; potem tamtej dziewczyny, Wandy, młode czoło myślami czyste i bezdenna prawość jej wejrzenia; wreszcie ten chłop, jak posąg wymowny i prosty w ruchu każdym.

»Sąże to męty?...«

Ujrzawszy na brukach jakieś dwie książki w błękitnej oprawie, schylił się: przypominał odruchowo, że prosiła go Wanda o podjęcie ich w razie znalezienia.

W pierwszej chwili chciał te książki z odrazą odrzucić: unurzane były w skrzepie czerwonym. Poświęcił jednak chustkę i otarł je.

Gdy zajrzał w karty, grymas cierpki przeszedł wraz w śmiech, nerwami targany:

»Poezye!«...

Za wiele miał zbyt ostrych wrażeń dziś: ten szczegół

drobny wytrącił go dziwnym sposobem z resztek opanowania siebie.

Jak ślepy snuł się pod parkanem ulicznym, minął wóz strażacki, odwożący trupy, skręcił machinalnie w pierwszą przecznicę i znalazł się nad rzeką.

I tu opadł: na kłody tratwiane u samego brzegu Wisły.

Na halizny mazowieckie spoglądał jak na morze. Wiatr hula górą bezgłośny i pędzi przed sobą obłoki jak fale monotonne zbite na horyzoncie w chmurę dalekiego lądu. Wsie tu i ówdzie widoczne, niby łodzie rybackie w czas morskiej ciszy, tkwią sennie w tej pustce. Śniegu naokół ani śladu: bura zasłona błotnych roztopów pokryła ziemię. Patrzy na to słońce, dołem oparami przymglone, górą roziskrzeń pełne, o tarczy jaskrawej, zmierzającej ku zenitowi, rzekłbyś, naocznie dla długiego wejrzenia i długiego oddechu człowieczej melancholii.

»Oto żółwia ziemi skorupa naga!« — pomyślał, zapadając w tę właśnie zadumę powolnego oddechu:

»Jak wiek długi pracowała kosa śmierci takich po całej tej ziemi wkrąg: co kosa ród podcięła, siekiera bór zniosła, ile tężyzny nażęła kosa, tyle wątłego piękna wyschło w bezcieniu, czem kosa życie, tem siekiera zubożała ziemię, a obie ducha. Z pod borów wyjrzały mokradła, z pod lasów ruszyły piachy na wszystkich wiatrów szerokie gościńce: miasta, dwory i zaścianki, wyłuskane

z puszczy na nagą ziemię o zbyt dalekim horyzoncie kurczyły się jakby i malały w odrębności swojej wśród tej powietrznej perspektywy bez końca, w kapryśnej swawoli wszystkich wiatrów wschodu, zachodu, północy i południa.

»*Ceres deserta!*« — pomyślało mu się dziwnie.

W pamięci stanęło z niezmierną nagle wyrazistością twarde oblicze Komierowskiego i oczy jego zamglone nękiem, patrzące jakby odbiciem tego wejrzenia ziemi ogołoconej i jej melancholii.

pallere ligustra,
Exspirare rosas, decrescere lilia vidi,

— ocknęły się w jego uwadze teraz dopiero te słowa, umieszczone na pierwszej karcie książki, trzymanej w ręku.

Odszukał podpis tego motta: *Klaudyan: O porwaniu Prozerpiny*... Oto i dziecko Ceres, — myślał, — wiosna, młodość w podziemia porwana.

»Pessymizmy! optymizmy! — zabrzęczały mu nagle w uszach jak mucha te słowa na brukach zrodzone, hałaśliwe i turkotne, jak cała tu wielkomiejska krzętność i zabiegliwość każdego o siebie.

»A jednak...

Dziwnie zgodną wiarę w inne siły i cuda wypracowują tu czasy same zarówno w cichościach skupień jak i żywiołowem nurtowaniu wśród tłumów: wiarę w siły i cuda duszy wspólnej, odnowie podległej, przez ofiarę, odżycie, odmłodzenie: prastarą wiarę misteryów onych, przy których odmładzała się przez wieki najdzielniejsza dusza

wspólna, jaka kiedykolwiek była: tam, w Grecyi, — w Eleuzis!

Nie sprawujeż się tu naprawdę misteryum podziemi: odżyte, — eleuzyjskie?

Oto zagubione dziecko Ceres — *Persefona*, młodością najwrażliwsza, przez moce podziemia porwana, wstępuje w głąb.

Homerową wiosnę kwietną zamieniła tak oto głębsza myśl Hezyoda w panią śmierci i przodownicę cieniów, samą licem jak ten kwiat zmrożony, pełną smętu śmiertelnych rozmarzeń, które ją w duszy prawości aż do wrót Hadesu dowiodły — z onych tęsknot wymową całą w omartwiałych dłoniach: z granatu jabłkiem i pękiem kłosów, za dwojakiej płodności symbole.

Tak też żyje w rzeźbie greckiej.

Oto Ceres deserta, *Demeter* szukająca, mater dolorosa starożytnych misteryów, — ona żałobnica tułacza, »która ze wszystkich ptaków wielkiej czeredy obrała za swe towarzysze i przodowniki — żórawie«, — powiada ów Homerycki »*Hymn o Demeter*«, odnaleziony zaledwie przed stu laty — w Moskwie.

Łaskawa pani plonów zamieniła się w bezdomnego upiora mściwości: w *Demeter Erynnis* z pochodniami w rękach i włosów płowych krzykiem na wichrze.

»Niejedno białe ziarno siewu, — głosi Hymn, — padało daremnie na ziemię bezpłodną. Wyschłe siemię spoczywało w grudzie. Daremnie lemiesz krajał skibę«... póki dziecko Demeter, wiosna i młodość zarazem, w podziemiach żyje.

Zaś u ostatniego wyznawcy starych bogów, Klaudyana, tak oto zawodzi Demeter szukająca:

»Gdzieżeś ma pierwsza radości i szczęście me ostatnie? — przez ciebie wszak byłam ja płodna! Pókiś ty dla mnie *sobą jaśniała,* boginią ja byłam, pięknością Junonie równa: dziś ja żałosna i licha: — *squalida et vilis*... O, czci moja, o nadziejo, dumo matki cała:

»*O decus, o requies, o grata superbia matris!*...«

I oto do tych dwojga, macierzy i dziecka, które Hades ogarnął, przyłączony tajemniczy i dwojsty bożyc walki o wiosenne odnowy życia: *Dyonizos*. Ongi najpogodniejszy, winnic stróż, w obliczu ziemi pustynnej zwilczał sam. »I jak Demeter żorawie, Hera pawie, Venus gołębie, tak on obrał sobie za towarzyszy — wilki«. Niegdyś zapału i szałów młodych winem pojący, teraz i kobiety swe nawet krwią karmi. I tak się święcić każe po najokrutniejszych obrządkach, jakie stworzyła wiara grecka.

I zstępuje ten Dyoniz, zokrutniały bożyc walki o wiosenne odnowy życia, zstępuje na — rozszarpanie...

Jak Persefona w Hades porwana i Demeter mściwością ogarnięta dobyły się ku słońcu: jak pani śmierci i przodownica cieniów kwietną wiosną młodości od nowa się stała i stopy swojej śladem kwiaty miłości siać jęła — o tem wiedziano w Eleuzis. Pouczano też, jak Apollo ulitował się wreszcie nad swym bratem mlodszym i wysłał Herę, aby z roztarganych członków Dyoniza ratowała jeszcze nie obumarłe całkowicie, jeszcze bijące serce i przechowała je — w Hadesie, zanim Demeter nowego ciała i nowego tętna

pogody nie stworzy dla tego boskiego serca rzeczy wszelkich, które zwano niegdyś — entuzyazmem! póki przez śmierć, odżycie i odmłodzenie nie powstanie tryumfujący weselem Bóg życia samego — *Jachos!*

O przebiegu rzeczy tych tajemnych, ich duchu oraz płomieniu zapalnym...

»...pouczano w obrządkach świętych misteryów onych, o których żaden język mówić nie śmie! — głosi Hymn. — Błogosławiony ten, który je widział, a dola jego po śmierci nie będzie równą doli innych śmiertelnych...«

Ogień tam płonął niepojęty: zagrzewały się przy nim te piersi nieliczne, o które pod Maratonem i Salaminą rozbił się cały ogrom światów obcych; zapalały się tam te dusze i głowy, które górują ponad wszystkiem, co ludzkość po dziś dzień stworzyła. Gdyż, co bezwłady natury ludzkiej zwyciężać i bezruchy dusz pokonywać miało, wolę skupiać w piersiach lub głowach najdzielniejszych — żyć to musiało ciągle w duszy wspólnej, płonąć świętym zniczem wiary w odnowę dusz, w entuzyazm dla życia samego!

I tem była może na dnie swojem tajemnica eleuzyjska.

Wraz z nią zapadło w przepaść czasów i nasze dziś rozumienie najgłębszych tajników woli tych, którzy — w dzisiejszego sumienia postaci — wykraczają z kościoła pod krzyżem swej męki, zapatrzeni jak w monstrancyę promienistą w symbol jedynej potęgi odnowy życia i dusz: — w ruch.

Przekazały nam ponadto wieki i to jeszcze na rozgrzanie piersi własnych.

Z wnękliwszego ducha północnych ludów Grecyi zstą-

pił na pogodne bogi Hellady ten smęt mistyczny i wiódł je wskroś przez tajniki dusz ludzkich. Lecz po dziewięciu dniach misteryów eleuzyjskich zmartwychwstawała ta trójca bogów tem, czem była dla ludu: prostymi bogi siejby, żniwa i winobrania — lecz sprawującymi teraz swój siew i plon — i po duszach ludzkich, ogarniając sobą tak oto cud życia cały!... I nie było po onych dniach dziewięciu ani jednej duszy nie przepełnionej nadzieją, ani jednego serca bez ukochania życia nad miarę wszystkiego. Czyniła się drogą świętą do Aten narodu pielgrzymka wśród bogomolnego szału radości. Nad tłumnym zamętem dyonizyjskich upojeń królował niesiony posągiem on sam: odżyły *Jachos*, Bóg uświęcający wesele.

A duszom, wyzwolonym w ufność do siebie, radośnie świętem było wszystko, co tętno życia wybija: i miłość, i namiętność, i nienawiść, i wróżda, i wojna, i zażycie, i rozkosz, i czyn, i pieśń, i lekkość pustoty, i skupienia mądrość: wszystko, ku czemu przyzywa z kolei życia i piersi człowieczych pełnia. Weselnie świętą była nadziejom i śmierć nawet, bo za nią w świętem kole ruchu następować miało — odżycie, odmłodzenie! Bezsilny był tu Hades, chłonący jednostki śmiertelne: za Jachosa pochodem tłumnym szedł człowiek jeden — wieczny.

I nic to, że naokół jesień bura całuny sinych cieniów rozesłała po skałach i grudzie, sypiąc na drogę liście umarłe: nadzieją pijane serca wiązały się, — nią właśnie najbardziej! — w jedno żywe serce narodu.

»Wstań i uderz w pieśń, któryś w prochu żył!« — zawodzili przodownie kapłani pod wysokie tony fletni.

A bachiczny krzyk ludu we wtór głuszył szumy morza, bijącego skały.

Schroniło się echo tych wołań tam, gdzie echo zamieszkuje od prawieków — w górach. I dziś jeszcze usłyszy ucho baczne po winnicach alpejskich i po halach karpackich tenże, co i drzewiej, dziki krzyk żądzy życia i jej tryumfu:

»*Ja-choo! Ja-choo!... Jachos!*«

Na halizny mazowieckie spoglądał jak na morze. Wiatr hula górą bezgłośny i pędzi przed sobą obłoki jak fale monotonne zbite na horyzoncie w chmurę dalekiego lądu. Wsie tu i ówdzie widoczne, niby łodzie rybackie w czas morskiej ciszy, tkwią sennie w tej pustce. Bura zasłona błotnych roztopów pokryła ziemię. Patrzy na to słońce, dołem oparami przymglone, górą roziskrzeń pełne, o tarczy jaskrawej, zmierzającej ku zenitowi, rzekłbyś, naocznie dla długiego wejrzenia i długiego oddechu człowieczej melancholii:

pallere ligustra,
Exspirare rosas, decrescere lilia vidi...

Zaś ręka tajemna, co pod tej omartwicy kirem Wiosnę odmłodzeń w podziemia porywa, jestże to duch zatracenia, czy śmierć sama, porywająca nadzieje ostatnie:

Nosse nec aurigam licuit: seu mortifer aestus
Seu mors ipsa fuit?!...

W pamięci jawiła mu się znów przodowna trójka owej gromadki na uprowadzeniu: a między tym jak chmurą skrytym posępnikiem i chłopem białym z chlebem pod pachą — tamtej dziewczyny, Wandy, uroda coraz to dziwniejsza wspomnieniom: opal twarzy i oczu wielkich fiolet w ramie włosów niby kora schnącej krzewiny, a oblicze to całe jakby prześwietlone skupieniem przeznaczenia i smętu.

Ujrzał ją w wyobraźni nieżywą na tle murów wieżyc miasta, — tam, gdzie Chrystus pod krzyżem występuje z kościoła i gdzie zasiadł w spiżu ten, co ziemię ruszył. Widział ją tam pod kirem pyłu miejskiego, a tem jaśniejszą obliczem cichem, dzierżącą w dłoniach martwych granatu jabłko i kłosów pęk: symbole dwojakiej płodności ziemi.

ERRATA:

str. 325, wiersz 13 ma być rzeszach zamiast: rzeczach
str. 334, wiersz 4 „ „ odżyłe zamiast: odżyte

TEGOŻ AUTORA:

FACHOWIEC, *Powieść współczesna. Nowe wydanie w druku.*
PRÓCHNO. *Powieść.*
OZIMINA. *Powieść.*

*

Przekład FRYDERYKA NIETZSCHEGO
TAKO RZECZE ZARATUSTRA

*

ŹRÓDŁA I UJŚCIA NIETZSCHEANIZMU